oddech, oczy, **pamięć**

edwidge danticat

Przełożyła
Maria Olejniczak-Skarsgård

G+J książki

Tytuł oryginału:
Breath, Eyes, Memory

Copyright © 1994 by Edwidge Danticat. All rights reserved.
Published by agreement with Soho Press, New York

Copyright to the Polish Edition © 2007 by G+J Gruner+Jahr Polska
Sp. z o.o. & Co. Spółka Komandytowa
02-677 Warszawa, ul. Wynalazek 4

Dział handlowy: tel. 022 640 07 25,
022 607 02 56 (57, 59) w. 221, 380
faks 022 607 02 61

Sprzedaż wysyłkowa:
Dział obsługi klienta: tel. 022 607 07 67
Dystrybucja: Wydawnictwo LektorKlett Sp. z o.o.
tel. 061 849 62 14, 061 849 62 11
faks 061 849 62 12

Redakcja: Klara Szarkowska
Korekta: Joanna Zioło
Projekt okładki: Anna Angerman
Zdjęcie na okładce: Shutter Stock, Jupiter
Redakcja techniczna: Mariusz Teler
Redaktor prowadząca serię: Agnieszka Koszałka

Skład i łamanie: SEPIA, Warszawa
Druk: TINTA, Działdowo

ISBN: 978-83-60376-80-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiejkolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Dla dzielnych kobiet z Haiti,
babek, matek, ciotek,
sióstr, kuzynek, córek i przyjaciółek,
na tym brzegu i na innych.
Potykałyśmy się, ale nie upadniemy.

Bardzo dziękuję moim rodzicom André i Rose Danticatom. Moim braciom Kelly'emu, Karlowi i Eliabowi André. Moim kuzynom Nickowi i Jean. Wujowi Josephowi i ciotce Denise z Haiti. Wujowi Franckowi tutaj. Wujowi Maksowi, gdziekolwiek jest.

Bardzo dziękuję starej paczce: Chantal, Maryse, Stephanie, Michele i Sandrze. Całej paczce z Barnard College! Suzanne Guard – mojemu aniołowi stróżowi. Christopherowi Dunnowi za *muito amor* i wsparcie. I Laurze Hrusce za wiarę w to, że zdołam.

Część pierwsza

1

Spłaszczony przysychający żonkil dyndał na małej kartce z życzeniami, którą zrobiłam dla cioci Atie na Dzień Matki. Przycisnęłam dłonią kwiatek i przygniotłam do gładkiego beżowego kartonika. Gdy skręciłam za róg niedaleko domu, zobaczyłam, że ciocia siedzi w starym fotelu bujanym na podwórku i przygląda się dzieciom, które udeptują suche pożółkłe liście. Liście zostawiono na słońcu, żeby wyschły. Miały być spalone tego wieczoru podczas spotkania *konbit* na składkowym posiłku.

Wsadziłam kartkę z powrotem do kieszeni i weszłam na podwórko. Na mój widok *tante* Atie pomachała do mnie białym materiałem, który właśnie haftowała. Gdy stanęłam przed nią, rozchyliła ramiona na tyle, żebym się w nich zmieściła.

– Jak było w szkole? – zapytała z szerokim uśmiechem.

Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło, a potem wzięła na kolana.

– W porządku – powiedziałam. – Podoba mi się wszystko prócz lekcji czytania, na które pozwalają przychodzić po południu rodzicom. Są tam rodzice wszystkich dzieci, tylko ty nie przychodzisz. Nie mam komu czytać, więc *monsieur* Augustin zawsze daje mi do pary starszą panią, która chce się nauczyć alfabetu i nie ma dzieci w szkole.

– Banda dzieciaków nie będzie uczyła mnie czytać – odparła. – Młodzi powinni uczyć się od starych, a nie na odwrót. Poza tym muszę dać odpocząć plecom, gdy ty idziesz na lekcję. Mam dużo pracy.

Jej brązowe policzki pokryły się rumieńcem zażenowania.

– Kiedyś dałabym wszystko, żeby chodzić do szkoły. Ale nie w tym wieku. Mój czas już minął. Gotowanie, sprzątanie, opiekowanie się innymi to jest teraz moja szkoła. A twoja szkoła jest w tamtym budynku. Gdy miałam twoje lata, dzieci zajmowały się jedynie cięciem trzciny cukrowej. Dlatego nie chcę słyszeć od ciebie żadnych narzekań na szkołę. – Poprawiła różową chustkę ciasno zawiązaną na głowie i posłała mi krótki uśmiech, pokazując dziury po dwóch bocznych zębach. – Jeśli tylko nie będziesz musiała pracować w polu, mało mnie obchodzi to, że nigdy nie nauczę się czytać tej podartej starej Biblii, która leży pod moją poduszką.

Ilekroć *tante* Atie była smutna, zawsze napomykała o plantacjach trzciny cukrowej, gdzie razem z moją matką praktycznie mieszkały, będąc dziećmi. Widziały, jak na polach ludzie codziennie umierali od porażenia słonecznego. *Tante* Atie opowiadała, jak to pewnego dnia, gdy wszyscy razem pracowali, jej ojciec – mój dziadek – przystanął, żeby otrzeć czoło, pochylił się i umarł. Moja babcia wzięła zwłoki dziadka w ramiona i próbowała krzykiem przywrócić mu życie. Wszyscy wrzeszczeli, a babcine łzy obmywały twarz zmarłego. W żaden sposób nie dało się ożywić dziadka.

Nadchodził człowiek od *bòlèt*. Był wysoki, pożółkły jak bursztynowy karaluch. Dzieci z naprzeciwka ustawiły się wzdłuż płotu i obserwowały go, trzymając się kurczowo jedno drugiego, a on szedł wolnym krokiem, pogwizdując.

Ten albinos – nazywał się Chabin – był głównym sprzedawcą losów loterii liczbowej we wsi. Uważano, że ma pewne zdolności niezwiązane z loterią, ale sprawiające, zdaniem *tante* Atie, że duchy stały po jego stronie. Na przykład gdy ktoś go gonił, jednym

ruchem języka potrafił przemienić się w węża. Zdarzało się, że odczytywał przyszłość, patrząc człowiekowi w oczy, o ile ten nie zamknął przed nim swojej duszy, myśląc w jego obecności o pieśni religijnej i modlitwie.

Widziałam, że *tante* Atie przywołuje w myślach jeden ze swoich ulubionych wersetów, gdy Chabin się zbliżał. „Śmierć jest pasterzem człowieka i w ostatni poranek dobro zapanuje nad złem".

– *Honneur, mes belles*, Atie, Sophie.

Chabin mrugnął do nas, stając przy furtce. Nie miał brwi – a przynajmniej tak się zdawało, bo były płowe i cienkie jak wąsy kukurydzy. Miał za to grzywę brudnych rudych włosów.

– Jak się dzisiaj macie? – zagadnął.

– Dzisiaj mamy się dobrze – odparła *tante* Atie. – Nie wiemy, jak będzie jutro.

– *Ki niméro* dzisiaj? – spytał. – Które liczby obstawiacie?

– Dzisiaj obstawiamy wiek mojej siostry Martine – powiedziała *tante* Atie. – Wiek matki Sophie. Trzydzieści jeden. Może przyniesie mi szczęście.

– Trzydzieści jeden będzie cię kosztowało pięćdziesiąt centymów.

Tante Atie sięgnęła za stanik i wyjęła jednego *gourde*.

– Obstawimy tę liczbę dwa razy – rzekła.

Choć *tante* Atie grała regularnie w *bòlèt*, nigdy nic nie wygrała. Nawet drobnej sumy. Ani razu.

Mówiła, że loteria i miłość mają wiele wspólnego. Opatrzność jej nie sprzyja, ale ona jest cierpliwa.

Albinos wypisał na naszym pokwitowaniu liczby i wręczoną mu należność.

Dzieci skuliły się za furtką, gdy ruszył w dalszą drogę. *Tante* Atie podniosła kwitek pod słońce, żeby lepiej widzieć.

– Tu napisał twoje imię – powiedziałam, wskazując litery. – A tu napisał trzydzieści jeden.

Przejechała palcami po cyfrach, jakby były wyszyte na papierze.

– Czy to nie byłoby wspaniale, gdybyś umiała czytać? – zapytałam chyba po raz setny.

– Mówię ci, że mój czas już minął. Szkoła nie jest dla ludzi w moim wieku.

Dzieci z naprzeciwka robiły stos z liści na podwórku *madame* Augustin. Starsze czekały na swoją kolej, gdy młodsze rzucały się na kopczyk, podskakując, piszcząc i śmiejąc się. Wykrzykiwały imiona: Wiara, Nadzieja, Ukochana, Dar Boży, Moja Radość, Najwcześniej Urodzony, Najpóźniej Urodzony, Dosyć Dziewczynek, Dosyć Chłopców, Wybawienie, Mała Niedola, Wielka Niedola, Żadna Niedola. Imiona żywe i kolorowe jak wielkie drzewa *poinciana* w ogrodzie *madame* Augustin.

Dzieci rzucały się jedno na drugie, padały na ziemię tak uradowane, jakby sfrunęły z wysokich drzew *poinciana*, które osłaniały podwórko przed gorącym haitańskim słońcem.

– Myślałby kto, że te dzieci będą tak miłe dla swoich matek i posprzątają liście – mruknęła *tante* Atie. – Ale one robią jeszcze więcej bałaganu.

– Powinny być mądrzejsze – wtrąciłam, w głębi serca też mając ochotę pływać w morzu suchych liści.

Tante Atie chwyciła mnie w objęcia i przytuliła tak mocno, że cytrynowy zapach perfum, którymi skrapiała się na piersi każdego ranka, zakręcił mi w nosie.

– W niedzielę jest Dzień Matki, *non*? – powiedziała, głośno wciągając powietrze przez zęby. – Dzieci powinny pokazać matkom, że chcą im pomóc. Po zachowaniu dzieci dzisiaj człowiek widzi, co dla niego zrobią, gdy będzie stał nad grobem.

Doceniałam *tante* Atie, ale może nie dość jej to okazywałam. Może chciała być prawdziwą matką, mieć prawdziwą córkę, która nosiłaby ubrania pod kolor jej ubrań, trzymała ją za rękę i razem z nią uczyła się czytać.

– Będzie ci smutno w Dniu Matki, prawda, *tante* Atie?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Wyglądasz tak, jakby miało ci być smutno.

– Zawsze byłaś nad wiek mądra, zupełnie jak twoja matka.

Delikatnie przytrzymywała mnie w pasie, gdy schodziłam z jej kolan. Potem przyłożyła obie dłonie do twarzy i wbiła łokcie w fałdy swojej różowej spódnicy.

Zamierzałam wsunąć kartkę pod jej poduszkę w sobotę wieczorem, żeby znalazła ją w niedzielę rano, gdy będzie słała łóżko. Ale kiedy tak siedziała z opuszczoną głową podpartą rękami, pomyślałam, że dam jej kartkę już teraz.

Wsadziłam rękę do kieszeni i wręczyłam jej kartkę. W środku był wierszyk, który dla niej napisałam.

Wzięła ode mnie kartkę. Mało brakowało, a kwiatek by odpadł. Mocniej przycisnęła taśmę do krótkiej łodyżki, wsunęła maleńkiego żonkila na miejsce i oddała mi kartkę. Nawet nie zajrzała do środka.

– Nie w tym roku – powiedziała.

– Dlaczego nie w tym roku?

– Sophie, ta kartka jest nie dla mnie, ale dla twojej mamy. Musimy ją do niej wysłać.

Znałam swoją matkę jedynie ze zdjęcia, które stało na stoliku nocnym przy poduszce *tante* Atie. Otoczona ramką, machała ręką, miała szeroki uśmiech na twarzy i duży kwiat we włosach. Była świadkiem wszystkiego, co się działo w bugenwilli, widziała każdy krok, każde potknięcie, każdy uścisk i pocałunek. Patrzyła na nas,

gdy wstawałyśmy z łóżka i szłyśmy spać, gdy się śmiałyśmy i złościłyśmy na siebie nawzajem. Wyraz jej twarzy nigdy się nie zmieniał. Uśmiech nie schodził jej z ust.

Czasem widziałam swoją matkę w snach. Goniła mnie po łące pełnej polnych kwiatów wysokich do nieba. W końcu chwytała mnie i próbowała wepchnąć w ramkę, żebym była razem z nią na zdjęciu. Krzyczałam tak długo, aż traciłam głos, a wtedy przychodziła *tante* Atie i uwalniała mnie z jej uścisku.

Wsunęłam kartkę z powrotem do kieszeni i zamierzałam wejść do domu. *Tante* Atie spuściła głowę, zakrywając twarz rękami. Gdy się odezwała, przytknięte do ust dłonie stłumiły jej głos.

– Kiedy mi przejdzie, wejdę do środka i poszukamy ładnej koperty na twoją kartkę. Może mama dostanie ją po święcie, ale i tak będzie zadowolona, że sama ją wysłałaś.

– Ale ta kartka jest dla ciebie – upierałam się.

– Jest dla matki, twojej matki. – Machnęła ręką, żebym już poszła. – Dasz mi kartkę na Dzień Ciotki.

– Mogę ci ją przeczytać?

– Ona nie jest przeznaczona dla moich uszu, aniołku. Napisałaś ją dla swojej mamy.

Włożyłam kartkę z powrotem do kieszeni, oderwałam kwiatek i zdeptałam butem.

Po przeciwnej stronie ulicy dzieci nawoływały się, zapraszały przechodzących przyjaciół, żeby do nich dołączyli. Siedziały w kole i podrzucały szeleszczące liście wysoko nad głowy. Liście spadały im na twarze, czepiały się włosów. Wyglądało to prawie tak, jak gdyby lał deszcz żonkili.

Wciąż patrzyłam na dzieci, a *tante* Atie szykowała swoje danie na składkowe przyjęcie. Ładnie ustawiła na dużej tacy naczynia z puddingiem z batatów i cały dom wypełnił się zapachem melasy.

Gdy tylko zaszło słońce, w okolicy rozbłysły wszędzie lampy. Młodsze dzieci rozsiadły się w kręgu światła i grały w kulki. Starsi chłopcy zebrali się w małe grupy przy płocie wokół szkolnego boiska i rozprawiali o książkach. Dziewczynki siedziały kręgiem u nóg swoich babć, ucząc się szyć.

Tante Atie obiecała mi, że gdzieś za rok też nauczy mnie szyć.

– Nie należy tak się gapić – skarciła mnie, gdy przechodziłyśmy obok krótkowzrocznej staruszki, która przyciszonym głosem ujawniała małej dziewczynce niesamowite tajemnice igły i nitki. Przymrużone oczy dziewczynki latały to w jedną, to w drugą stronę, ledwie nadążając za ruchami starczych palców.

– Mogłabym niedługo zacząć szyć? – zapytałam *tante* Atie.

– Gdy będę miała trochę czasu – odparła.

Położyła rękę na moim ramieniu, pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

– Coś cię martwi? – spytałam.

– Nie przejmuj się moimi zmartwieniami – rzekła.

– Gdy szykowałam tę kartkę, myślałam, że się ucieszysz. Nie chciałam, żebyś była smutna.

– Ani razu nie zrobiłaś niczego, co by mnie zasmuciło – powiedziała. – Dlatego to wszystko będzie takie trudne.

Chłodny powiew wieczornego wiatru wznosił kurz wokół naszych stóp.

– Powinnaś włożyć bluzkę z długimi rękawami – zauważyła. – Jeszcze się przeziębisz.

Chciałam ją zapytać, co będzie takie trudne, ale przyłożyła palec do moich ust i pokazała na dom.

– Idź – powiedziała. No i poszłam.

Mężczyźni wychodzili z domów jeden za drugim. Jedni nieśli banany rajskie, inni duży czarny jams, od którego swędzi skóra,

gdy się dotknie świeżej bulwy. W naszym domu nie było mężczyzn, więc same niosłyśmy jedzenie na podwórko, gdzie bawiły się dzieci.

Przybywały tam kobiety, trzymając w rękach puszki z parującą herbatą imbirową i koszyki z chlebem z mączki maniokowej. Usiadłyśmy koło furtki: *tante* Atie za kobietami, ja za dziewczętami.

Monsieur Augustin zgarnął trochę gałęzi zardzewiałymi widłami i położył na wierzchu sterty swoje dojrzałe banany rajskie i obrane z łusek kolby kukurydzy. Zapalił długą zapałkę i rzucił na stos. Płomień przenosił się z gałęzi na gałąź, aż rozpaliło się okazałe dymiące ognisko.

Żona *monsieur* Augustina roznosiła duże kubki z herbatą imbirową. Mężczyźni podzielili się na małe grupy i spacerowali po ścieżkach w ogrodzie, paląc fajki. Stare *tantes* – ciotki – i babki kołysały na kolanach gaworzące niemowlęta. Nastoletni chłopcy i dziewczęta odsunęli się w zakątki zacienione szeleszczącymi liśćmi bananowców.

Tante Atie mówiła mi, że zwyczaj urządzania składkowych przyjęć ustalił się tak naprawdę dawno temu na wzgórzach. Wtedy cała wioska zbierała się, żeby przygotować pola do siewu. Razem czyszczono po kolei ziemię każdego mieszkańca, aż wszystkie pola w wiosce zostały uprzątnięte i obsiane. Gdy mężczyźni pracowali, kobiety gotowały dużo jedzenia. Po zachodzie słońca, po pracy, ludzie ucztowali, weselili się i tańczyli.

Tu, w Croix-des-Rosets, ludzie byli w większości robotnikami, pracowali w mieście, w fabrykach produkujących odzież albo piłki bejsbolowe, i mieszkali w małych, ciasnych domach, żeby utrzymać swoje rodziny na prowincji. *Tante* Atie uważała, że mamy szczęście, mogąc mieszkać w dużym domu, gdzie jest salon do przyjmowania gości i do tego sypialnia dla nas obu. Mówiła, że tylko tych, co żyją z nowojorskich pieniędzy albo mają zawód, jak na przykład *monsieur* Augustin, stać na dom, gdzie nie muszą mieć wspólnego podwórka z chmarą innych ludzi. Pozostali mieszkają z konieczności w chatach, budach albo domach z jedną izbą, które nieraz sami musieli sobie zbudować.

Na takie składkowe przyjęcie mógł przyjść każdy, kto miał na to ochotę, niezależnie od tego, jak mieszkał. Już nie uprawiano pól, ale zawarte w fabrykach przyjaźnie czy wspólne korzystanie z podwórka było dla robotników dostatecznym powodem, by spotykać się, ucztować i cieszyć życiem.

Tante Atie przyglądała się *madame* Augustin, gdy ta częstowała herbatą każdą osobę siedzącą wokół nas w kręgu kobiet.

– Co słychać u Martine? – *Madame* Augustin podała *tante* Atie kubek z parującą herbatą. Cioci drgnęła ręka i trochę herbaty prysnęło na wierzch dłoni *madame* Augustin. – Widziałam, że *facteur* przyniósł wam wczoraj coś dużego – ciągnęła, dmuchając na swoją herbatę. – Czyżby twoja siostra przysłała wam prezent?

Tante Atie pominęła te pytania milczeniem.

– Czy to był prezent? – dopytywała się *madame* Augustin. – Mała chyba nie obchodziła znowu urodzin, prawda? Niedawno skończyła dwanaście lat, ledwie dwa miesiące temu.

Zastanawiałam się, dlaczego *tante* Atie nie pokazała mi tej dużej paczki. Zazwyczaj mama przysyłała nam pieniądze na życie i dwie kasety. Jedną dla mnie i dla cioci, drugą dla mojej babci. Zazwyczaj odsłuchiwałyśmy naszą kasetę razem. Może *tante* Atie zostawiła to na później.

Przysłuchiwałam się, nie patrząc kobietom prosto w twarze. To byłoby niegrzeczne, równie złe jak to, by odezwać się niepytana.

– Jak się tam wiedzie Martine? – spytała Stéphane, żona albinosa.

Pracowała na akord przy naszywaniu cekinów i z resztek, które pozostawały w fabryce, robiła sobie różne nakrycia głowy. Tego wieczoru miała złoty czepek, w którym wyglądała tak, jakby gwiazda spadła jej na głowę.

– Dziękuję, moja siostra ma się doskonale – odrzekła w końcu *tante* Atie.

Madame Augustin upiła łyk herbaty i spojrzała na mnie. Rzuciła mi karcące spojrzenie, które mówiło: dlaczego nie bawisz się z innymi dziećmi? Szybko spuściłam oczy, udając, że bacznie przyglądam się kamykom na ziemi.

– Założę się, że w Nowym Jorku jest bardzo przyjemnie – powiedziała *madame* Augustin.

– Możliwe – przytaknęła *tante* Atie.

– Dlaczego nigdy tam nie pojechałaś? – spytała *madame* Augustin.

– Może nie nadszedł jeszcze czas – odparła *tante* Atie.

– A może już nadszedł – rzekła z przekonaniem *madame* Augustin.

Pochyliła się nad ramieniem *tante* Atie i szepnęła wcale nie tak cicho:

– Powiesz nam wreszcie, Atie, kiedy przyjedzie po ciebie samochód, żeby zawieźć cię na lotnisko?

– Martine zamierza ściągnąć cię do siebie? – spytała żona albinosa.

Wśród kobiet zawrzało.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Naprawdę tak szybko?

– Wyjdziesz tam za mąż?

– Będziesz o nas pamiętać?

– Nigdzie nie jadę – ucięła te pytania *tante* Atie.

– Mam podstawy sądzić, że w przesyłce, którą dostałaś, był bilet lotniczy – oznajmiła *madame* Augustin. – Jeżeli ty nigdzie się nie wybierasz, to dla kogo jest ten bilet?

W jednej chwili oczy wszystkich spoczęły na mnie.

– Matka wzywa dziecko? – zapytała żona albinosa.

– Widziałam przesyłkę – oświadczyła *madame* Augustin.

– A więc jednak wzywa dziecko – uznały.

Duża ręka klepnęła mnie nagle po ramieniu i rozległ się czyjś głos:

– Bardzo dobra wiadomość. To najlepsze, co może cię spotkać.

Nie mogłam przełknąć jedzenia, które *tante* Atie postawiła przede mną w misce. Chciałam tylko, żeby wszyscy zniknęli i żebym wreszcie znalazła się w domu.

Godziny mijały powoli, było już po północy. Wszyscy wracali do siebie. W sobotę sprzątało się dom i przynosiło z daleka wodę, poza tym należało uprać i wyprasować ubrania na mszę w Dniu Matki.

Gdy ludzie się rozeszli, *monsieur* Augustin odprowadził *tante* Atie i mnie do domu. Stojąc przy naszych drzwiach, zbliżył się do *tante* Atie, tak jakby chciał szepnąć jej coś do ucha. Z uśmiechem podniosła na niego wzrok i zaraz zasłoniła usta palcami, jakby przypomniała sobie, że brakuje jej zębów, i nie chciała, by zobaczył dziury.

Monsieur Augustin odwrócił się i spojrzał na drogę. Jego żona wnosiła garnki do domu. Uścisnął dłoń *tante* Atie i dotknął policzkiem jej policzka.

– To dobra wiadomość, Atie – odezwał się. – Żadna z was nie powinna się smucić. Miejsce dziecka jest przy matce, a miejsce matki przy dziecku.

Jego żona siedziała teraz na schodkach przed ich bugenwillą i czekała na niego.

– Sądziłam, że nic nie powiesz swojej żonie, dopóki nie będę miała sposobności porozmawiać z dzieckiem – powiedziała *tante* Atie do *monsieur* Augustina.

– Musisz być dzielna – rzekł. – To wspaniała wiadomość dla tego dziecka.

Zrobiło się trochę zimno, ale obie stałyśmy, patrząc za nim. Przeciął drogę, wziął wiadra od swojej żony i pochylił się, żeby pocałować ją w czoło. Potem objął ją ramieniem i zniknęli za drzwiami frontowymi.

– Kiedy mówi się komuś coś w tajemnicy, powinien wiedzieć, że nie należy tego wyjawiać – mruknęła pod nosem *tante* Atie.

Nie odrywała wzroku od domu państwa Augustinów. W sypialni paliło się górne światło. Ich sylwetki rysowały się na zmarszczonych zasłonkach, które wydymał powiew nocnego wiatru. *Monsieur* Augustin zajął fotel bujany przy oknie. Jego żona usiadła na jego kolanach i rozplatała długi czarny warkocz. *Monsieur* Augustin gładził włosy okrywające jej plecy jak jedwabny koc. Po chwili wstał i zaczął się rozbierać. Potem *madame* Augustin powoli zdjęła ubranie i włożyła koszulę nocną z długimi rękawami. Śmiech Augustinów ulatywał w noc, gdy toczyli między sobą potyczkę na łaskotki. Światło zgasło, a oni runęli na łóżko.

Tante Atie wciąż wpatrywała się w okno, choć po Augustinach nie pozostał ślad.

Gdy odryglowywała drzwi, łza spływała jej po policzku. Weszłyśmy do środka i od razu skierowałam się do naszej sypialni. Ciocia pobiegła za mną. Dogoniła mnie, złapała za ramię i chciała odwrócić twarzą do siebie.

– Wiesz, dlaczego zawsze chciałam nauczyć się czytać?

Załzawionym wzrokiem patrzyła mi prosto w oczy.

– Nie wiem. – Starałam się odpowiedzieć jak najgrzeczniej.

– Zawsze marzyłam o tym, żeby umieć czytać. Chciałam przeczytać tę starą Biblię, którą mam pod poduszką, i na jej stronach znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania. Jak twoim zdaniem kazałaby nam postąpić teraz, w tej chwili?

– Nie wiem.

– Jak to? Ciągle mi mówisz, że czytając, człowiek nabiera mądrości, a w takiej sytuacji sprawiasz mi zawód.

– Skłamałaś! – krzyknęłam.

Złapała mnie za uszy i wytargała, aż zapiekły.

Tupnęłam nogą i pobiegłam do sypialni. Rozbierałam się tak szybko, że niemal zdzierałam z siebie ubranie.

Zapach cytrynowych perfum uderzył mnie w nos, gdy przykryłam się po samą głowę prześcieradłem.

– Nie skłamałam – powiedziała – tylko nie wyjawiłam tajemnicy, a to zupełnie inna sprawa. Zamierzałam ci powiedzieć. Potrzebowałam czasu, żeby się z tym pogodzić. Wszystko stało się tak nagle, przychodzi kaseta od Martine, która mówi „Chcę mieć swoją córkę", a potem, zanim człowiek zdąży mrugnąć okiem, przysyła mi bilet na samolot z wydrukowaną datą. Wcale nie jestem pewna, czy robi to tak, jak trzeba. Mówi mi tylko, że umówiła się z kobietą, która pracuje w liniach lotniczych.

– Zamierzałaś mi kiedyś o tym powiedzieć? – zapytałam.

– Zamierzałam cię uśpić, zapakować do walizki i wysłać do niej. Pewnego dnia obudziłabyś się już na miejscu, mając wrażenie, że całe życie tu ze mną było snem. – Próbowała się roześmiać, ale śmiech uwiązł jej w gardle. – Widzisz, miałam pewien plan. Sądziłam, że jest dobry. Chciałam ci powiedzieć, że za tydzień

zobaczysz się ze swoją mamą. Wiedziałabyś tylko tyle, że jedziesz w odwiedziny. Czułam w głębi serca i tego samego zdania był też *monsieur* Augustin, że gdy się tam znajdziesz, wszystko spodoba ci się tak bardzo, że będziesz błagała mamę, żeby pozwoliła ci zostać. Na własne uszy słyszałaś, co mówili ludzie. Nie mamy powodu się smucić.

Zapadałam się w łóżku coraz głębiej, już nie czułam swego ciała w ciemności owinięta prześcieradłem.

Łóżko zatrzeszczało, gdy *tante* Atie położyła się po swojej stronie.

– Masz nigdy nikomu nie mówić, że płaczę, patrząc, jak Donald i jego żona szykują się do snu – powiedziała, szlochając.

W ciemnościach wymacałam swoje ubranie i znalazłam kartkę, którą zrobiłam dla niej na Dzień Matki. Wsunęłam kartkę pod poduszkę cioci, słuchając, jak mamrocze przez sen jakieś ostatnie słowa.

2

Gdy weszłam do kuchni, poczułam zapach puddingu ryżowego z cynamonem. *Tante* Atie siedziała przy stole, przed nią stała miska. Z każdym słowem, które zamierzałam wypowiedzieć, coraz bardziej zbierało mi się na płacz, więc w ogóle się nie odezwałam.

Usiadłam na swoim miejscu za stołem; kątem oka widziałam, jak ciocia nalewa pudding do miski i podsuwa ją w moją stronę.

– *Bonjou* – powiedziała, machając mi łyżką przed nosem. – *Bonjou* na powitanie jest jak przepustka.

Ze spuszczoną głową wzięłam łyżkę dopiero wtedy, gdy położyła ją przede mną. Nie miałam apetytu, ale gdybym nie zaczęła jeść, musiałybyśmy siedzieć i patrzeć na siebie, i prędzej czy później któraś musiałaby się odezwać.

Wzięłam łyżkę i zaczęłam jeść. *Tante* Atie lekko się uśmiechnęła, patrząc na mnie. Parsknęła śmiechem, a to oznaczało, że zaraz opowie jakąś zabawną historię.

Tante Atie lubiła opowiadać różne historie. Zwykle były smutne, ale co jakiś czas przypominało jej się coś zabawnego. Dawno temu, w okresie jej dzieciństwa, moja babcia była praktykującą protestantką. Żeby wykazać się przed córką wiarą chrześcijańską, *grandmè* Ifé stanęła raz nad gniazdem węży i nakazała diabłom wrócić z powrotem pod ziemię. *Tante* Atie skręcała się zawsze ze śmiechu, przypomniawszy sobie wyraz twarzy *grandmè* Ifé, gdy jeden z węży zaczął pełznąć w jej stronę po ściance jamy. Po tym zdarzeniu babcia przez wiele dni nie wychodziła z domu.

To, czy historia była śmieszna, czy smutna, zależało od sposobu, w jaki została opowiedziana. Tego ranka *tante* Atie nie zdołała

mnie rozbawić tak jak dawniej. Sama z trudem zmusiła się do śmiechu.

Po jedzeniu umyłam naczynia i włożyłam do koszyka, żeby wyschły.

– Mam ci coś do powiedzenia – odezwała się *tante* Atie, wciąż siedząc przy stole. – Powinnaś dowiedzieć się paru rzeczy o swojej mamie.

– Dlaczego i ty nie jedziesz do Nowego Jorku? – przerwałam jej.

– Bo jeszcze nie nadszedł czas. Po twoim wyjeździe wrócę do domu, żeby opiekować się twoją babcią. Jestem w Croix-des Rosets tylko dlatego, że chodzisz do szkoły. Gdy wyjedziesz, będę mogła wrócić do domu.

– Nie rozumiem, dlaczego i ty nie możesz pojechać do Nowego Jorku – powiedziałam.

– Obie wracamy do swoich matek. Tak to już miało być. Twoja matka pragnie teraz cię zobaczyć, Sophie. Nie chce, żebyś zapomniała, kto jest twoją prawdziwą matką. Przed jej wyjazdem ustaliłyśmy, że zostawia cię u mnie tylko na pewien czas. Byłaś wtedy malutka. Mama zostawiła cię, bo nic nie wiedziała o miejscu, w którym miała zamieszkać, i nie chciała narażać cię na niebezpieczeństwo.

Tante Atie otworzyła drzwi frontowe i wpuściła poranne słońce. Spojrzała na czyste niebo koloru indygo, przejeżdżając ręką po żelaznej kracie.

Wzięła szczotkę i zaczęła zamiatać mozaikową podłogę.

– Aniołku – odezwała się – chciałabym mieć pewność, że słowem lub czynem nauczyłam cię kochać. Wiedz, że bardzo kocham twoją mamę. Wszystko, co kocham w tobie, pokochałam najpierw w niej. Dlatego nigdy nie umiałam kłócić się z nią o to, że zostawiła cię tutaj. Nie chcę również, żebyś ty się z nią kłóciła. W tym kraju matki porzucają swoje dzieci z wielu ważnych powodów. – Przestała trzepać poduszki w salonie. – Ale ona nigdy cię nie porzuciła, tylko zostawiła ze mną. Gdy byłyśmy małe, ani twoja mama, ani ja nie miałyśmy na nic wpływu. Nie mogłyśmy panować nawet nad własnym ciałem. – Walnęła się pięścią w klatkę piersiową i brzuch. – Gdy umarł mój ojciec, moja matka musiała wykopać dół i zwyczajnie go tam wrzucić. Członkowie naszej rodziny mają brud za paznokciami. Rozumiesz, co to znaczy?

Nie czekała na moją odpowiedź.

– To znaczy, że pracowaliśmy na roli. Nie chodziliśmy do szkół. Mojemu ojcu nie śniło się, że zamieszkamy w takim domu, jaki mają ludzie w rodzaju państwa Augustin. *Monsieur* Augustin uczy w szkole, a my urodziłyśmy się na wzgórzach, wywodzimy się z chłopstwa, jesteśmy *pitit soyèt*, obdartusami. Możemy tu mieszkać, a te drzwi są przed tobą otwarte tylko dzięki twojej matce. Obiecaj mi, że nie będziesz się kłócić ze swoją mamą, gdy tam pojedziesz.

– Obiecuję – odparłam.

– To dobrze – ucieszyła się *tante* Atie. – Szkoda by było, gdybyście wdawały się w kłótnie, bo nawet nie wiecie, jak dużo was łączy.

Wyciągnęła rękę i dotknęła kołnierzyka mojej cytrynowej domowej sukienki.

– Wszystko, co masz, jest żółte – powiedziała – żółte jak polne kwiaty, jak mlecze i słoneczniki.

– I żonkile – dodałam.

– Zgadza się – przytaknęła. – Twoja mama uwielbiała żonkile.

Tante Atie powiedziała mi, że mama bardzo lubiła żonkile, ponieważ rosły w miejscu, gdzie nie powinny rosnąć. Właściwie były

europejskimi kwiatami o francuskich pączkach i łodyżkach, które bardziej pasowały do chłodniejszego klimatu. Dawno temu jakaś Francuska przywiozła je do Croix-des-Rosets i tu posadziła. Wyrósł gatunek wytrzymały na upały, ale miał kolor dyni i żółtego kabaczka, tak jakby lekko zbrązowiał, upodabniając się do skóry tubylców, którzy przyjęli go do siebie.

Tante Atie wyjęła kartkę spod poduszki i położyła na stoliku nocnym, obok biletu lotniczego. Powiedziała, że będzie miło, jeżeli osobiście wręczę kartkę mamie, nawet bez żonkila.

3

Podróż do La Nouvelle Dame Marie trwała pięć godzin rozchybotanym furgonem. *Tante* Atie uważała jednak, że nie mogę pojechać do Nowego Jorku bez błogosławieństwa babci. Poza tym *grandmè* Ifé miała już swoje lata i być może była to dla mnie ostatnia sposobność, żeby się z nią zobaczyć.

Furgon z Croix-des Rosets dowiózł nas do rynku w Dame Marie. Drogi prowadzące do domu mojej babci były tak nierówne, że nadawały się jedynie do przewożenia rzeczy taczkami i na mułach albo do pieszej wędrówki.

Postanowiłyśmy iść pieszo. Szłyśmy obok pokrytych strzechą chat, gdzie gromadka kobiet ucierała tłuczkami proso w dużych moździerzach. Inne kobiety smażyły duże placki z mączki maniokowej na patelniach stojących nad paleniskami na węgiel drzewny.

Na polach mężczyźni ścinali trzcinę cukrową, śpiewając na przemian przyśpiewki. Załadowane taczki toczyły się w naszym kierunku. Zeszłyśmy na bok, żeby chłopcy mogli przejechać. Byli nadzy do pasa, zlani potem, od słońca chroniły ich jedynie stare kapelusze ze słomy.

Minęłyśmy zagrodę otoczoną bambusowym płotem. Jej właścicielką była Man Grace, wysoka kobieta, której wyrastały na brodzie kępki włosów. Razem z córką karmiła stado perliczek, rzucając im garście fioletowych ziaren.

Jakiś czas temu moja mama przysłała pieniądze na odbudowę swojego starego domu. Teraz dom odróżniał się od pozostałych w Dame Marie. Był płaski, zbudowany z czerwonej cegły,

miał szerokie okna i łupkowy dach. Za płotem z drutu kolczastego rosły dynie i tuberozy mojej babci.

Popędziłam do domu, żeby stanąć pod kurkami, które kręciły się na werandzie od frontu. Babcia była na podwórku i ciągnęła linę, nabierając wody z kamiennej studni.

– Przywiozłam twoje dziecko, staruszko – powiedziała *tante* Atie.

Lina wyślizgnęła się babci z rąk, wiadro wpadło do wody i plusk rozniósł się echem. Rzuciłam się jej w ramiona, niemal przewracając ją.

– Moje serce cieszy się na twój widok – powiedziała.

Tante Atie pocałowała babcię w policzek i weszła do domu.

Grandmè Ifé otoczyła mnie ramionami. Jej głowa była na wysokości mojej brody, stercząca biała czupryna łaskotała mnie w usta.

– Jesteś głodna? – zapytała. – Ugotuję tylko to, co lubisz.

* * *

Wieczorem chaty na wzgórzach wyglądały jak mnóstwo świeczek. Jadłyśmy kolację na werandzie od tyłu. Babcia ugotowała ryż i kajan z suszonymi na słońcu grzybami. Miała na sobie długą czarną sukienkę, część jej *deuil*, żałoby po dziadku.

– Powiedz mi, co dobrego robiłaś – spytała babcia.

– Zbierała najlepsze stopnie ze wszystkich przedmiotów – odparła *tante* Atie. – Matka będzie z niej bardzo dumna.

– Nigdy o tym nie zapominaj – rzekła babcia. – Matka jest twoją pierwszą przyjaciółką.

Spałam sama w trzecim pokoju w tym domu. Stało tam łoże z baldachimem i mahoniowa szafa z wyrzeźbionym na niej ogromnym hibiskusem. Materac ugiął się, gdy wślizgnęłam się pod prześcieradło. Miło było od czasu do czasu mieć łóżko tylko dla siebie.

Leżałam w łóżku i czekałam na koszmarny sen, w którym mamie uda się wreszcie mnie zabrać.

Następnego dnia wyruszyłyśmy w powrotną drogę do Croix-des-Rosets. *Tante* Atie musiała wrócić do pracy. Poza tym babcia powiedziała, że najlepiej będzie, gdy wyjedziemy, zanim przyzwyczai się za bardzo do naszej obecności i nagle ogarnie ją melancholia.

Dla mojej babci melancholia była prawdziwą chorobą fizyczną. Jak otarcie nogi albo złamanie ręki. Żeby wyleczyć się z melancholii, trzeba było pić herbatę z liści, które potrafiła rozpoznać tylko babcia i inne stare mądre kobiety.

Każda z nas ucałowała babcię dwa razy w policzek, a ona powtarzała, żebyśmy wyjechały, bo zatrzyma nas tutaj na zawsze.

– Czy rzeczywiście można umrzeć na melancholię? – zapytałam *tante* Atie, gdy wracałyśmy furgonem.

Odparła, że to nie jest nagła choroba, lecz zabija człowieka powoli, zabiera małą jego cząstkę dzień po dniu, aż pewnego dnia zabierze go całego.

– Czy możemy coś zrobić, żeby tak się nie stało? – spytałam.

– To nie my wybieramy chorobę, ale ona wybiera nas – powiedziała. – Koń ma cztery nogi i też może upaść.

Opowiedziała mi o ludziach w Gwinei, którzy dźwigają niebo na głowach. Są dziełem Stwórcy – silni, wysocy i potężni, wszystko zniosą. Ich Stwórca, mówiła, dał im do dźwigania niebo, bo mają tyle siły. Ten lud nie wie, kim jest, ale jeżeli człowiek napotyka w życiu wiele trudności, dzieje się tak dlatego, że został wybrany, by dźwigać na głowie część nieba.

4

Po powrocie przez cały tydzień *tante* Atie wychodziła do pracy przed świtem i wracała do domu późną nocą. Zostawiała mi jedzenie, a *monsieur* Augustin zaglądał na jej prośbę rano i wieczorem, żeby mnie skontrolować. Co noc patrzyłam w słabym świetle, które ślizgało się po prześcieradle, jak ciocia podchodzi na palcach do naszego łóżka, zanim ułoży się do snu. W ten sposób upewniłam się, że nie uciekła i mnie nie opuściła.

Każdego dnia jak zwykle szłam do szkoły. Po lekcjach spędzałam całe popołudnie na naszym podwórku, zbierając gałęzie i liście, żeby było czysto.

Gdy wróciłam ze szkoły w piątek po południu, zobaczyłam, że *tante* Atie siedzi na schodkach przed bugenwillą. Widząc mnie, podbiegła, porwała mnie w objęcia i podniosła.

– Posprzątałaś jak należy – powiedziała.

Ostatnie sprzątanie zrobiłam tego ranka, przed wyjściem do szkoły. Suche liście leżały na stercie gałęzi, patyków i zwiędłych kwiatów.

Tante Atie pocałowała mnie w oba policzki i zaniosła mój zeszyt do domu. Gdy weszłam do środka, miałam wrażenie, że cały salon wypełnia walizka, którą ciocia kupiła mi na podróż. Podczas sprzątania podwórka mówiłam sobie, że będę tu jeszcze na wielu składkowych przyjęciach, jeszcze będę jeździć do babci, nawet nauczę się szyć. Widok walizki uprzytomnił mi, że już nigdy tak się nie stanie.

– Wiem, że cały tydzień byłam poza domem – powiedziała *tante* Atie. – Dłużej pracowałam, żeby kupić ci prezenty na drogę.

Nalała gorącego mleka ze srebrnego dzbanuszka, który zawsze stał dla ozdoby na półce. Na spodzie był przyczepiony bilecik: *Je t'aime de tout mon coeur*. Te słowa oznaczały: „Bardzo cię kocham". Na bileciku podpisał się *monsieur* Augustin.

Capnęłam zwisający z dzbanuszka kartonik. *Tante* Atie natychmiast wyrwała mi go z ręki. Trzymając kartonik do góry nogami, patrzyła na niego jak na obrazek, który niknie na jej oczach.

Odwróciła się gwałtownie plecami i położyła bilecik na półce.

Siedziałyśmy naprzeciwko siebie przy stole, popijając w milczeniu. Starałam się zasłonić łzy filiżanką.

– Żadnych płaczów – powiedziała ciocia. – Będziemy silne jak góra.

Łzy już spływały mi po policzkach.

– Jak góra – powtórzyła, szturchając mnie łokciem pod żebro.

Pochyliła się i ze stosu kupionych rzeczy wzięła białe pudełko.

W środku znajdowała się szafranowa sukienka z dużym białym kołnierzem, pokryta maleńkimi haftowanymi żonkilami.

– To dla ciebie na podróż – powiedziała *tante* Atie.

Twarz mojej mamy śniła mi się przez całą noc. Mama była owinięta żółtym prześcieradłem i miała we włosach żonkile. Otworzyła ramiona, które przypominały dwa długie haki, i ciągle wykrzykiwała moje imię. Złapała mnie za kraj sukienki i powaliła na podłogę. Wzywałam *tante* Atie, ile sił w płucach. Ciocia pochylała się nad nami, ale nie mogła mnie dostrzec. Tonęłam w żółci prześcieradeł swojej mamy.

Gdy się obudziłam, *tante* Atie stała pochylona nad łóżkiem. Już ubrała się w jedną ze swoich różowych sukienek na niedzielę, była wyperfumowana i upudrowana. Wstałam i przeszłam

obok niej, kierując się w stronę umywalki. Ścisnęła mnie za rękę i szepnęła:

– Pamiętaj, że mamy być jak góra, a góra nie płacze.

– Chyba że pada deszcz – powiedziałam.

– Gdy pada deszcz, to niebo płacze.

Kiedy skończyłam się myć, czekała, żeby podać mi ręcznik. Był to jeden z tych wielu białych ręczników trzymanych przez nią w pudełku pod łóżkiem i przeznaczonych na specjalne okazje, które nigdy nie nadchodziły. Wytarłam się ręcznikiem, włożyłam wykrochmaloną bieliznę i wręczoną mi sukienkę.

Walizka czekała w kącie w kuchni. Stół był nakryty białym koronkowym obrusem, na nim stały przeznaczone na specjalne okazje i nigdy nieużywane porcelanowe talerze z owsianką i szklanki z mlekiem.

Tante Atie posadziła mnie u szczytu stołu i usiadła koło mnie. Drobna poranna mżawka stukała o żelazną kratę w drzwiach.

– A jeżeli się rozpada, to też będę musiała jechać? – zapytałam.

Przesunęła palcem po błyszczącej bliźnie z boku głowy.

– Tak, będziesz musiała – odparła. – Teraz nie da się zatrzymać biegu spraw. Już poprosiłam kogoś, żeby przyjechał i zawiózł nas na *aéroport*.

Upiła łyk mleka ze szklanki i zmusiła się do szerokiego uśmiechu.

– Nie masz się czego bać – powiedziała. – Martine była wspaniałą siostrą. Będzie dla ciebie świetną matką. Kraby nie rodzą papai. Przecież ona jest moją siostrą.

Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni i wyjęła kartkę, którą zrobiłam jej na Dzień Matki. Kartka była już bardzo pognieciona, trochę starły się napisane ołówkiem słowa.

– Nie pozwoliłam ci jej przeczytać, ale wiem, że napisałaś coś bardzo miłego. – Położyła kartkę przy moim talerzu. – Nie wygląda już tak ładnie, ale twoja mama na pewno będzie zachwycona.

Zanim mnie powstrzymała, przeczytałam wierszyk.

Moja mama jest jak żonkil,
tak samo gibka i silna.
Moja mama jest jak żonkil,
ale nieugięta na wietrze.

– Widzisz, to wcale nie było do mnie. – Wzruszyła ramionami, a potem wsunęła kartkę do kieszeni mojej sukienki. – Gdy będziesz na miejscu, daj jej tę kartkę.

– Nie zobaczy słów.

– Doskonale zobaczy. A jeżeli nie zobaczy, to przeczytasz wierszyk, tak jak przeczytałaś mnie. Od teraz ona nazywa się *manman*.

Chabin, sprzedawca losów, zajrzał do środka przez otwarte drzwi i zamachał do nas swoim rejestrem.

– Dzisiaj nie obstawiamy – powiedziała *tante* Atie.

– Przyszedłem wypłacić pieniądze – wyjaśnił Chabin. – Nie śledzisz wyników? Padła twoja liczba. Wygrałaś.

Tante Atie była ogromnie zadowolona.

– Ile wygrałam?

– Dziesięć *gourdes*. – Odliczył należność i wręczył jej.

– Widzisz – powiedziała *tante* Atie, ściskając pieniądze – twoja mama przynosi mi szczęście.

Taksówkarz zajechał swoim peugeotem, gdy wciąż jeszcze siedziałyśmy przy stole. Opuściłam kuchnię *tante* Atie, nie zjadłszy śniadania i nie umywszy naczyń.

Deszcz przestał mżyć. Sąsiedzi przyglądali się, jak kierowca niesie moją walizkę do samochodu.

Państwo Augustinowie przyszli się pożegnać. *Madame* Augustin wsunęła mi sztywną różową chusteczkę do ręki i pocałowała mnie cztery razy – dwa razy w lewy i dwa razy w prawy policzek.

– Jeżeli będziesz pilnie się uczyć, angielski nie sprawi ci kłopotu – rzekł *monsieur* Augustin, mocno ściskając mi dłoń.

Wzięłam *tante* Atie za rękę, gdy usiadłyśmy na tylnym siedzeniu. Miałyśmy suche oczy, wysoko uniesione głowy. Wyglądałyśmy jak słoneczniki wpatrzone prosto w słońce.

Przed odjazdem kierowca odwrócił się i pogratulował nam doskonale wysprzątanego podwórka.

– Moje dziecko je sprząta – powiedziała *tante* Atie.

Machający nam na pożegnanie sąsiedzi i robotnicy z fabryki odskakiwali na boki przed samochodem. Może gdybym miała naprawdę bliską koleżankę, nie odrywałybyśmy od siebie wzroku w chwili mojego odjazdu. Rdzawy kurz unosił się między mną a jedynym życiem, jakie znałam. Nie było bawiących się dzieci ani fruwających liści. Nie było żonkili.

5

Słońce pełzało po naszych twarzach, gdy samochód wpadł do Port-au-Prince. Nigdy dotąd nie byłam w tym mieście. Wzdłuż ulicy ciągnęły się kolorowe butiki z neonowymi szyldami. Furgony z namalowanymi kwiatami i skrzydlatymi końmi mknęły w jedną i w drugą stronę i raptownie zatrzymywały się na środku bulwarów.

Tante Atie wciągała gwałtownie powietrze, ilekroć mijałyśmy duży dom towarowy albo wysoki hotel. Wykrzykiwała nazwy miejsc, które odwiedzała w dawnych latach.

Jako nastolatki *tante* Atie i moja mama oszczędzały drobne pieniądze przez cały rok, żeby pojechać do miasta w Wigilię Bożego Narodzenia. Mówiły mojej babci, że będą pomagały jednemu ze starych domokrążców, ale w rzeczywistości miały zupełnie inny plan. Po południu wskakiwały na pakę furgonu *tap tap* i o zachodzie słońca przybywały do Port-au-Prince, gdzie już zapalano bożonarodzeniowe lampki. Ubrane w niedzielne sukienki stawały przed sklepami i słuchały dźwięków wydawanych przez samochodziki policyjne i mówiące lale, które trajkotały przy świątecznej muzyce. Szły na mszę do gotyckiej katedry, a potem przez resztę nocy siedziały przy fontannach i oglądały szopki na Champs-de-Mars. Kupowały lody w rożkach i sztuczne ognie. Młodzi turyści proponowali im papierosy za to, że zgodzą się pozować do zdjęć. Udawały, że są studentkami któregoś z uniwersytetów dla dobrze urodzonych, a nawet miały śmiałość opisywać okazałe domy, w których jakoby mieszkały. Biali turyści flirtowali z nimi i trzymali je za ręce. Śmiały się z głupich dowcipów i naśladowały sposób

mówienia miastowych dziewcząt. Potem umawiały się na spotkanie następnego wieczoru, ale oczywiście nie przychodziły. Przed świtem wracały furgonem do domu i wślizgiwały się do łóżka, zanim moja babcia się obudziła.

Spojrzałam przez szybę i zobaczyłam nagie wzgórza przy krajowej autostradzie.

– Już niedaleko – oznajmił kierowca i zwolnił tak bardzo, że samochód prawie stał w miejscu.

Czekałyśmy jakiś czas, aż ruszy dalej.

– Jakieś kłopoty? – zapytała *tante* Atie.

– Tu zawsze są kłopoty – odparł. – Tym razem zwariowana młodzież chce walczyć z żołnierzami i urzędnikami państwowymi, którzy woleliby wyzionąć ducha, niż ulec jej żądaniom.

Tante Atie zesztywniała.

– Musieli robić to dzisiaj? – powiedziała. – Ona nie może się spóźnić. Jesteśmy z kimś umówione.

– Postaram się – odparł kierowca – ale na pewne rzeczy nie mamy wpływu.

Przysunęłam się do okna, żeby lepiej widzieć. Chmury czarnego dymu unosiły się do nieba niedaleko przed nami.

– Chyba wybuchł pożar – powiedział kierowca.

Tante Atie wyciągnęła szyję, starając się coś zobaczyć.

– Może to koniec świata – rzekła.

Ruszyliśmy powoli do przodu razem ze sznurem samochodów. Ciemnozielone furgonetki wojskowe przeciskały się między autami. Kierowca wlókł się tak jak pozostali. Wkrótce zajechaliśmy na lotnisko.

Zatrzymaliśmy się przed głównym wejściem. Po drugiej stronie ulicy kłębił się dym. Wojskowe ciężarówki otoczyły stojący

w płomieniach samochód. Ze szczytu wzgórza grupa studentów rzucała kamieniami w płonący samochód. Rozbiegli się, gdy żołnierze puścili na nich gaz łzawiący i oddali w ich kierunku serię strzałów.

Niektórzy studenci padali i staczali się ze wzgórza. Krzyczeli do żołnierzy, że znowu zdradzają lud. Jakaś dziewczyna zbiegła ze wzgórza i złapała żołnierza za rękę. Uniósł pistolet i uderzył ją w głowę. Dziewczyna upadła na ziemię z twarzą zalaną krwią.

Tante Atie chwyciła mnie za rękę i wciągnęła do budynku.

– Widzisz, co opuszczasz? – powiedziała.

– Wiem, że opuszczam ciebie.

W holu było bardzo tłoczno. Starałyśmy się nadążyć za kierowcą, który mijał biegiem przekupniów i podróżnych, ciągnąc moją walizkę.

Czekając przy bramce, w kolejce pasażerów odlatujących do Nowego Jorku, zadarłyśmy głowy i spojrzałyśmy na obrazy namalowane na suficie. Przedstawiały kobiety i mężczyzn, którzy ciągnęli wozy i sprzedawali ryż i fasolę, żeby zarobić na życie.

Od wizji, która roztaczała się nad naszymi głowami, oderwał nas krzyk kobiety:

– *Madame*! – Była zadyszana, tak jakby szukała nas od długiego czasu. – Nazywasz się Sophie Caco? – zwróciła się bezpośrednio do mnie.

Kiwnęłam głową.

Tante Atie obrzuciła wzrokiem smukłą sylwetkę i porządny granatowy mundur, po czym zawahała się chwilę, nim uścisnęła dłoń tej pani.

– Będę się nią dobrze opiekować – powiedziała po kreolsku kobieta do *tante* Atie i natychmiast wzięła mnie za rękę. – Jej

matka czeka na nią w Nowym Jorku. Rozmawiałyśmy dziś rano. Wszystko jest załatwione. Nie mamy ani chwili do stracenia.

Tante Atie zadrżały usta.

– Musimy już iść – ciągnęła ta pani. – Bardzo się spóźniłyście.

– Nie z naszej winy – tłumaczyła się *tante* Atie.

– Teraz to bez znaczenia – przerwała jej kobieta. – Musimy iść.

Tante Atie pochyliła się i przyłożyła policzek do mojego policzka.

– Pozdrów ode mnie swoją *manman* – powiedziała. – I w ogóle się o mnie nie martw.

Kierowca klepnął ją w ramię.

– Może powstać jeszcze większe zamieszanie – odezwał się. – Chcę stąd wyjechać, zanim będzie naprawdę źle.

– Nie przejmuj się mną – mówiła *tante* Atie. – Nie zostanę sama. Pojadę do twojej babci. Tylko zawsze pamiętaj, jak bardzo *tante* Atie cię kocha i troszczy się o ciebie.

Kobieta pociągnęła mnie za rękę.

– Naprawdę musimy iść – powtórzyła.

– Ona już idzie – powiedziała *tante* Atie, puszczając moją rękę.

Kobieta oddaliła się. Szłam przy niej, stawiając duże kroki, żeby nadążyć. Ciągle odwracałam głowę i machałam do *tante* Atie. Jej pokaźna postać była dobrze widoczna na środku holu lotniska.

Ludzie potrącali ją, przechodząc w pośpiechu. Stała nieruchomo i ocierała łzy chusteczką uszytą ze ścinków. Było widać, że nie pasuje do tego miejsca ubrana w różową sukienkę i brązowe sandały, z których wystawały palce pokryte wiejskim kurzem. Odróżniała się od uśmiechniętych szykownych ludzi udających się w podróż i od przybywających turystów w dżinsach, których otoczyli żebracy.

Stała przy bramce i patrzyła, jak kobieta wypycha mnie przez szklane drzwi na pas startowy prowadzący do samolotu.

Samolot był prawie zapełniony. Pozostało tylko kilka wolnych miejsc. Szłam za kobietą wąskim przejściem. Wskazała mi miejsce przy oknie. Szybko usiadłam i wyjrzałam przez szybę, mając nadzieję, że zobaczę, jak *tante* Atie zmierza bezpiecznie do domu.

Zobaczyłam tylko skrawek zadymionego nieba. Kobieta odeszła. Po chwili wróciła z małym chłopcem. Płakał i tupał, próbując jej się wyrwać. Przyparła go do siedzeń i wepchnęła na fotel, przytrzymując obiema rękami. Przestał się opierać, usiadł prosto, podniósł głowę i splunął jej w twarz.

Jego koszula była zmoczona śliną, która wciąż skapywała mu z kącików ust. Wierzchem dłoni potarł zaczerwienione oczy. Pochylił się do przodu i oparł głowę o siedzenie przed sobą. Wyglądało to tak, jak gdyby starał się jakoś zdusić łkanie.

Wyciągnęłam rękę, chcąc pogłaskać go po głowie. Złapał mnie za rękę i ugryzł w palce. Uderzyłam go w ramię, żeby przestał mnie gryźć, ale on jeszcze mocniej zacisnął zęby. Walnęłam go w ramię. Puścił mnie i zaczął krzyczeć.

Przybiegła ta kobieta. Podniosła go z fotela, przytuliła do piersi i kołysała w ramionach. Chłopiec przywarł do niej, ale zaraz odsunął się i wbił paznokcie w jej szyję. Zatoczyła się do tyłu i mało brakowało, a upadłaby. Chłopiec uwolnił się z jej objęć i rzucił się do ucieczki. Kobieta pobiegła za nim wąskim przejściem.

Wysoki mężczyzna stanął w przejściu i zatarasował mu drogę. Widząc, że nie ma dokąd uciec, chłopiec krzyczał jeszcze głośniej. Wskoczył na kolana jednemu z pasażerów i zaczął tłuc głową o szybę bocznego okna. Mężczyzna złapał go i mocując się z nim, z powrotem posadził w fotelu. Zapiął jego pasy, a potem pochylił się i zapiął moje.

Gdy pasy zostały zapięte, chłopiec siedział nieruchomo. Mężczyzna i kobieta stali nad nim, bacznie mu się przyglądając, jak

gdyby spodziewali się, że chłopiec wyciągnie rękę i wbije któremuś z nich palec w oko. Ale on nawet nie drgnął. Siedział z pochyloną głową na fotelu i cicho płakał.

– Co mu jest? – zapytał po francusku mężczyzna.

– Jego ojciec zginął w pożarze tam na zewnątrz. Był jakimś starym urzędnikiem państwowym, bardzo skorumpowanym – szepnęła kobieta. – Winnym wielu zbrodni przeciwko ludziom.

– Pozwalamy mu lecieć?

– On nie ma tutaj żadnych krewnych. Siostra jego ojca mieszka w Nowym Jorku. Zadzwoniłam do niej. Zabierze chłopca z lotniska.

– Rozumiem, dlaczego jest taki przybity – rzekł mężczyzna.

Samolot wznosił się z rykiem do nieba. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam odjeżdżające samochody. Wśród nich nie potrafiłam rozpoznać taksówki *tanie* Atie.

Hałas silników zagłuszył łkanie chłopca, który wkrótce zasnął, a niedługo po nim zasnęłam i ja.

6

– Dzieci, jesteśmy na miejscu – mówiła kobieta, jednocześnie nami potrząsając.

Samolot był pusty. Ruszyliśmy długim korytarzem, na przedzie kobieta, za nią chłopiec, którego trzymała za rękę, potem ja. Nie zatrzymując się, przechodziła szybkim krokiem obok stojących w kolejkach ludzi. Za każdym razem tylko machała dużą beżową kopertą.

Wkrótce staliśmy w tłumie i patrzyliśmy na przesuwające się na taśmie walizki.

– Widzicie swój bagaż? – zapytała kobieta.

Dostrzegłam swoją walizkę i wskazałam palcem. Kobieta podeszła do taśmy, zdjęła walizkę i postawiło koło mnie na podłodze. Czekałyśmy, aż chłopiec wskaże swój bagaż, ale on się nie poruszył.

Kobieta przejrzała jego dokumenty i zapytała:

– Widzisz swoją walizkę, Jean-Claude?

Chłopiec wtulił twarz w jej spódnicę i rozpłakał się. Podeszła do taśmy i zaczęła sprawdzać etykietki na walizkach. Chłopiec nie miał bagażu.

Przeszliśmy przez następny korytarz. Potem otworzyły się szklane drzwi i znaleźliśmy się w holu pełnym ludzi, którzy trzymali w rękach kwiaty i baloniki. Niektórzy rzucili się do przodu, żeby uściskać swoich najbliższych.

Jakaś kobieta zbliżała się do Jean-Claude'a, głośno lamentując. Chwyciła drobną postać w objęcia i przytuliła.

– Zabili mojego brata! – wołała. – Spójrzcie na niego, spójrzcie na syna mojego brata!

Wzięła chłopca na ręce i odeszła, a on przywarł twarzą do jej piersi.

Moja mama wysunęła się do przodu. Wiedziałam, że to mama, bo podeszła, złapała mnie i zaczęła kręcić mną jak bączkiem, żeby mi się przyjrzeć.

Kobieta, z którą przyszłam, patrzyła na nas w milczeniu.

– Zaczekaj tu – mama odezwała się do mnie po kreolsku.

Poszła z tą kobietą w kąt, szepnęła jej kilka słów i wręczyła coś, chyba pieniądze.

– Nie wiem, jak ci dziękować – powiedziała mama.

– Nie trzeba – odparła kobieta. Ukłoniła się lekko i odeszła.

Podniosłam rękę, żeby pomachać jej na pożegnanie. Kobieta już odwróciła się i szła z powrotem do środka. Wyglądało to tak, jakbym zniknęła. Nawet na mnie nie spojrzała.

Gdy kobieta przeszła przez bramkę, mama pocałowała mnie w usta.

– Nie mogę uwierzyć, że patrzę na ciebie – powiedziała. – Moja mała dziewczynka jest tutaj.

Uszczypnęła mnie w policzek i pogłaskała po głowie.

– Powiedz coś, no powiedz – nalegała. – Odezwij się. Chcę usłyszeć twój głos.

Przyciągnęła mnie do siebie, tak że nasze policzki się zetknęły, i trzymała mnie mocno w objęciach.

– Jak się czujesz? – spytała. – Miałaś przyjemny lot?

Kiwnęłam głową.

– Pewnie jesteś bardzo zmęczona – powiedziała. – Chodźmy do domu.

Jedną ręką wzięła moją walizkę, a drugą złapała mnie za ramię.

Na dworze było pochmurno i chłodno.

– O rety. – Jej wychudzonym ciałem wstrząsnął dreszcz. – Nawet nie zabrałam niczego, co mogłabyś włożyć na sukienkę.

Postawiła walizkę na chodniku, zdjęła drelichową kurtkę i pomogła mi wsunąć ręce do rękawów.

Sznur samochodów zatrzymał się, gdy przechodziłyśmy przez ulicę w kierunku parkingu. Mama chwiała się pod ciężarem walizki.

Stanęła przed jasnożółtym samochodem z długim pęknięciem na przedniej szybie. Otworzyła mi drzwi, z których odpryskiwał lakier. Zerknęłam do wewnątrz i przez chwilę wahałam się, czy usiąść na podartym siedzeniu.

Mama włożyła walizkę do bagażnika i podeszła do mnie.

– Nie bój się. Wsiadaj.

Chciała posadzić mnie na przednim siedzeniu, ale ugięła się pod ciężarem i szybko postawiła z powrotem.

Wsiadłam do samochodu, starając się nie okazywać obrzydzenia. Ostry drut zerwanej sprężyny wbijał mi się w udo.

Mama zajęła miejsce za kierownicą i włączyła silnik. Rozległo się głośne zgrzytanie, jakby samochód miał wylecieć w powietrze.

– Zaraz ruszymy – powiedziała.

Roztarła ręce i odchyliła głowę, opierając ją o zagłówek. Nie wyglądała jak na zdjęciu, które stało na stoliku nocnym *tante* Atie. Miała pociągłą twarz i zapadnięte policzki, równo podcięte włosy i długie patykowate nogi, poza tym podkrążone oczy i zmarszczki wyostrzające rysy, gdy się uśmiechała. Jej dłonie były pokryte bliznami i ogorzałe, tak jakby mimo wszystko nie przestała nigdy pracować na plantacji trzciny cukrowej.

– Możemy jechać – powiedziała.

Przeciągnęła pas przez płaską pierś, wbijając się jeszcze głębiej w zniszczony fotel. Przechyliła się, zapięła mi pas i wreszcie samochód ruszył.

Niedawno zapadła noc. Wszędzie paliły się światła. Samochody pędziły jeden za drugim autostradą, każdy wyglądał jak brylant bardzo długiej bransoletki.

– Niedługo będziemy w mieście – oznajmiła mama.

Wciąż jeszcze nie odezwałam się do niej ani słowem.

– Jak się miewa *tante* Atie? – zapytała. – Nadal chodzi do szkoły wieczorowej?

– Do szkoły wieczorowej?

– Przysłała mi kiedyś kasetę z wiadomością, że chce zapisać się do szkoły wieczorowej. Zrobiła to?

– *Non*.

– Ta dziewczyna nie ma już ikry. Straciła wolę walki. Szkoda, że nie widziałaś nas, gdy byłyśmy młode. Zawsze marzyłyśmy o osiągnięciu wysokiej pozycji. Chciałyśmy być pierwszymi lekarkami z wioski mojej mamy. Nie dosyć na tym. Zamierzałyśmy zostać również inżynierami. Wyobraź sobie, z jakim zdziwieniem odkryłyśmy, że istnieją granice naszych możliwości.

Wszystkie latarnie nagle znikły. Ulice, którymi jechałyśmy, były teraz mroczne i niewyraźne. W oknach znajdowały się kraty; czarne worki na śmieci fruwały w powietrzu.

Na rogach ulic stali młodzi mężczyźni i obrzucali przejeżdżające samochody puszkami po piwie. Mama gwałtownie skręciła, widząc butelkę, która omal nie uderzyła w przednią szybę.

– Jak się miewa Lotus? – zapytała. – Żona Donalda. *Madame* Augustin.

– Dobrze.

– Atie opowiedziała mi o tym na kasetach. Pewnie wiesz, że to nie Lotus miała wyjść za mąż za Donalda, tylko twoja ciocia. Ale serce jest zmienne, nic się na to nie poradzi. Kiedy pojawiła się Lotus, on już nie chciał mojej siostry.

Cały budynek był pokryty napisami. Gdy podchodziłyśmy do niego, mama niemal potknęła się o mężczyznę, który spał przykryty warstwą gazet.

– Tylko wykształcenie zapewni ci szacunek u ludzi – powiedziała mama, otwierając kluczem drzwi frontowe.

Na brudnej grubej szybie było wiele imion w dymkach namalowanych sprayem do graffiti.

– Będziesz musiała tu ciężko pracować – ciągnęła – ale potem nikt nie złamie ci serca, bo nie umiesz czytać i pisać. Masz szansę dojść do tego, o czym ja i Atie zawsze marzyłyśmy. Jeżeli powiedzie ci się w życiu, wszyscy odniesiemy sukces. Dzięki tobie będziemy chodzić z podniesionym czołem.

Przy wejściu do mieszkania mamy uderzył nas zapach stęchlizny. Zamknęła za sobą drzwi i wtaszczyła walizkę do środka.

– Zaczekaj tu – powiedziała, gdy znalazłyśmy się w pomieszczeniu.

Stałam przy ciężkich drzwiach, w mrocznym przedpokoju i czekałam. Mama zniknęła za drzwiami do sypialni. Poszłam dalej. Przejechałam palcem po stole i krzesłach równo ustawionych w kuchni. Na obrusie, dla ochrony przed zabrudzeniem, leżał czerwony plastik takiego samego intensywnego koloru jak kanapa w salonie.

Blat był zawalony książkami. Szybko przerzuciłam kartki. Mignęły mi obrazki przedstawiające starych chorych ludzi, którym pomagają ubrane na biało kobiety.

Wzdrygnęłam się na dźwięk swojego imienia, gdy mama zawołała do mnie:

– Sophie, gdzie jesteś?

Pobiegłam z powrotem do miejsca, gdzie mnie zostawiła. Mama stała tam z dużą, ładnie ubraną lalką u boku. Lalka była karmelowego koloru i miała drobny spiczasty nos.

– Chodź – powiedziała mama. – Pokażemy ci twój pokój.

Poszłam za nią ciemnym korytarzem. Mama zapaliła światło i posadziła lalkę na małej kozetce przy oknie.

Nie odrywałam wzroku od niebieskiej tapety na ścianach i zacieków od sufitu aż do podłogi.

Mama wpatrywała się we mnie, czekając na moją reakcję.

– Nie podoba ci się? – zapytała.

– Podoba. Dziękuję.

Usiadła na kozetce i rozplotła lalce warkocze, wyjmując z włosów wstążki i spinki dobrane do żółtej sukienki. Położyła je na stoliku nocnym przy łóżku. Stało tam zdjęcie przestawiające moją mamę i *tante* Atie. *Tante* Atie trzymała na rękach niemowlę, a mama obejmowała ją ramieniem.

Podeszłam, żeby przyjrzeć się dziecku. Nigdy dotąd nie widziałam zdjęcia, na którym byłam taka mała, ale miałam pewność, że to ja jestem na zdjęciu. Któż by inny? Przyglądałam się niemowlęciu, szukając podobieństwa do mamy i zarazem do siebie. Po raz pierwszy w życiu zauważyłam, że nie przypominam nikogo ze swojej rodziny. Ani mamy. Ani *tante* Atie. Nie wyglądałam jak one, gdy byłam mała, i teraz też nie wyglądałam jak one.

– Jeżeli nie podoba ci się pokój, zawsze możemy wprowadzić zmiany – powiedziała mama.

Zerknęła na zdjęcie, biorąc do ręki małą szczotkę, i zaczęła czesać lalce włosy w kucyk.

– Podoba mi się – wyjąkałam.

Związała włosy gumką, a potem wyciągnęła spod łóżka małą walizkę.

Odpięła guziki z tyłu sukienki lalki i przebrała ją w piżamę.

– Nie będziesz urażona, że zamieszkacie razem, prawda? – Pogłaskała lalkę po plecach. – Ona jest dla mnie jak przyjaciółka.

Towarzyszyła mi, gdy byłyśmy z dala od siebie. Wiem, że to wariactwo. Dorosła kobieta z lalką. Teraz daję ją tobie. Dobrze się nią opiekuj.

Kiwnęła ręką, żebym podeszła i usiadła jej na kolanach. Bałam się, że jej chude nogi złamią się pode mną, ale i tak to zrobiłam.

– Nie będziesz sama – powiedziała. – Nigdy nie odejdę od ciebie dalej niż na kilka kroków. Rozumiesz?

Delikatnie zsadziła mnie z kolan. Miałam wrażenie, że jej nogi uginają się pod moim ciężarem.

– Chcesz coś zjeść? Możemy posiedzieć i porozmawiać. A może chcesz iść do łóżka?

– Do łóżka.

Wyciągnęła rękę, żeby odpiąć guziki z tyłu mojej sukienki.

– Sama mogę to zrobić – powiedziałam.

– Może pokażę ci, gdzie śpię? Gdybyś potrzebowała mnie w nocy.

Poszłyśmy z powrotem do salonu. Mama rozłożyła sofę.

– Będę tutaj. Widzisz, wcale nie tak daleko.

Gdy znalazłyśmy się znowu w sypialni, rozebrałam się odwrócona do niej plecami. Wzięła ode mnie sukienkę, otworzyła szafę i wcisnęła mój strój między swoje rzeczy.

Pognieciona kartka na Dzień Matki wystawała z kieszeni sukienki.

– Co to takiego? – zapytała mama, wyjmując kartkę.

Otworzyła ją i zaczęła czytać. Położyłam się na łóżku, próbując się wślizgnąć pod żółte prześcieradło. Nie mieściłam się razem z lalką. Przewróciłam ją na bok, ale mimo to miałam mało miejsca.

Mama podniosła wzrok znad kartki, podeszła do łóżka i zabrała lalkę. Posadziła ją ostrożnie w kącie.

– To dla mnie? – zapytała, spoglądając na kartkę.

– *Tante* Atie powiedziała, że mam ci ją dać.

– Wiedziałaś, że w dzieciństwie uwielbiałam żonkile?

– Tak mi mówiła *tante* Atie.

Mama przejechała palcem po tekturce, po pustym miejscu, gdzie przedtem był przyklejony żonkil.

– Od przyjazdu tutaj nie zbierałam żonkili. Nawet nie wiem, czy rosną w tym kraju.

Przeciągnęła kartką po policzku, a potem przyłożyła ją do piersi.

– Wciąż jest tam dużo żonkili?

– *Oui*. Mnóstwo.

Rozpromieniła się jeszcze bardziej niż na lotnisku, gdy mnie zobaczyła. Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło.

– Dzięki Bogu – powiedziała.

Nie mogłam zasnąć. W domu, gdy nie mogłam zasnąć, *tante* Atie czuwała nade mną. Siadałyśmy razem przy oknie i opowiadała mi o naszym życiu, o tym, co się działo w naszej rodzinie jeszcze przed moimi narodzinami. Pewnego razu zapytałam, jak to się stało, że urodziłam się, mając matkę, ale nie mając ojca. Opowiedziała mi historię o małej dziewczynce, która urodziła się z płatków róż, wody ze strumienia i kawałka nieba. Tą dziewczynką byłaś ty, zakończyła opowieść.

Gdy leżałam w ciemnościach, usłyszałam, że mama rozmawia z kimś przez telefon.

– Tak – powiedziała po kreolsku. – Naprawdę tu jest. We własnej osobie. Nie mogę w to uwierzyć.

Później tej nocy usłyszałam jej krzyk, tak okropny, jakby ktoś chciał ją zabić. Popędziłam do niej, ale mama była sama, biła rękami w prześcieradło. Potrząsałam nią, aż w końcu się obudziła. Widząc mnie, szybko zakryła twarz rękami i odwróciła się ode mnie.

– *Ou byen*? Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową.

– To dlatego, że jest noc – tłumaczyła mi. – Czasem widzę we śnie okropne rzeczy.

– Może zrobiłabyś jakąś herbatę? – powiedziałam.

Tante Atie wiedziałaby, jakie zioła trzeba zaparzyć.

– Nie przejmuj się, to minie – mówiła mama, unikając mojego spojrzenia. – Zaraz wrócę do siebie. Nic mi nie jest. Złe sny przychodzą i odchodzą.

Zza okien dolatywało wycie syren i głośne dźwięki odbiorników radiowych.

Weszłam do łóżka i zaczęłam ją uspokajać. Chwyciła moją twarz w dłonie i ścisnęła.

– Co to? Też się przestraszyłaś? – pytała. – Nie martw się. – Przyciągnęła mnie do siebie. – Jeżeli chcesz, możesz ze mną dzisiaj spać. Wszystko w porządku. Jestem tu.

Narzuciła prześcieradło na siebie i na mnie. Jej głos cichł, gdy zapadała w sen.

Wyciągnęłam się na łóżku, słuchając jej pochrapywania.

Światło poranka zaczęło wkrótce sączyć się przez okno salonu. Wpatrywałam się w sufit, słuchałam, jak bije serce mojej mamy i tyka zegar.

– Sophie – szepnęła, nie otwierając oczu. – Już nigdy cię nie zostawię.

Gdy otworzyła oczy, trysnęły z nich łzy.

– Tak się cieszę, że jesteś ze mną, Sophie. Damy sobie radę. Jestem pewna.

Trzymając mnie kurczowo za rękę, znowu zasnęła.

Słońce przebiło się przez zasłonki i zaczęło razić mnie w oczy. Uwolniłam rękę z uścisku, żeby pójść do łazienki. Szare linoleum na podłodze było, o dziwo, ciepłe. Ochlapując twarz zimną wodą, widziałam w lustrze swoje zaczerwienione oczy. Wydawało mi się, że te oczy mają teraz zupełnie inny wyraz. Że cała twarz wygląda zupełnie inaczej. Że patrzy na mnie osoba, która postarzała się w jeden dzień, jakby odbyła podróż wehikułem czasu, a nie samolotem. Witaj w Nowym Jorku, mówiła ta twarz. Rozpoczynasz nowe życie. Przyjęłam wyzwanie, tak jak się przyjmuje nowy dzień. Jako córka mojej matki i dziecko *tante* Atie.

7

Ulice przecinające Flatbush Avenue przypominały mi rodzinne strony.

Mama zabrała mnie do Haiti Express, żebym zobaczyła, skąd wysyłała nam przekazy pieniężne i kasety.

Było to małe pomieszczenie pełne Haitańczyków. Ludzie stali w kolejce, czekając cierpliwie, aż zostaną obsłużeni. Mama pakowała kasetę dla *tante* Atie w kopertę z folią bąbelkową. Stary wentylator poruszał strzępy pajęczyny pod sufitem.

Gdy dotarłyśmy do okienka, pucołowata kobieta powitała uprzejmie mamę.

– To jest Sophie – powiedziała mama przez dziurki w grubej szybie. – Właśnie z jej powodu miałaś taki ruch w interesie przez te wszystkie lata.

Pani w okienku uśmiechnęła się, po czym wzięła od mamy pieniądze i przesyłkę. Czułam, że chcę wysłać *tante* Atie coś więcej. Gdybym miała taką moc, żeby skurczyć się i wślizgnąć do koperty, zrobiłabym to.

Patrzyłam, jak ta pani stempluje naszą kopertę i rzuca na stos przesyłek. Wokół nas były dziesiątki ludzi, którzy usiłowali wtłoczyć całą swoją miłość do małej paczuszki i wysłać do domu.

Potem mama wstąpiła do haitańskiej drogerii i kupiła olej rycynowy, którym smarowała sobie włosy. Następnie poszłyśmy do małego butiku i kupiłyśmy kilka długich spódnic i bluzek, żebym miała w czym chodzić do szkoły. Mama powiedziała, że muszę szybko nauczyć się angielskiego. W przeciwnym razie amerykańscy uczniowie będą mnie wyśmiewać albo, co gorsza, bić. Wiele

matek z domu starców, gdzie pracowała, mówiło jej, że w szkołach dochodziło do bójek z ich dziećmi, bo zarzucano im HZP – haitański zapach potu. Duża część amerykańskich dzieciaków była przekonana, że Haitańczycy chorują na AIDS, bo dowiedziała się z telewizji, że na AIDS zapadają tylko „cztery H" – heroiniści, hemofilicy, homoseksualiści i Haitańczycy.

Chciałam powiedzieć mamie, że nie mam ochoty iść do szkoły. Szczerze mówiąc, bałam się. Próbowałam wymyślić coś, żeby się od tego wykręcić. Choroba albo śmierć były zapewne jedynymi powodami, które skłoniłyby ją do zmiany zdania.

Tak się zamyśliłam, że mało brakowało, a wpadłabym pod samochód. Mama złapała mnie za rękę i pociągnęła na drugą stronę ulicy. Zatrzymała się przed krępą kobietą, która handlowała na ulicy pudrem ryżowym i innymi kosmetykami.

– *Sak passé*, Jacqueline? – powitała ją mama.

– Dobrze wiesz – odparła po kreolsku Jacqueline. – Staram się, jak mogę.

Jacqueline miała na głowie duże lokówki z gąbki osłonięte siateczką na włosy. Mama kupiła krem do twarzy, który miał rozjaśnić jej skórę.

W alei było pełno ludzi, którzy wśród wysokich domów i pędzących aut sprawiali wrażenie, że są nie na swoim miejscu. Chodzili po ulicy, rozmawiali i kłócili się po kreolsku, nawet grali w domino na werandach. Chciałyśmy kupić cytrynowe perfumy, których używała *tante* Atie, i znalazłyśmy je w sklepie *botanica* dla wyznawców kultu santeria. Na półkach stały gliniane słoiczki, lampy naftowe zrobione z puszek i małe posążki pięknej *mulâtresse*, bogini i *loa* Erzulie.

Spacerowałyśmy długimi ulicami, gdzie z okien samochodów dolatywały donośne dźwięki merengue, a dzieci obrzucały się nawzajem przekleństwami.

Naziemne tory metra jakby prowadziły do nieba. Kamyki spadały na nas, gdy przechodziłyśmy pod wiaduktem do następnej, spokojniejszej dzielnicy.

Mama trzymała mnie za rękę i szłyśmy tymi cichymi uliczkami, mijając domy otoczone wielkimi trawnikami, na których małe dzieci tańczyły wokół zraszaczy. Zatrzymałyśmy się przed domem, gdzie chybotała się na lekkim wietrze tabliczka z napisem: Wielmożny Pan Marc Chevalier.

Gdy mama nacisnęła dzwonek, drzwi otworzył przysadzisty Haitańczyk. Miał ciemnobrązową skórę i był bardzo dobrze ubrany.

Mama pocałowała go w policzek i poszła za nim długim korytarzem. Po obu stronach ciągnęły się regały pełne dużych książek. W holu mama puściła moją rękę. Mężczyzna zwrócił się do niej po kreolsku, otwierając drzwi i wprowadzając nas do swojego gabinetu.

Pochylił się i podał mi rękę.

– Nazywam się Marc Jolibois Francis Legrand Moravien Chevalier.

– *Enchanté* – powiedziałam.

Wciągnęłam głęboko powietrze i rozejrzałam się wokoło. Na biurku stało zdjęcie tego pana i mamy upozowanych na niebieskim tle.

– Będziesz pracował do późna? – zapytała go mama.

– Dokąd się wybieracie?

– Wyszłyśmy na spacer – odparła mama. – Pokazuję jej okolicę.

– Potem gdzieś pójdziemy – rzekł i klepnął papierową teczkę na biurku.

Wracałyśmy do domu autobusem. Jechałyśmy w tłoku przyparte do zupełnie obcych ludzi. Po powrocie przejrzałyśmy zawartość mojej walizki i wybrałyśmy luźną sukienkę z wysokim

kołnierzykiem, którą kupiła mi *tante* Atie na niedzielne msze. Mama chciała, żebym włożyła ją na kolację.

– Tak powinna wyglądać prawdziwa młoda dama – oświadczyła.

Tego wieczoru Marc zawiózł nas do restauracji, która nazywała się Miracin's i znajdowała się przy Ashbury Park, w New Jersey. Była wciśnięta między motel a pralnię, na tyłach jakiegoś zaułka.

– Miracin's ma najlepsze haitańskie jedzenie w Nowym Jorku – oznajmił mi, gdy zaparkowaliśmy pod szyldem motelu.

– Marc należy do tych mężczyzn, którzy nigdy nie przeboleją braku jedzenia, jakie robiła ich *manman* – wtrąciła mama. – Gdyby mógł, wyciągnąłby ją z grobu, żeby ugotowała mu obiad.

– Moja matka była niezrównana – powiedział Marc, otwierając nam drzwi samochodu.

Po wewnętrznej stronie drzwi wisiały maleńkie firanki. Gdy weszliśmy do restauracji, rozległ się dźwięk dzwonka. Mama i ja przecisnęłyśmy się między ścianą a stolikiem, wycierając zatłuszczoną tapetę do czysta.

Marc pomachał ręką do mężczyzn, którzy siedzieli razem w kącie i rozmawiali głośno o polityce. Inni goście w zatłoczonej sali przekrzykiwali się, dorzucając do dyskusji swoje opinie.

– Nigdy więcej Amerykanów na Haiti! – zawołał jeden z nich. – Przypomnijcie sobie, jak postępowali w latach dwudziestych. Traktowali nasz naród jak zwierzęta. Gwałcili system *konbit* i zmuszali nas do niewolniczej pracy.

– Drogi, musimy mieć drogi – powiedział inny. – Przynajmniej to nam dali. Moja matka zginęła w wypadku promu. Gdybyśmy mieli drogi, nie musielibyśmy podróżować przepełnionymi łodziami przez morze, żeby dotrzeć z jednej małej wioski do drugiej. Gdy pojedziecie do kraju, wielu z was musi iść pieszo ze wsi do domu, bo nie ma dróg dla samochodów.

– A ci, co uciekają łodziami? – dodał mężczyzna siedzący przy stoliku obok drzwi. – To przez nich nie jesteśmy szanowani w tym kraju. Wrzuca się nas i ich do jednego worka.

– Wykształceni ludzie opuszczają nasz kraj – oświadczył Marc, robiąc jeszcze większe zamieszanie.

– Obrażasz naszych rodaków w ojczyźnie, mówiąc, że nie ma tam wykształconych ludzi – odparła kobieta siedząca przy stoliku z tyłu. – Są tacy, co zostają.

– Ale to kanciarze – rzekł Marc, podgrzewając atmosferę.

– Moja siostra pracuje w tamtejszym Czerwonym Krzyżu – zaoponowała ta sama kobieta, wstając z krzesła. – To ma być kanciarstwo? A ty co zrobiłeś dla naszych rodaków?

Są wśród nas tacy, dla których wymiana zdań jest sportem. Ilekroć dojdzie do sprzeczki na targu na Haiti, zaraz gromadzą się gapie, żeby pośmiać się z barwnego języka. Ludzie rzadko wdają się w bójkę. To nie jest potrzebne, bo mogą równie boleśnie zranić człowieka, ubliżając jego matce, nazywając go odmieńcem seksualnym albo zarzucając mu, że pochodzi ze wzgórz. Jeżeli ten nie umie odpowiedzieć jeszcze mocniejszym zarzutem, zamyka usta, przyznając się do porażki.

Marc wolał nie kontynuować tej dyskusji. Kobieta wciąż naskakiwała na niego, krzyczała, że ma już dość tchórzliwych mężczyzn występujących przeciwko kobietom, które pokazują, na co je stać, są dzielne jak gwiazdy o świcie.

Mama przyjmowała jej barwne określenia z uśmiechem. Teraz to ona powinna wstać i bronić swojego mężczyzny, ale się nie odezwała. Marc patrzył na nią tak, jakby czekał, aż ona go poprze. Natomiast mama wzięła do ręki menu i wodziła palcem po liście dań.

Przedstawiła mnie kelnerowi, gdy podszedł przyjąć zamówienie. Przyglądał się nam dłuższą chwilę. Najpierw mnie, potem

mamie. Chciałam mu powiedzieć, żeby przestał. Między nami nie było podobieństwa. Wiedziałam o tym.

Czekanie na zamówione dania trwało całą wieczność. Gdy wreszcie podano jedzenie, Marc zaczął narzekać na swoje *boudin*.

– Wciąż trąci zwierzęciem.

– A czego się spodziewałeś? – powiedziała mama. – Przecież to świńska krew.

– Nie jest dobrze zrobione – ciągnął, podnosząc widelec do ust. – Wyrabianie *boudin* to sztuka. Polega na właściwych proporcjach. Najlepiej zrobione przypomina zwartą kiełbasę, której składników nawet byś się nie domyśliła.

– Kto nauczył cię tak jeść? – zapytała.

– Jedzenie jest wyrafinowaną przyjemnością – oświadczył – ale w żadnym wypadku nie powinniśmy być obżartuchami i tłuściochami. Słyszysz, Sophie?

Kiwnęłam głową, niby z zainteresowaniem. Objadałam się tak, jakbym właśnie zakończyła strajk głodowy, pochłaniałam mleko kokosowe podawane w prawdziwych zielonych łupinach.

Gdy mama i Marc podnieśli wzrok znad talerzy, wymienili spojrzenia mówiące o tym, że są sprawy, o których nie mogą rozmawiać w mojej obecności. Obżerałam się w milczeniu, udając, że w ogóle ich nie widzę. Mama miała teraz podwójne życie: Marc należał do teraźniejszości, ja zaś byłam żywym wspomnieniem z przeszłości.

– Kim chcesz być, gdy dorośniesz? – zapytał Marc. Odezwał się do mnie takim tonem, jakim mówi się do bardzo małych dzieci albo bardzo starych zwierząt.

– Chcę umieć *dactylo* – odparłam – być sekretarką.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

– W tym kraju człowiek ma wiele możliwości – powiedział. – Powinnaś zastanowić się ponownie, o ile, rzecz jasna, nie jest to twoje powołanie życiowe.

– Ona jest za mała, żeby to wiedzieć – wtrąciła mama i zwróciła się do mnie: – Będziesz lekarką.

– Pozostało jej jeszcze trochę czasu na zastanowienie – rzekł Marc. – Masz chłopca, Sophie?

– Ona nie będzie pozostawiona samopas jak te młode Amerykanki – powiedziała mama. – Znajdzie sobie chłopca, gdy skończy osiemnaście lat.

– A jeżeli wcześniej się zakocha? – naciskał na mamę Marc.

– To poczeka z tym, aż skończy osiemnaście lat.

Do posiłku piliśmy sok z arbuza. *Tante* Atie zawsze mówiła, że jedzenie buraków i arbuzów zwiększa liczbę czerwonych ciałek we krwi i dodaje sił potrzebnych na ciężkie czasy.

8

Nauka w szkole rozpoczynała się za dwa miesiące. Mama zabierała mnie ze sobą codziennie do pracy. Agencja, która ją zatrudniała, nie była z tego zadowolona, ale mama nie miała innego wyboru. Przecież nie mogła mnie zostawić samej w domu.

Gdy pracowała w ciągu dnia w domu starców, robiła porządek koło starych ludzi przykutych do łóżek. Niektórzy byli w wieku mojej babci, ale nie mogli sami jeść ani dbać o swoją czystość. Mama zmieniała im nieprzemakalne podkłady w łóżkach, myła pachy i nogi, a potem karmiła ich w czasie lunchu.

Całe dnie spędzałam w pokoju dziennym, oglądałam telenowele i uczyłam się od czarnoskórej staruszki robić szalik na drutach.

Kiedy mama pracowała w nocy, było lepiej. Starsza pani już spała, gdy mama przychodziła i przejmowała obowiązki od innej opiekunki. Szła do salonu i rozstawiała mi do spania łóżko polowe. Sama spała zazwyczaj na podłodze w pokoju starszej pani na wypadek, gdyby coś się stało w środku nocy.

Pewnej nocy, pod koniec lata, poprosiłam ją, żeby trochę ze mną posiedziała. Miałam już dość tego, że jestem sama, i tęskniłam za domem.

– Jeżeli ta pani zacznie krzyczeć, i tak usłyszymy – powiedziałam.

– Ona nie może krzyknąć – odparła mama. – Miała wylew i nie mówi.

Zrobiła herbatę i mimo wszystko została ze mną przez pewien czas.

– Mało sypiam po nocach – napomknęła. – Gdyby nie to, ta praca byłaby bardzo ciężka.

Zrobiło mi się jej żal. Wyglądała tak smętnie. Jej twarz zmatowiała ze zmęczenia, choć mama ciągle używała kremu, który miał rozjaśnić jej skórę.

Rozłożyła na podłodze kołdrę i wyciągnęła się na niej.

– Wiedz, że to się niedługo zmieni, gdy znajdę pracę, z której pokryję wydatki nas obu, mojej matki i Atie.

– Szkoda, że nie mogę ci pomagać w pracy.

– Chcę, żebyś poszła do szkoły, a potem zrobiła doktorat albo zaszła jeszcze wyżej.

– Przykro mi, że tak ciężko pracujesz – powiedziałam. – Nie zdawałam sobie z tego sprawy,

– Tak to już jest. Życie to nie wakacje. Gdy zdobędziesz wykształcenie, unikniesz zajmowania się pewnymi rzeczami.

Przewróciła się na plecy i spojrzała mi prosto w oczy, co nie zdarzało się często.

Minął już miesiąc od dnia, gdy widziałam Marca. Zastanawiałam się, czy nie wyjechał gdzieś, ale nie chciałam pytać o to mamę, bo może rzeczywiście wyjechał i może z mojego powodu.

– Czy jestem taką matką, jaką sobie wyobrażałaś? – zapytała, leżąc z półprzymkniętymi oczami.

Gdy byłam mała, matka, którą w swoich wyobrażeniach chciałam mieć, przypominała Erzulie, hojną Matkę Dziewicę. Była uzdrowicielką wszystkich kobiet i obiektem pożądań wszystkich mężczyzn. Miała wspaniałe suknie z atłasu, jedwabiu i koronki, naszyjniki, wisiorki, kolczyki i łańcuszki na rękach i na kostkach i mnóstwo, mnóstwo francuskich perfum. Nigdy nie musiała zdobywać niczego pracą, bo tęcza i gwiazdy wszystko za nią robiły. Choć znajdowała się bardzo daleko, zawsze była przy

mnie. Zawsze mogłam na niej polegać, tak jak polega się na tym, że o świcie wstanie słońce.

– Czy byłam taką matką, jaką sobie wyobrażałaś? Nie musisz odpowiadać. Od kiedy mnie zobaczyłaś, znam odpowiedź.

– Na teraz nie mogłabym prosić o lepszą – odparłam.

– Co sądzisz o Marcu? – zapytała, szybko zmieniając temat.

– Jest bystry.

– Bardzo mi pomagał ściągnąć cię tutaj, choć nie podobał mu się sposób, w jaki chciałam to osiągnąć. Na Haiti byłoby nie do pomyślenia, żeby ktoś taki jak Marc kochał się w kimś takim jak ja. On pochodzi z bardzo uczciwej rodziny. Jego dziadek był Francuzem.

Zaczęła opowiadać o tym, jak się poznali. Mówiła, nie przerywając, jakby nagrywała to na kasetę.

Dostała zieloną kartę na mocy ustawy o amnestii imigracyjnej. Żeby załatwić formalności, musiała wynająć adwokata. Znalazła jego nazwisko w haitańskiej gazecie i zadzwoniła do kancelarii. Bardzo się bała, że nie jest uprawniona do ubiegania się o stały pobyt. Długo przekonywał ją, że tak nie jest, i przez ten czas zaprzyjaźnili się ze sobą. Zapraszał ją do restauracji, zawsze haitańskich, czasami dość odległych, na przykład w Filadelfii. Pojechali nawet do Kanady, żeby pójść do restauracji w Montrealu. Marc miał staroświeckie poglądy na wiele spraw i przejął niektóre stare zwyczaje. Nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci w rodzinnym kraju – a przynajmniej nic mu o tym nie było wiadomo – i to budziło jej podziw. Była skłonna zostać z nim, dopóki on nie zacznie stawiać wymagań, których nie będzie mogła spełnić.

– Wyjdziesz za mąż? – spytałam.

– *Jesus Marie Joseph*, bo ja wiem! On jest pierwszym mężczyzną, jakiego miałam od długiego czasu.

Zapytała, czy podobał mi się jakiś chłopiec na Haiti.

Zaprzeczyłam, a ona się uśmiechnęła.

– Kiedy zacznie się rok szkolny, będziesz musiała skupić się tylko na nauce. Jesteś porządną dziewczyną, prawda?

Chodziło jej o to, czy ktoś mnie kiedyś dotykał, czy trzymałam się za ręce albo całowałam z chłopcem.

– Tak, byłam porządną dziewczyną – odparłam.

– Rozumiesz, że jako matka mam prawo zadawać ci takie pytania, prawda?

Kiwnęłam głową.

– Gdy byłam młoda, matka sprawdzała, czy jesteśmy dziewicami. Wkładała palec w intymną część ciała, żeby zobaczyć, czy wejdzie do środka. *Tante* Atie nie znosiła tego. Wrzeszczała jak zarzynane prosię. Zasady, jakie wpojono mojej matce, nakazywały tak postępować wobec córki, dopóki nie wyjdzie za mąż. To matka ma obowiązek dbać o cnotę córki.

Potarła dłonią oczy, jakby chciała odpędzić sen.

– Mama wcześnie przestała mnie sprawdzać – ciągnęła. – Wiesz dlaczego?

Pokręciłam głową.

– Atie nie mówiła ci, jak przyszłaś na świat?

Słysząc smutek w jej głosie, domyśliłam się, że jej opowieść jest bardziej przygnębiająca niż historia o kawałku nieba i płatkach kwiatów, którą słyszałam od *tante* Atie.

– Nie dam rady opowiedzieć ci tego szczegółowo – mówiła. – Było tak. Szłam skrajem drogi, gdy jakiś mężczyzna rzucił się na mnie, zaciągnął na pole trzciny cukrowej i włożył cię w moje ciało. Byłam wtedy jeszcze młodą dziewczyną, trochę starszą od ciebie.

Nie naciskałam na nią, żeby dowiedzieć się więcej. W jakiejś mierze nie zrozumiałam, co powiedziała mama. W dużej mierze nie chciałam zrozumieć.

– Sądziłam, że Atie ci powie. Nie znałam tego mężczyzny. Ani przez chwilę nie widziałam jego twarzy. Gdy mi to robił, miał zasłoniętą twarz. Ale patrząc teraz na ciebie, myślę, że ludzie mają rację. Nieślubne dziecko jest zawsze podobne do ojca.

W jej głosie nie było urazy czy złości. Powiedziała to tak, jakby stwierdzała fakt. Jakby określała jakiś kolor albo wymawiała czyjeś imię. Jakby mówiła o czymś, co już istnieje i czego nie da się zmienić. Dwanaście lat zabrało mi odtworzenie całej historii mojej mamy. Ale wtedy było już za późno.

Część druga

9

Miałam osiemnaście lat i jesienią zamierzałam rozpocząć naukę w college'u. Mama nadal pracowała i w dzień, i w nocy, tyle że dłużej. No i przeprowadziłyśmy się do jednorodzinnego domu w obsadzonej drzewami okolicy niedaleko Marca.

W nowym miejscu mama miała za domem skrawek ziemi, gdzie zaczęła hodować hibiskusy. Znudziły ją żonkile.

Nowy salon urządziłyśmy na czerwono, poczynając od dywanu i kończąc na plastikowych różach stojących na niskim stoliku. Miałam własną dużą sypialnię z nowym skrzypiącym łóżkiem. Pokój mamy był jeszcze większy, z garderobą, w której można by ugościć kilku przyjaciół. W niektórych domach na Haiti taka garderoba byłaby osobnym pokojem, a wiszące ubrania wcale by nie przeszkadzały dziecku, które miałoby szczęście tam spać.

Przed przeprowadzką chodziłam do szkoły podstawowej i średniej prowadzonej przez haitańskich adwentystów. Dyrekcja szkoły zapewniła mamę, że zostanę przyjęta do college'u, i dotrzymała słowa. Teraz, gdy parę miesięcy dzieliło mnie od pierwszych zajęć w college'u, mama nie posiadała się ze szczęścia. Jej wysiłki nie poszły na marne.

Nigdy nie powiedziałam mamie, jak bardzo nie cierpiałam Dwujęzycznej Placówki Oświatowej Maranatha. Czułam się tam tak, jakbym w ogóle nie wyjechała z Haiti. Wszystkie lekcje, prócz zajęć z pisania wypracowań po angielsku i z literatury angielskiej, były prowadzone po francusku. Poza terenem szkolnym byliśmy „Francuzikami", kuliliśmy się w mundurkach naszej niby-katolickiej szkoły, gdy uczniowie z państwowego ogólniaka po drugiej

stronie ulicy wyśmiewali nas, wyzywając od śmierdzących Haitańczyków, którzy nielegalnie przybyli do tego kraju łodziami.

Kiedy mama była w domu, kazała mi czytać na głos urywki z angielskich podręczników pisania wypracowań. Pierwsze angielskie wyrazy, które przeczytałam, brzmiały jak plusk wpadających do rzeki kamieni. Z czasem zaczęły powoli nabierać sensu. Niektóre słowa często słyszałam. Pojawiały się w rozmowach nowojorskich Kreolów, wyskakiwały jak ostatnie ziarno w maszynie do popcornu. Na przykład *TV*, *building*, *feeling* – wyrazy, które Marc i mama wplatali nawet w trakcie gorącej dyskusji politycznej po kreolsku. *Mwin gin yon feeling*. „Mam *feeling*, że Haiti stanie kiedyś na nogi, ale nie za mojego życia", mówiła mama, jak zawsze pesymistka.

Pomocne były też wyrazy, które niemal tak samo wyglądały po francusku, ale inaczej wymawiało się je po angielsku: *nationality, alien, race, enemy, date, present*. Te i inne słowa pozwalały mi domyślić się sensu reszty zdania.

W końcu sama zaczęłam słyszeć, że czytam coraz lepiej. Szybko odpowiadałam na pytania, które mama zadawała mi po angielsku. Nie znaczy to, że miałam sposobność popisywać się swoimi umiejętnościami w szkole, ale porozumiewałam się w języku angielskim.

– Wiedza nakłada na człowieka ogromne obowiązki – twierdziła mama.

Moim ogromnym obowiązkiem było pilnie się uczyć. Przez sześć lat nie robiłam nic innego. Szkoła, dom i modlitwa, na okrągło.

Tante Atie powiedziała kiedyś, że miłość jest podobna do deszczu. Czasem przychodzi jak mżawka. Potem wzmaga się jak ulewa i jeżeli człowiek nie będzie ostrożny, utonie w powodzi.

Mając osiemnaście lat, zakochałam się. On miał na imię Joseph i był stary. Tak stary jak Bóg z moich wyobrażeń, wszechobecny i pełen mądrości.

Trochę przypominał *monsieur* Augustina. Miał skórę koloru mielonej kawy, krótko ostrzyżone włosy i głos jak melasa, który przemieniał się w muzykę, gdy Joseph przykładał do ust saksofon.

Kiedy wprowadził się do pustego domu obok nas, przełamał monotonię moich codziennych wędrówek między domem a szkołą.

Mama nigdy mu nie ufała. Ciągle dźwięczały mi w uszach jej nieustanne ostrzeżenia: „Trzymaj się z dala od tych amerykańskich chłopaków". Tych chłopaków, którzy wodzili za mną wzrokiem na ulicy. Tych, którzy potem rozpływali się z zachwytu nade mną, choć rzucali mi prosto w twarz, że jestem wstrętną Antylką. „Zwłaszcza od nich trzymaj się z dala. Są rozdrażnieni, bo nie mogą cię mieć".

Oprócz Marca nie utrzymywałyśmy kontaktów z żadnymi mężczyznami. Mężczyźni byli dla mnie równie tajemniczy jak biali, których znaliśmy na Haiti tylko jako misjonarzy. Próbowałam wyobrazić sobie reakcję mamy na Josepha. Już słyszałam, jak mówi: „W żadnym wypadku. Nawet gdyby był ostatnim wolnym mężczyzną na ziemi".

Gdy wracała do domu za dnia i widziała, że Joseph siedzi na schodkach werandy sąsiedniego domu, pozdrawiała go szybkim kiwnięciem głową i przyspieszała kroku. Oplatała mnie mocno ramionami, jakby to miało być osłoną przed jego spojrzeniem.

Szybko zorientowałam się, że chyba mu się podobam. Zdradziło go to, jak śledził mnie wzrokiem, gdy szłam ulicą do domu. Mama często powtarzała: „Podziwiam księży, bo lubią kobiety nie tylko za ich twarze i pośladki". Spojrzenie Josepha szło dalej niż twarz i pośladki.

Sprawiał wrażenie człowieka, który postawiłby dziewczynie kolację, nie domagając się w zamian jej stanika.

Ilekroć przechodziłam koło jego werandy, czułam się tak, jakbyśmy spiskowali. Jak mogłabym posłać mu uśmiech, żeby mama nic nie zauważyła, i jak on mógłby odpowiedzieć na jej i również moje krótkie pozdrowienie, żeby nie dostrzegła mrugnięcia, które było przeznaczone tylko dla mnie?

Nocą wyobrażałam sobie, jak on siedzi gdzieś i usycha z tęsknoty, marzy o mnie, zastanawia się, jak wkroczyć w moje życie. Aż pewnego dnia, niespodziewanie jak deszcz, stanął pod drzwiami frontowymi mojego domu.

Leżałam na kanapie, ucząc się chemii, gdy usłyszałam pukanie. Spojrzałam przezornie przez wizjer. Zobaczyłam Josepha.

– Mogę skorzystać z twojego telefonu? – powiedział. – Kazałem swój wyłączyć, bo niedługo wyjeżdżam z miasta.

Otworzyłam drzwi i zaprowadziłam go do telefonu. Nasze palce zetknęły się, gdy podawałam mu słuchawkę. Szybko wykręcił numer, uśmiechając się i nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

– Udało się? – powiedział do słuchawki.

Podskoczył, słysząc odpowiedź.

– Genialnie! – zawołał.

Podał mi słuchawkę, mrugając okiem.

– Czy zdarzyło ci się, że bardzo czegoś chciałaś i dostałaś to? – zapytał.

Prawdopodobnie miałam głupią minę.

Powtórzył pytanie i po chwili klepnął się w czoło.

– Nawet się nie przedstawiłem.

– Mam na imię Sophie – powiedziałam, uprzedzając go.

– A ja Joseph – rzekł. Już wiedziałam.

– Dostałeś dobrą wiadomość?

– Czym się zdradziłem?

Patrzył na mnie tak, jakby spodziewał się równie dowcipnej odpowiedzi. Nie byłam zbyt wygadana ani nie miałam szybkiego refleksu. Nic mi nie przychodziło do głowy.

– To rzeczywiście była dobra wiadomość – ciągnął. – Mamy angaż w East Village od teraz do wyjazdu w trasę.

– Angaż?

– Umowę na występy. Jestem muzykiem.

– Wiem. Czasem słyszę, jak grasz w nocy.

– Czy to ci przeszkadza? – zapytał.

– *Non*. Ładnie grasz.

– Słyszę jakiś akcent.

Och, proszę, powiedz, że bardzo lekki, błagałam w duchu. Po sześciu latach pobytu w tym kraju miałam dość uwag na temat swojego akcentu. Chciałam, żeby wszyscy uważali, że mówię z amerykańskim akcentem. Zwłaszcza on.

– Skąd pochodzisz? – zapytał.

– Z Haiti.

– O. Nigdy tam nie byłem. Mówisz po kreolsku?

– *Oui*, *oui* – ośmieliłam się bąknąć dla śmiechu.

– *We*, *we* – powiedział, wskazując na siebie i na mnie. – Mamy coś wspólnego. *Mwin aussi*. Ja też mówię jednym z języków kreolskich. Pochodzę z Luizjany. Moi rodzice twierdzą, że są Kreolami. Jaki mały jest ten świat.

Kiwnęłam głową. Świat rzeczywiście był mały.

– Mieszkasz sama? – spytał.

Natychmiast przypomniała mi się nieustająca podejrzliwość mamy i szybko powiedziałam, że nie. W razie gdyby zamierzał przyjść tu wieczorem i mnie zabić. Ostatecznie to był Nowy Jork. Nikomu nie można ufać.

– Mieszkam z matką.
– Widziałem ją.
– Pracuje.
– Na noce?
– Czasami.
– Mieszkacie tu od niedawna?
Przytaknęłam.
– Tak przypuszczałem – powiedział. – Gdy jestem w Nowym Jorku, zawsze wynajmuję dom w tej dzielnicy i nigdy dotąd cię nie widziałem.
– Sprowadziłyśmy się z rok temu.
– Mniej więcej wtedy byłem ostatni raz na Brooklynie.
– Gdzie przebywasz przez resztę roku?
– W Providence.
Od razu zafascynowała mnie ta nazwa. Providence. Opatrzność! Miasto nazwane tak na cześć Stwórcy, Wszechmocnego. Kto by nie chciał tam zamieszkać?
– Nie ma mnie w domu około sześciu miesięcy w roku – wyjaśnił. – Podróżuję z zespołem do różnych miejscowości, a potem wracam, żeby mieć trochę ciszy i spokoju.
– Jak się żyje w Providence?
– Bez pośpiechu. Jeżdżę nad rzekę i oglądam zachody słońca. Sądzę, że spodobałoby ci się to miasto. Jak mi się zdaje, jesteś wnikliwą, poważną osobą.
– To prawda.
– Lubię takich ludzi. Bardzo lubię.
Pochylił głowę, jakby nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.
Chciałam poprosić, żeby został, ale mama miała niedługo wrócić.
– Pracuję w domu – dodał w końcu – gdybyś chciała kiedyś wpaść.

Przez cały tydzień siedziałam z uchem przytkniętym do ściany, słuchając, jak ćwiczy. Grał dzień i noc, bywało, że po dziesięć, dwanaście godzin bez przerwy. W nocy dźwięki saksofonu brzmiały czasem jak kojąca kołysanka.

Któregoś popołudnia przyniósł kanapkę z szynką i serem, żeby podziękować za udostępnienie telefonu. Usiadł naprzeciwko mnie w salonie, a ja jadłam bardzo wolno kanapkę.
– Co będziesz studiować w college'u? – zapytał.
– Chyba zostanę lekarką.
– Chyba? A chciałabyś?
– Tak mi się wydaje.
– Trzeba wykonywać swój zawód z pasją.
– Mama uważa, że powinnyśmy mieć lekarza w rodzinie.
– A jeżeli ty tego nie chcesz?
– Jest różnica między tym, czego człowiek chce, a tym, co jest dla niego dobre.
– Brzmi to tak, jakbyś powtarzała czyjeś słowa – zauważył.
– Mojej mamy.
– A czego chciałaby Sophie?
Na tym polegała trudność. Sophie nie wiedziała, czego chce. Tak naprawdę nigdy nie miałam śmiałości snuć własnych marzeń.
– Nie wiesz, tak?
Joseph rozumiał nawet moje milczenie.
– W porządku. Wcale nie trzeba wytyczać sobie przyszłości jak drogi na mapie – powiedział. – Wtedy można płynąć z prądem życia.
– Haitańczycy tak nie postępują – odparłam. – To typowe dla Amerykanów.
– Co mianowicie?

– Bycie wędrowcem. Takie myślenie.

– Nie uważam się za Amerykanina – rzekł. – Jestem Afroamerykaninem.

– Jaka w tym różnica?

– Afrykańskie korzenie. To znaczy, że my oboje już jesteśmy ze sobą związani.

Chyba się zarumieniłam. A przynajmniej o mało nie udławiłam się kanapką. Joseph podszedł i klepnął mnie w plecy.

– Już dobrze?

– Wspaniale – powiedziałam, z trudem łapiąc dech.

– Jesteś wspaniałą kobietą.

Znowu zaczęłam się krztusić.

Wiedziałam, co pomyśli sobie mama, gdy się dowie, że odwiedzam sąsiada w ciągu dnia. Porządna dziewczyna w żadnym wypadku nie przebywałaby sam na sam z mężczyzną, na dodatek starszym. Przestałam myśleć trzeźwo. Rano, gdy się budziłam, robiło mi się przyjemnie na myśl, że mam z kim porozmawiać.

Zaczęłam chodzić do niego codziennie. Salon był prawie pusty – w kącie, obok syntezatora i głośników, stała kanapa i kilka pudeł.

Z początku siadałam na podłodze wyłożonej linoleum i słuchałam, jak Joseph gra. Potem przysuwałam się bliżej, aż z czasem pozwolił mi dotykać syntezatora, kładąc rękę na mojej i kierując ruchami moich palców.

Między kolejnymi uderzeniami w klawisze poznałam historię jego życia. Pochodził z klasy średniej, z Nowego Orleanu. Jego rodzice umarli, gdy był chłopcem. Od piętnastego roku życia był zdany na siebie. Poszedł do college'u w Providence, ale po dwóch latach przerwał naukę i kupił sobie tam dom. Miał szczęście, że odziedziczył dość pieniędzy, by zostać muzykiem, jak to sobie wymarzył. Lubił grać pieśni niewolników murzyńskich, Negro spirituals, na saksofonie i na pianinie, zmieniając tempo melodii raz na wolniejsze, raz na szybsze. Zamierzał wrócić do Providence, osiąść tam na dobre i pisać własne pieśni.

Opowiedziałam mu o Croix-des-Rosets, o państwu Augustinach i o *tante* Atie. To temat na wspaniałą pieśń, powiedział. Był kilka razy na Jamajce, na Kubie i w Brazylii, bo szukał powiązań między Negro spirituals a muzyką latynoską i karaibską.

Poszliśmy do sklepu z muzyką haitańską przy Nostrand Avenue. Joseph kupił kilka płyt i codziennie jedliśmy lunch, słuchając dudnienia bębnów i konch.

– Ożenię się z tobą – powiedział pewnego razu podczas lunchu. – Choć już wiem, jakie będą z tym problemy. Twoja matka wyjdzie z siebie, bo jestem taki stary.

Gdy się zaprzyjaźniliśmy, wcale nie wydawał mi się stary. Mówił i zachowywał się jak młodzi. Miałam wrażenie, że jesteśmy równolatkami, tylko on, by użyć określenia *tante* Atie, wykształcił w sobie więcej dobroci.

– Nie jesteś bardzo stary – odparłam.

– Bardzo nie, ale stary, co?

– Wiek nie ma znaczenia.

– Tylko młodzi tak twierdzą. Wątpię, czy twoja mama zgodzi się z tobą.

– Nie musimy jej mówić.

– Będzie wiedziała, ile mam lat, gdy tylko na mnie spojrzy.

– Ile masz lat?

– Dużo. Więcej niż ty.

Pewnego dnia, gdy go odwiedzałam, zerknęłam ukradkiem na jego prawo jazdy i zobaczyłam, w którym roku się urodził. Był w wieku mojej mamy, młodszy może o miesiąc czy dwa.

– Podobno mężczyźni wyglądają dystyngowanie na starość – wtrąciłam.

– Łatwo ci mówić.

– Pokładam wiarę w młodości serca.

– To bardzo dojrzałe stwierdzenie.

Wieczorem rozstawałam się z nim ze smutkiem. Chciałam iść na jego występ i posłuchać, jak gra z zespołem, ale bałam się, co powie mama.

Któregoś dnia zapukał do moich drzwi późno w nocy. Mamy nie było w domu, pracowała na noc. Gdy wyszłam na dwór, zobaczyłam, że Joseph siedzi na schodach od frontu. Nadal miał na sobie czarny smoking, w którym chodził do pracy. Przyniósł mi plakaty legendarnych muzyków, którzy byli jego idolami: Charliego „Bird" Parkera i Milesa Davisa.

– Szkoda, że mnie dzisiaj nie słyszałaś, Sophie – powiedział. – Byłem taki rozogniony, że można było smażyć mi na twarzy banany rajskie.

Oboje roześmieliśmy się głośno, ściągając spojrzenia przechodniów.

– Pójdziesz na kolację? – zapytał. – Wszystko jedno gdzie. Jestem ogromnie podekscytowany swoją grą, więc nie rób mi zawodu.

Zadzwoniłam do mamy, do domu starszej pani, pod pretekstem, że chcę powiedzieć dobranoc. Potem pojechaliśmy na Long Island, do Café des Arts, która, jak twierdził Joseph, była zawsze otwarta do późna.

Pierwszy raz piłam cappuccino z odrobiną rumu – podzieliliśmy się maleńką filiżanką. Joseph bał się, że po powrocie zastaniemy w domu czekającą na mnie mamę. Gdy pędziliśmy autostradą,

chcąc wrócić przed wschodem słońca, powiedział, żebym wystawiła głowę przez dach kabrioletu. Miałam wrażenie, że jestem tak wysoko, iż mogę umyć włosy w chmurze i wziąć do ust gwiazdę.

– Zachowuję się nieodpowiedzialnie – rzekł Joseph. – Twoja matka każe mnie aresztować. Na szczęście jesteś już pełnoletnia.

Staliśmy na progu, a on trzymał mnie za mały palec, bujając moją ręką.

– Masz cudowny wpływ na moją znajomość angielskiego – powiedziałam z nadzieją, że nie zabrzmi to tak, jakbym się narzucała.

– Jesteś taką piękną kobietą.

– Twoim zdaniem jestem kobietą? Jeszcze nikt mi tego nie powiedział.

– W takim razie wszyscy są ślepi.

Oparłam głowę o jego ramię i patrzyliśmy, jak rozjaśnia się niebo.

– Czy wiesz, że cię lubię? – zapytał.

– Wiem.

– A ty mnie lubisz?

– Nie będziesz mnie szanował, jeżeli powiem „tak".

Odrzucił do tyłu głowę i parsknął śmiechem.

– Skąd ci to przyszło na myśl?

– Może mówisz tak, żeby dostać to, czego chcesz.

– A czego twoim zdaniem chcę?

– Tego, czego chce każdy mężczyzna.

– A mianowicie?

– Nie powiem.

– Będziesz musiała – nalegał. – Co to takiego? Życie? Wolność? Pogoń za szczęściem? – Natychmiast puścił moją rękę. – Nie o to mi chodzi. Wyrosłem z tego. Nie zamierzam powiedzieć, że jestem ponad to, bo tak twierdzą księża, ale nie o to mi chodzi.

– Więc czego chcesz ode mnie?

– Szczęścia.

– Prosisz mnie, żebym była z tobą?

– Tak. Nie. Nie w ten sposób, jak myślisz. Chodźmy spać, oddzielnie, osobno. Żegnaj. Dobranoc.

Czekał, aż wejdę do domu. Zamknęłam za sobą drzwi na klucz. Gdy leżałam w łóżku, nie śpiąc, słyszałam, jak grał na syntezatorze. Nuty i gamy spływały niczym krople deszczu, łzy, strumienie. Czułam, jak muzyka wznosi się, wzbiera, jak napręża się całe moje ciało. Potem rozluźniłam się, popłynęłam na fali, wiedząc, że nie wolno mi tego odczuwać.

10

Następnego wieczoru mama wróciła do domu wcześnie.

– Wychodzimy – powiedziała. – Od dawna nie robiłyśmy nic razem.

W zatęchłym żarze stałyśmy na peronie, czekając na metro.

Ludzie w wagonie mieli apatyczny wyraz twarzy, trzymali się kurczowo uchwytów. Na Haiti były tylko linie kolejowe, które łączyły cukrownię w Port-au-Prince z miejscowościami, gdzie znajdowały się plantacje trzciny cukrowej. Nieraz, w drodze do domu, biegłam z innymi dziećmi przy pociągu i staraliśmy się wyciągnąć łodygi trzciny spomiędzy obwiązanych łańcuchem prętów.

Gdy pociąg linii D mknął przez Most Brooklyński, a jego światła kołysały się na wodzie w dole, mama nie odrywała wzroku od rzeki, miała rozpromienioną twarz, jakby gościła na Księżycu.

– Och, gdyby *manman* zechciała przyjechać do Ameryki, Atie zobaczyłaby to na własne oczy – powiedziała.

– Jak myślisz, wrócisz kiedyś na Haiti? – spytałam.

– Muszę tam pojechać, żeby załatwić do końca formalności związane z miejscem spoczynku twojej babci. Chcę ją zobaczyć, zanim umrze. Ale nie zostanę dłużej niż trzy, cztery dni. Wiem, że to brzmi nieładnie, ale nie mogę postąpić inaczej. Tam są duchy, którym nie potrafię stawić czoła, sprawy, które wciąż są dla mnie bardzo przykre.

Czekałam, aż pociąg wjedzie pod ziemię i mama skieruje na mnie swoją uwagę.

– Skończyłam osiemnaście lat – odezwałam się. – Czy teraz mogę kogoś lubić?

– Polubiłaś kogoś?

– Tylko pytam, na wszelki wypadek.

– Polubiłaś?

– Tak.

– Kto to jest?

Bałam się jej powiedzieć.

– Do niczego nie doszło.

– Mam nadzieję – odparła. – Kto to jest?

Czekała na odpowiedź, ale chciałam jeszcze przez chwilę zachować swoją tajemnicę.

– Posłuchaj – powiedziała. – Mężczyzna, którego sobie znajdziesz, musi coś ci dawać. Nie może być włóczykijem. Na to się nie zgodzę.

– On nie jest włóczykijem.

– Skąd wiesz? Myślisz, że podejdzie do ciebie i powie: „Cześć, jestem włóczykijem"?

– Ufam...

– Już jesteś zgubiona – oświadczyła. – Mówisz mi, że mu ufasz, a ja wiem, że już jesteś zgubiona. Jak on się nazywa?

Powiedziałam pierwsze imię, jakie przyszło mi na myśl.

– Henry.

– A dalej?

Dobrze się zastanawiałam, jak ma mieć na nazwisko mój Henry.

– Henry *Je ne sais quoi*.

– Nie próbuj wodzić mnie za nos.

– Tylko żartowałam. Wiem, jak on ma na nazwisko. Henry Napoleon.

– Z tych Napoleonów z Leogane? – Mama zamknęła oczy, jakby miała w głowie obszerne archiwum rodziny.

Napoleonowie z Leogane? Dlaczego pomyślałam akurat o nich? Przecież były znamienitsze rodziny na Haiti. Widziałam, że umysł mamy pracuje bardzo szybko. Są zamożni? A może biedni? Czarnoskórzy? Mulaci? Chłopskiego pochodzenia? Wykształceni? Pracujący zawodowo?

– Chcę go poznać – oznajmiła.

– Nie mieszka tutaj. – Myślałam intensywnie. – Po skończeniu szkoły wrócił na Haiti.

– Przyjedzie z powrotem?

– Nie wiem.

– Chcę poznać jego rodziców. Do dobrego tonu należy, żeby najpierw porozumieli się rodzice. Jeżeli zdarzyło się jakieś zbereżeństwo, można wtedy zwołać zebranie rodzinne i wspólnie coś uradzić. Zawsze warto poznać rodziców.

– Jego rodzice są z nim na Haiti.

– Zamierzają kiedyś tu wrócić?

– Nie wiem.

– To się dowiedz. Gdy tu przyjadą, chcę się z nimi spotkać.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek, pokazując, że doceniam to, iż stara się być dobrą matką. Chciałam jej powiedzieć, że ją kocham, ale te słowa nie przeszły mi przez usta.

* * *

Skoro mama wiedziała o moich sprawach sercowych, musiałam postępować ostrożniej. Gotowałam jej ulubione dania i czekałam na nią z posiłkiem. Rozgniatałam w moździerzu cebulę i przyprawy, starając się dodać potrawom tego szczególnego smaku, który lubiła. Miałam czwórki i piątki z chemii. Starałam się ukrywać smutek, ilekroć Joseph wyjeżdżał z miasta na występy.

Mama czekała cierpliwie na powrót z Haiti Henry'ego Napoleona z Napoleonów z Leogane. Za każdym razem, gdy pytała o niego, korzystała z okazji, by udzielić mi jakiejś ogólnej rady.

– Nowa generacja dziewcząt ma teraz bardzo ciężko – mówiła. – Będziesz musiała wybrać między Haitańczykami naprawdę tradycyjnymi a nowoczesnymi. Staroświecki Haitańczyk nie jest zbyt cenną zdobyczą. Każe ci smażyć banany rajskie, gotować ryż i fasolę i nigdy nie zgodzi się, żebyś podała mu lasagne. Kłopot z Haitańczykami nowej generacji polega na tym, że wielu z nich przestało dbać o honor rodziny. Zamiast zostać lekarzami i inżynierami, wolą prowadzić taksówki, bo w ten sposób szybciej zarobią pieniądze.

Jakimś sposobem dowiedziała się od kogoś w pracy, że Napoleonowie z Leogane są rodem biednym, ale pracowitym. Twierdziła, że na Haiti jest tak: jeżeli matka sprzedawała węgiel, a jej dziecko zostało lekarzem, ludzie mimo wszystko będą traktować je z pogardą, wiedząc, jakie ma pochodzenie. Natomiast w Ameryce ceni się ludzi sukcesu. Im gorszy mieli start, tym bardziej są wychwalani. Matka Henry'ego sprzedawała węgiel na Haiti, ale jej syn zamierzał zostać lekarzem. Więc Henry był człowiekiem sukcesu.

* * *

Joseph wyjechał na miesiąc. Przysyłał mi z trasy pocztówki i listy. Codziennie pędziłam do skrzynki, żeby wyjąć je, zanim mama pójdzie po pocztę. Powiesiłam na ścianach plakaty z legendarnymi jazzmanami i wpatrywałam się w nie dzień i noc.

Gdy mama była w domu, nie spałam całą noc i tylko czekałam, kiedy przyśnią się jej koszmary. Zapadała w sen i wkrótce słyszałam, jak krzyczy do kogoś, żeby zostawił ją w spokoju. Biegłam do jej sypialni, potrząsałam nią, żeby się obudziła i przestała rzucać we wszystkie strony. Reagowała zawsze tak samo. Widząc moją twarz, była jeszcze bardziej przerażona.

– *Jesus Marie Joseph*. – Zasłaniała oczy rękami. – Ocaliłaś mi życie, Sophie.

11

Pierwszego wieczoru po powrocie Josepha do domu poszłam na jego występ. Mama była w pracy. Zaryzykowałam. Włożyłam obcisłą żółtą sukienkę, którą trzymałam schowaną pod materacem. Joseph był ubrany w smoking, krawat i pas smokingowy z afrykańskiego materiału *kente*.

– Mam wrażenie, że wydoroślałaś – powiedział.

– Minęło dużo czasu.

– Czymże jest dla nas czas?

– Co z oczu, to z serca.

– Nie twoje oczy i nie z mojego serca.

Zawsze potrafił znaleźć właściwe słowa.

Gdy jechaliśmy samochodem, opowiadał, że wszystkie miasta, jakie widział podczas podróży, po pewnym czasie zaczęły wyglądać tak samo, że wciąż o mnie myślał i miał poczucie winy wobec mojej matki za to, iż chce mnie jej wykraść.

Cały ten wieczór był niczym spełnienie marzeń. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że znajdę się w takim miejscu jak Note. Na duży parkiet do tańca spływały z sufitu różowe i żółte snopy migających świateł. Tego wieczoru Joseph grał na saksofonie tenorowym. Ton instrumentu przypominał kwilenie, żałobny płacz.

Po występie jechaliśmy mostem, a przed nami wstawał nowy dzień.

– Znowu muszę wyjechać – powiedział Joseph, stojąc na schodach mojego domu. – Mamy grać na Florydzie. Sądzę, że bardzo by ci się tam podobało.

Zdjął z małego palca srebrną obrączkę i wsunął na mój palec. Poczułam, jak zamykają mi się oczy. Przyjęłam pierwszy w życiu pocałunek.

Nie widziałam się z nim przez jakiś czas. Wrócił z Florydy, ale zaraz zaczął pakować rzeczy przed powrotem do Providence. Poszliśmy na kolację do Note. Tym razem nie grał. Siedzieliśmy przy stoliku jak wszyscy goście. Spytał, czy wyjdę za niego.

Nie powiedziałam „nie", ale nie powiedziałam też „tak". Chciałam się zastanowić. Mama nigdy by na to nie pozwoliła. Dostałaby szału.

– Prześpijmy się z tym – powiedział Joseph. – Jeżeli nie wrócisz do tematu, ja też o tym nie wspomnę.

Tej nocy spałam, tuląc swoją tajemnicę.

Gdy mama wróciła z pracy, znowu wybrałyśmy się na przejażdżkę pociągiem, żeby popatrzeć na światła z mostu. Chciałam jej powiedzieć, że kocham kogoś. Może tak, jak ona kochała Marca, albo tak, jak kochała kogoś wcześniej.

– *Manman*, Henry Napoleon nigdy tu nie wróci – powiedziałam.

– Jaka szkoda – odparła. – Słyszałam od Maryse z pracy, że rozpoczął studia w akademii medycznej w Meksyku.

– Ach tak?

– Nie wiedziałaś? Sądziłam, że to on pisze do ciebie listy z różnych zakątków kraju.

Siedziała w milczeniu, a pociąg pędził przez most i w drodze powrotnej wjeżdżał do tunelu.

– Pewnych rzeczy nie utrzymasz w tajemnicy – powiedziała. – A przynajmniej nie przed swoją matką.

Następnego wieczoru, gdy wróciłam do domu po spotkaniu z Josephem, zastałam mamę w salonie. Siedziała tam, kiwając się, i trzymała w ręku pas.

– Myślałam, że nie żyjesz – odezwała się, gdy weszłam do pokoju.

Starałam się przekonać ją, że nie zrobiłam nic złego, ale była trzecia nad ranem. Żałowałam, że poprosiłam Josepha, aby nie wchodził ze mną do domu. Gdyby tu był, kto wie?

– Gdzie byłaś?

Uderzała pasem o dłoń, jej linia życia robiła się coraz bardziej czerwona. Z zaskakującą delikatnością wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na górę do mojej sypialni. Kazała mi położyć się na łóżku, a potem mnie sprawdziła.

Bezgłośnie, poruszając ustami, powtarzałam słowa modlitwy: „Zdrowaś Maryjo... łaskiś pełna... Pan z Tobą... błogosławionaś Ty między niewiastami... Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi".

Wracałam myślą do miłych zdarzeń w swoim życiu. Wspominałam wyjątkowe chwile spędzone z *tante* Atie, Josephem, nawet z mamą.

Podczas sprawdzania, chcąc odwrócić moją uwagę, mama mówiła:

– Marassa byli nierozłącznymi kochankami, jedną osobą w dwóch postaciach. Tak samo wyglądali, tak samo mówili, tak samo chodzili. Gdy się śmiali, nawet ich śmiech brzmiał tak samo, a gdy płakali, ich łzy były identyczne. Kiedy jedno siadało nad strumieniem, drugie wskakiwało do wody, żeby je lepiej widzieć. Kiedy jedno przeglądało się w lustrze, drugie stawało za lustrem, żeby naśladować ruchy tamtego. Jacyż to byli próżni kochankowie, ci Marassa. Podziwiali się nawzajem za to, że są tacy podobni, że jedno jest kopią drugiego. Kiedy kogoś kochasz, chcesz, żeby był bliżej ciebie niż twój Marassa. Bliżej niż twój cień. Chcesz, żeby był twoją duszą. Im bardziej jesteście do siebie podobni, tym łatwiejsze to się staje. Gdybyś, patrząc w strumień, zobaczyła twarz tego mężczyzny, nie pomyślałabyś, że to duch wodny? Nie zaczęłabyś krzyczeć? Nie pomyślałabyś, że on ukrywa się pod powierzchnią wody albo za taflą szkła, żeby cię zabić? Miłość między matką a córką jest głębsza niż morze. Chcesz mnie opuścić dla starego mężczyzny, którego nie znałaś jeszcze rok temu. Ty i ja moglibyśmy być jak Marassa. Rezygnujesz z całego życia ze mną. Rozumiesz?

Sprawdziwszy mnie, powiedziała:

– Pewnych rzeczy nie utrzymasz w tajemnicy.

Przykryła mnie prześcieradłem i wyszła z pokoju, zasłaniając twarz rękami. Zsunęłam nogi i starałam się zobaczyć twarz *tante* Atie. Rozumiałam, dlaczego krzyczała, gdy sprawdzała ją jej matka. *Pewnych rzeczy nie utrzymasz w tajemnicy*.

12

Nie powiedziałam Josephowi, co się stało. Wyjechał do Providence i nie było go przez pięć tygodni. Mama nadal pracowała na nocc. Nie miała wyboru. Jednak co tydzień sprawdzała mnie, chcąc mieć pewność, że jestem nietknięta.

Po powrocie Josepha starałam się go unikać. Miałam nadzieję, że wróci do Providence i zapomni, że w ogóle się znaliśmy. Nie poddał się tak łatwo. Któregoś wieczoru walił w drzwi przez dwie godziny, aż w końcu mu otworzyłam.

– Za tydzień przenoszę się na stałe do Providence – oznajmił zimnym tonem. – Przyszedłem zapytać, czy jest w domu coś, co byś chciała mieć.

– Niczego nie chcę – odparłam, odchodząc.

Obracałam obrączkę na palcu, słuchając zawodzącego w ciemności saksofonu. Od pierwszego sprawdzianu mama rzadko się do mnie odzywała. Słysząc, że wybiera się na spotkanie z Markiem, nie chciałam jej towarzyszyć, a i ona nie zdradzała ochoty, żeby mnie zabrać.

Czułam się samotna i zagubiona, jakbym nie miała po co żyć. Zeszłam do kuchni i przetrząsnęłam szafkę mamy, szukając moździerza z tłuczkiem do rozgniatania przypraw. Położyłam się z tłuczkiem do łóżka, przyciskając go do piersi.

Podobno żyła kiedyś kobieta, której tryskała krew przez skórę, choć nie była uszkodzona. Trwało to długich dwanaście lat. Kobieta chodziła do wielu lekarzy i specjalistów, ale żaden nie potrafił jej uleczyć. Krew wypływała przez nienaruszoną skórę strumieniami, czasem na rękach, czasem na nogach, także na twarzy i na piersi. Zdarzało się to często – jej ubranie nasiąkało jaskrawą czerwienią podczas ważnych uroczystości, na weselach i pogrzebach. W końcu kobieta miała tego dość i postanowiła udać się do Erzulie po radę.

Po rozmowie z Erzulie krwawiąca kobieta zrozumiała, jak ma postąpić. Jeżeli chce przestać krwawić, musi zrezygnować z prawa do bycia istotą ludzką. Może wybrać, kim się stanie – rośliną czy zwierzęciem – ale nie będzie już kobietą.

Kobieta miała dość krwawienia, więc poszła do domu i podzieliła swój dobytek między przyjaciół i osoby najbliższe jej sercu. Potem wróciła do Erzulie, żeby dokonała się przemiana.

„Jaką formę życia chcesz przybrać? – zapytała Erzulie. – Chcesz być bujną zieloną rośliną w ogrodzie? A może łagodnym zwierzęciem pływającym w morzu? Albo dziką nocną bestią?".

Kobieta pomyślała o wszystkich znanych sobie zwierzętach, tych, których ludzie się bali, i tych, które kochali. Pomyślała o tych, które były małe. O tych, które trzymano na uwięzi, i o tych, które żyły na swobodzie.

„Spraw, żebym była motylem" – poprosiła.

„I tak się stanie. Będziesz motylem" – powiedziała Erzulie.

Kobieta uległa przemianie i już nigdy więcej nie krwawiła.

Moje ciało pękło, gdy wepchnęłam tłuczek. Widziałam, jak krew skapuje powoli na prześcieradło. Włożyłam tłuczek i pokrwawione prześcieradło do torby. Już nie było zasłony, na którą natrafiał palec mojej mamy, ilekroć mnie sprawdzała.

Cała drżałam, gdy mama weszła do pokoju, żeby mnie sprawdzić. Rozchyliła moje bezwładne nogi. Odczuwałam taki ból, że ledwie mogłam się ruszyć. Wreszcie nie zaliczyłam sprawdzianu.

Mama chwyciła mnie za rękę i ściągnęła z łóżka. Była opanowana, jej gniew przeszedł w rezygnację.

– Idź – powiedziała zapłakana. Zgarnęła moje książki i ubrania i cisnęła nimi we mnie. – Idź więc do niego i przekonaj się, co on dla ciebie zrobi.

Czekałam, aż usłyszę jej pojękiwanie przez sen. Spakowałam swoje rzeczy do walizki. Ubrałam się w pośpiechu. Zeszłam po cichu na dół i otworzyłam drzwi frontowe.

Zapukałam do domu Josepha. Czekałam, aż mi otworzy.

– Masz kłopoty? – zapytał.

Wprowadził mnie do domu i kazał mi usiąść.

Trochę kulałam. Bolała mnie rana zadana tłuczkiem. Podałam mu swoją walizkę i obrączkę na mały palec, którą mi dał.

– Jestem gotowa na prawdziwą obrączkę – oświadczyłam.

– Chcesz wyjść za mąż?

Kiwnęłam głową.

– Ale musimy zrobić to od razu – powiedział. – W tej chwili.

– Bez księdza?

– Nie zależy mi na tym.

Miałam pewność, że będę szczęśliwa w mieście, które nazywa się Providence. W mieście, do którego wzywał mnie los. Przeznaczenie! W mieście nazwanym tak na cześć Stwórcy, Wszechmocnego. Kto by nie chciał tam zamieszkać?

Część trzecia

13

– Na bogów w Gwinei, jaka ty jesteś piękna – powiedział kierowca, zatrzymując się pod drzewem chlebowym na otwartym targowisku, pośród szop, straganów i stojących gromadkami kobiet.

Pochyliłam głowę i udałam, że nie słyszę, ale on ciągnął:

– Wczołgałbym ci się pod sukienkę i zamieszkał tam. Mogę się sycić twoją urodą jak pijawka krwią. Chciałbym żyć i umrzeć dla ciebie. Kochałbym cię bardziej, niż niebo kocha gwiazdy. Bardziej, niż noc kocha księżyc. Bardziej, niż morze kocha syreny. Niech mnie piorun trzaśnie, nie kłamię. Nie znamy się, to prawda. Ale muszę ci coś powiedzieć. Możesz być sednem mojego życia. „Ja", gdy będę mówił „my". Pierwszą i ostatnią literą mojego imienia, które brzmi „Twój", twój pokorny sługa i przewoźnik.

Był duszny sierpniowy dzień. Słońce, które moi przodkowie uważali niegdyś za boga, smagało mnie po twarzy, jakbym zrobiła coś złego. Lekki wiatr przywiewał na przemian zapach roztartych liści mięty i zastałych sików. Przeszywające dźwięki muzyki soka dolatywały z radia samochodowego, gdy pasażerowie wyskakiwali z kolorowego furgonu, w którym spędziłam ostatnie cztery godziny.

Boki samochodu były pomalowane na wściekły czerwony kolor o odcieniach od wiśniowopurpurowego do krwistoszkarłatnego. Z ceglastorudego pejzażu wyłaniały się sylwetki żyraf i lwów, które jakby szukały skrawka zieleni. Nie dostałabym pożądanego miejsca obok kierowcy, gdyby nie moja „osnuta węglem dziewczęca uroda", jak się wyraził. Przyszłoby mi wtedy siedzieć pośród kobiet jadących na targ, ich dzieci, inwentarza żywego, wiklinowych

koszy i worków z mąką, które odgradzały pasażerki od zwalonych z tyłu łodyg trzciny cukrowej.

DIEU SI BON głosił napis na tablicy z przodu auta. Rzeczywiście, Bóg jest dobry. Gdyby było inaczej, nie dotarłabym z moją córką Brigitte aż tutaj.

– Wspaniała podróż, *pa vrè?* – zapytał kierowca, wyjmując moją walizkę.

– Przynajmniej dojechałyśmy na miejsce – odparłam.

– Nie moja wina, że trochę trzęsło, cudna gwiazdeczko. To nie ja porozrzucałem te góry i wydmy na drodze.

– Wcale cię za to nie winię. Wprost przeciwnie, jestem wdzięczna, że dojechałyśmy cało.

– Nie wszystkie moje podróże przebiegły bezpiecznie. Musisz być aniołem. Przynosisz szczęście. Już nieraz wylądowałem w wąwozie.

– A twoi pasażerowie?

– Mam nadzieję, że są w niebie.

Zdjął biały T-shirt. Pot spływał mu krętymi strużkami od szyi do brzucha. Jego skóra miała jasnokasztanowy kolor jak moja i Brigitte.

– Też ci gorąco? – zapytał.

– Kobieta naraża się na niebezpieczeństwo, gdy rozbiera się publicznie.

– Mimo to chętnie bym zobaczył, czy nago wyglądasz jak bogini. Nie dałabyś się jakoś namówić?

– *Mwin*, jestem mężatką.

– To widać – odparł, wskazując najpierw moją obrączkę ślubną, a potem córkę. – Twoje dziecko jest równie doskonałe jak ty.

– *Ou byen janti*. Jesteś bardzo miły.

– Mówisz po kreolsku bezbłędnie.

– Nie przyjeżdżam do La Nouvelle Dame Marie pierwszy raz. Urodziłam się tutaj.

– I tak zasługujesz na pochwałę, moja droga. Ludzie, którzy spędzili poza Haiti mniej czasu niż ty, po powrocie udają, że nie mówią po kreolsku.

– Może nie umieją.

– Tak łatwo się zapomina?

– Niektórzy chcą zapomnieć.

– Ty najwyraźniej nie chcesz – zauważył.

– Chcę pamiętać.

Stara garbata kobieta podeszła, żeby zapłacić za przejazd. Kierowca wygładził jej brudne *gourdes* i szybko przeliczył.

Staruszka stanęła z tyłu furgonu i wskazała spoconemu nastolatkowi swój worek sorgo. Chłopak miał *bourèt*, wózek ręczny na dwóch kółkach zrobiony ze sklejki, i kilku młodszych od siebie pomocników, których nogi były pokryte pyłem. Za nimi biegł chłopiec z latawcem. Szarpał za sznurek latawca, chcąc poderwać go do lotu. Staruszka niemal potknęła się o latawiec, gdy spadł na ziemię.

Brigitte, którą trzymałam na rękach, zaczęła się wiercić. Otworzyła oczy, zatrzepotała długimi rzęsami i znowu zamknęła oczy. Na słabym wietrze szeleściły liście guajaw rosnących teraz wzdłuż gruntowej drogi. Wiatr nanosił ziemię ze wzgórz do doliny, z powrotem do domu mojej babci.

Brigitte otworzyła szeroko usta i ziewnęła, rozciągając wargi do granic możliwości.

– *Mademoiselle* chyba chce znowu jeść – powiedział kierowca.

Patrzył na kobietę, która siedziała w budce wielkości lodówki po drugiej stronie drogi. Kobieta była pulchna i piękna, o jasnomiedzianej skórze. Miała na głowie niebieską jak niebo

chustkę, a w uszach kolczyki w kształcie kół, które lekko uderzały o policzki.

Była to Louise, córka Man Grace. Przed nią stał w oknie rząd butelek z colą.

– Może byś się czegoś napiła, czekając na swoich? – zaproponował kierowca.

– Mogłabym wypić cały ocean – odparłam.

– Jeżeli tamta *mademoiselle* ma na sprzedaż ocean, na pewno ci kupię.

Nadchodzące przekupki wołały do siebie nawzajem. Gdy jedna zrzuciła ciężki kosz, druga wykrzykiwała z troską w głosie: *Ou libéré?* Uwolniłaś się? A tamta odpowiadała twierdząco, jeżeli postawiła towar na ziemi, nie robiąc sobie krzywdy.

* * *

Siedziałam w cieniu szkarłatnego drzewa *poinciana*, na zakręcie rozwidlającej się drogi. Dałam Brigitte butelkę z mlekiem. Natychmiast zacisnęła usta i ssała ciepły płyn, jakby przez kilka dni nie dostawała nic do jedzenia.

Paru *Tonton Macoutes* wsiadło do furgonu i usadowiło się na pustych siedzeniach, żeby zjeść lunch. Parujące liście bananowców i miski z tykw stanowiły jaskrawy kontrast z ich drelichowymi milicyjnymi mundurami. Z głośnym śmiechem rzucali jeden do drugiego kawałki grillowanego mięsa i małe bułki.

– Mogę ci sprzedać prosiaka – usłyszałam czyjś szept za plecami.

Wzdrygnęłam się. Gwałtownie szarpnęłam się do przodu. Objęłam mocniej Brigitte i niemal wepchnęłam jej butelkę do gardła. Brigitte zaczęła płakać, wypluwając mleko.

– Rozum ci odebrało? – krzyknęłam do kobiety.

Jej twarz zasłaniały zwieszające się gałęzie drzewa *poinciana*.

Oparłam Brigitte o swoje ramię i klepnęłam ją w plecy, żeby beknęła.

– Przepraszam, przepraszam – odezwała się Louise, wychodząc zza drzewa. – Nie chciałam cię wystraszyć.

Kierowca siedział na jej miejscu w budce, przyjmował pieniądze i zdejmował kapsle przed podaniem klientom ociekających pianą butelek.

Kołysałam Brigitte w ramionach, dopóki się nie uspokoiła.

– Mam prosiaka – powiedziała Louise i przycupnęła obok mnie na zrudziałym skrawku trawy.

Kora drzewa drapała mnie w plecy, gdy próbowałam usiąść prosto.

– Chcesz go zobaczyć? – naciskała Louise. – Wystarczy, że na ciebie spojrzę, a od razu wiem, że jesteś osobą, która kocha wszystkie boże stworzenia.

– Nie potrzebuję prosiaka – odparłam.

– To *pryay*, prawdziwa okazja, zaledwie pięćset *gourdes*.

– Nic z tego. – Pokręciłam głową. – Widziałaś moją *tante* Atie?

– Na pewno potrzebujesz. Nie mam wątpliwości – upierała się.

– A ja nie mam wątpliwości, że znasz Atie.

– Jasne, że znam. Jesteśmy jak kawa i mleko, usta i język. Jak dwa palce jednej ręki. Jak para oczu na twarzy.

– Wiesz, co się z nią dzieje? Miała przyjść tu po mnie. Wysłałam jej kasetę z Ameryki.

– Jak tam jest? – Jej oczy rozbłysły. – Czy tak, jak powiadają? Wszystko jest wielkie? Wspaniałe? Pieniądze rzeczywiście leżą tam na ulicach i jest mnóstwo pracy dla służących? *Mwin rélé* Louise.

– Wiem, jak się nazywasz.

– Jestem córką Man Grace.

– Wiem – odparłam.

– Ona odeszła, moja matka nie żyje – ciągnęła. – Znalazła się w Gwinei przede mną. Już wiem, kim jesteś. Sophie. Atie nie przestaje o tobie mówić. Teraz uczę Atie alfabetu, ale ona nie umie napisać nic prócz twojego imienia.

– Mam nadzieję, że mnie pozna.

– Ludzie tacy jak Atie poznają swoich, gdy tylko rzucą na nich okiem.

– Bardzo się zmieniłam od czasu, kiedy byłam dzieckiem. Założę się, że ona też.

– Atie? Ta stara panna miałaby się zmienić?

– Mówisz, że się przyjaźnicie?

– Od kiedy moja matka umarła, jestem sama na świecie. Tak jak ona.

– Co też mogło zatrzymać *tante* Atie? – zastanawiałam się głośno.

– Wiatr ją niedługo przywieje. Na pewno. Mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj.

– Czym się zajmujesz w Ameryce, Sophie? Jaki masz zawód?

– Jestem *dactylo* – odparłam.

– *Ki sa?*

– Sekretarką.

– Zarabiasz pieniądze?

– Przestałam pracować po urodzeniu dziecka.

– Odłożyłaś na tę podróż, *non*?

– Nie planowałam, że tu przyjadę.

Położyłam Brigitte na kolanach. Jej policzki co rusz nadymały się jak baloniki.

– Chcę pojechać do Ameryki – powiedziała Louise. – Popłynę łodzią.

– To bardzo niebezpieczne.

– Wszystko słyszałam. Szmat czasu minął, odkąd nasi ludzie przechodzili do Afryki, jak to się mówi. Na morzu nie ma drzwi. Podobno wszędzie są rekiny, zjadają tylko Haitańczyków. Nie umieją jeść nic innego.

– Skoro o tym słyszałaś, dlaczego chcesz się wybrać w tę podróż?

– Lepiej jest rozlać wodę, niż stłuc dzbanek. Tylko muszę mieć pięćset *gourdes*.

– Wiem, jak jest po tamtej stronie. Morze wyrzuca na brzeg ciała tysięcy ludzi. Mówi się o tym w telewizji, pisze w gazetach.

– Tutaj też. Modlimy się za tych ludzi i grzebiemy zmarłych. Przestań już. Nie mówmy o takich smutnych sprawach. Takie rozmowy przy dziecku ściągają nieszczęście. W jakim wieku jest twoja mała?

Louise wyciągnęła rękę i pogłaskała Brigitte po czole.

– Ma dwadzieścia tygodni.

– A poród? Jakie to uczucie?

– Jakby się rodziło arbuza.

– Jejku! – Skrzywiła się. – Jesteś bardzo *mèg*, chuda. Nie wyglądasz jak tutejsze kobiety, które jedzą, żeby wypełnić puste miejsce po urodzeniu dziecka. Gdy byłaś w ciąży, nie jadłaś kukurydzy, żeby dziecko było żółte?

– Nie przyszło mi to do głowy.

– Powinnaś była jeść miód, żeby miało miękkie włosy.

– Będę pamiętać.

– Może następnym razem, co?

– Może.

– A twoja córka? Jak się nazywa?

– Brigitte Ifé Woods.

– Woods? To nie jest haitańskie nazwisko.

– Nie, *non*. Jej ojciec jest Amerykaninem.

Zawołała chłopca z latawcem i wcisnęła monetę do ubłoconej ręki. Szepnęła mu kilka słów do ucha, a on popędził drogą.

Potem pobiegła do swojej budki i przyniosła butelkę coli z papai. Gdy napój spływał mi do gardła, w całym ciele czułam chłód.

– Wiem, że zapłacisz mi później – powiedziała Louise.

Tante Atie pojawiła się na rozdrożu. Szeroki uśmiech rozjaśniał jej pulchną twarz. Nic się nie zmieniła. Szła, trzymając rękę w zagięciu pleców, jakby bolał ją krzyż. Panama siedziała mocno na jej głowie. Przewieszony przez ramię koszyk z liści palmowych, w którym miała swoje robótki ręczne, obijał się o jej wydatne pośladki.

– Była w drodze – powiedziała Louise.

– *Mim mwoin*! – zawołałam do *tante* Atie. Jestem tutaj!

Tante Atie przybiegła do nas pędem. Musiała dobrze mi się przyjrzeć, żeby dostrzec tamtą dziewczynkę, którą wsadziła do samolotu. Miałam wrażenie, że to było bardzo dawno temu. Zmieniłam się z upływem lat.

– Mojej siostrzenicy już uszy puchną od twojego gadania – odezwała się *tante* Atie, klepiąc Louise po siedzeniu. – Zawsze chcesz odkryć przed kimś duszę.

Louise znalazła się przy swojej budce jednym susem.

– Owinęłabym cię sobą jak kocem – powiedziała ciocia – ale nie chcę zgnieść dziecka.

Podniosłam się z ziemi i podałam jej Brigitte.

– Kto by przypuszczał? – zdziwiła się. – Ten mały skarb ma czarną twarz twojej *manman*. Można by sądzić, że jest dzieckiem Martine, nie twoim.

14

Przy drodze jak dawniej piętrzyły się sterty liści.

Minęła nas wysoka dziewczyna, która trzymała tykwę na głowie.

Niosłam małą walizkę, głównie z rzeczami córki. Brigitte przysnęła na rękach *tante* Atie.

Kobiety, które spotykałyśmy na drodze, mówiły do cioci *madame*, choć nigdy nie była mężatką.

– Nie mogę pojąć, że to twoje dziecko – powiedziała *tante* Atie, kołysząc Brigitte w ramionach.

– Bywa, że i ja tego nie pojmuję.

– Przypomina mi się, jak byłaś też taka mała i nosiłam cię na rękach. To samo uczucie. Jakbym trzymała coś cennego. Nie boisz się czasem, że jej coś złamiesz?

– To nieodrodna córa rodziny Caco. Jest bardzo silna.

Jakaś kobieta siedziała przy drodze, nawlekając fabryczne cekiny, a córka zaplatała jej włosy.

– Louise wspomniała, że nauczyłaś się pisać – powiedziałam do *tante* Atie.

– Pewnie wydaje się jej, że chcę, by rozgłoszono to ze wszystkich wzgórz.

– Bardzo się ucieszyłam.

– Zawsze miałam wrażenie, naprawdę tak było, że w głowie znam słowa. Nie znałam ich na papierze. Teraz zapisuję od czasu do czasu kilka ładnych słów. Louise nazywa je wierszami.

Jakaś stara gospodyni próbowała zabić koguta na podwórku za domem. Kogut wyrwał się jej z rąk i ganiał jak oszalały wokoło, aż

w końcu padł na środku drogi. Przeszłyśmy obok krwawych śladów, a staruszka zabrała martwego ptaka.

– Zawiozłaś swoją córkę do Martine? – zapytała *tante* Atie.

– Mama nie odpowiada na moje listy. Gdy do niej dzwonię, rzuca słuchawkę. Nie widziała mojej córki. Nie rozmawiałyśmy ze sobą od dnia, gdy opuściłam dom.

– To bardzo smutne ze względu na was obie. Bo ani ty, ani Martine nie macie tam nikogo innego. Na dodatek z głową Martine jest nie najlepiej.

Jakiś mężczyzna zbijał gwoździami trumnę przed swoją chatą przy drodze.

– *Honneur*, *monsié* Frank! – zawołała do trumniarza *tante* Atie.

– Uszanowanie. – Posłał jej przyjazny uśmiech.

– Ciągle słyszymy, że tam jest wspaniale – powiedziała *tante* Atie. – Czy Nowy Jork jest rzeczywiście taki okazały, jak się mówi?

– W tym mieście można się łatwo zatracić.

– W tej wiosce, wspaniałej czy nie, też się zatracam.

Mijałyśmy zagrodę Man Grace otoczoną bambusowym płotem. Dom był zniszczony, nadwerężony przez wiatr. Okna zabito szerokimi deskami.

– Kiedy umarła Man Grace? – zapytałam.

– Niemal tego samego dnia, gdy znowu tu zamieszkałam.

– Co jej było?

– Położyła się spać i zwyczajnie przestała oddychać. Pewnie przyszła na nią pora. Louise było bardzo ciężko, gdy umarła jej *manman*. Całe swoje życie spała z nią w jednym łóżku. Leżały obok siebie, gdy Grace odeszła do Gwinei. Do dziś Louise serce pęka, że ma spać sama.

Dom mojej babci nadal wyglądał tak samo. Postawiłam walizkę na werandzie i poszłam za *tante* Atie na tył domu.

Grandmè Ifé właśnie spryskiwała ziemię wodą, żeby potem zamieść podwórko.

– Przyprowadziłam ci twoje dzieci, staruszko – odezwała się *tante* Atie.

– Wiek i małżeństwo poskramiają bestię – powiedziała babcia. – Kogóż ja widzę? To ty, Sophie?

Podeszłam bliżej i przycisnęłam jej palce do swoich policzków.

– Czy ty w ogóle miałaś piersi, gdy widziałam cię ostatnio? – zapytała babcia.

– To nie było aż tak dawno – wtrąciła *tante* Atie.

Oczy babci zaszły łzami. Przytuliła twarz do mojej piersi i objęła mnie w pasie.

– Dałam córce na imię Brigitte Ifé – powiedziałam. – Ifé po tobie.

Wyciągnęła szyję, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Widzicie moją wnuczkę? – zapytała, wodząc kciukiem po brodzie Brigitte. – Drzewo nie rozszczepiło się ani odrobinę. Czy to nie cud, że możemy spotykać wszystkich naszych krewnych, po prostu patrząc na tę twarz?

15

Światła na odległych wzgórzach jarzyły się jak podczas nocnego czuwania ze świecami.

Jadłyśmy kolację przy małym stole na werandzie z tyłu domu.

Przez pierś *tante* Atie biegła wyszyta cekinami linia dachów nowojorskich wieżowców. Przed wyjazdem kupiłam w pośpiechu dwie podobne do siebie bluzy z serii UWIELBIAM NOWY JORK dla cioci i dla babci, zapomniawszy, że babcia nosi *deuil* po śmierci dziadka i do końca życia będzie ubierać się na czarno.

Babcia ciągle przeżuwała jeden kawałek mięsa, a jej spojrzenie wędrowało między moją twarzą a piersią *tante* Atie, tam i z powrotem. Wypiłam duży łyk soku z guanabany, rozkoszując się intensywnym posmakiem brązowego cukru.

– Czy twoja mama nadal gotuje haitańskie potrawy? – zapytała z pełnymi ustami *tante* Atie.

– Nie jestem pewna – odparłam.

Babcia przymknęła oczy, żeby nie okazać niezadowolenia, i dalej żuła mięso.

– A ty? Umiesz coś ugotować? – ciągnęła *tante* Atie.

– Przekonasz się, jeżeli dasz mi zrobić kolację – odparłam.

Lekki wiatr rozwiewał po podwórku węgielki, na których gotowało się jedzenie. Córka uszczypnęła mnie niecierpliwie w szyję, gdy dawałam jej butelkę.

– Dziś wieczorem znowu tam idziesz? – zwróciła się babcia do *tante* Atie.

– Żeby nauczyć się czytać, potrzeba dużo czasu – odparła *tante* Atie.

– Dlaczego nie chodzisz na kurs czytania?

– Chcesz, żebym szła tak daleko po nocy?

– Gdybyś gdzie indziej brała lekcje, odbywałyby się za dnia. Jeszcze wezmą cię za diabła, gdy tak wałęsasz się nocami.

– Noc mam już wymalowaną na twarzy. Dlaczego miałabym się jej bać?

– Wolałabym, żebyś uczyła się gdzie indziej.

– Lubię to miejsce.

– Możesz czytać tylko przy księżycu?

– Wiedza nie bierze się z powietrza, staruszko. Muszę na nią zapracować. Prawda, Sophie?

Nie miałam szansy odpowiedzieć, bo babcia zaraz spytała:

– Nocą możesz tylko pracować?

– Umiejętność czytania nie jest takim darem, jakie masz ty. Nie przyszłam na świat z taką zdolnością.

– Ludzie rodzą się zazwyczaj z takimi zdolnościami, jakie są im potrzebne – oświadczyła babcia.

– Ja dostałam skromniejszy przydział.

– Powiedz to swoim Stwórcom, gdy spotkasz się z nimi w Gwinei.

– Nie wysyłaj mnie do moich Stwórców, staruszko. Poza tym oni powinni usłyszeć mnie i z tego miejsca. – Ciocia podniosła głowę i spojrzała na gwiaździste niebo. – Słuchajcie mnie! Wielcy bogowie, stwórcy księżyca i gwiazd. Popatrzcie, co mi zrobiliście. Oszczędzaliście na glinie, stwarzając tę istotę.

– Bluźnisz! – fuknęła babcia. – Dlaczego ta dziewczyna nie może przychodzić tutaj i uczyć cię alfabetu?

Tante Atie wstała od stołu i wyszła na podwórko. Gdy polała sokiem popiół w palenisku, wróciła po nasze talerze.

Wyniosła je na podwórko, wyszorowała liściem palmowym z mydłem i zostawiła, żeby obeschły.

– Zanim wyjdziesz w noc, może byś nam trochę poczytała?

Tante Atie weszła do domu i przyniosła zeszyt owinięty w papier pakowy. Podniosła zeszyt tak wysoko, że zasłaniał jej twarz, i zaczęła czytać. Z początku się jąkała, ale już po chwili słowa płynęły gładko.

Czytała wierszyk, który napisałam na kartce zrobionej dla niej tak dawno temu, na Dzień Matki.

Moja mama jest jak żonkil,
tak samo gibka i silna.
Moja mama jest jak żonkil,
ale nieugięta na wietrze.

Gdy skończyła, uniosła głowę zza stronic i z rozmachem zamknęła zeszyt.

– Nie zapomniałam tego wiersza. Wpisałam go do zeszytu.

Wstała i powiedziała na odchodnym:

– Idę w noc. Przyzywają mnie duchy samotnictwa.

Dały mi pokój mamy. Miałam to samo łoże z baldachimem i tę samą mahoniową szafę z wyrzeźbionym na niej ogromnym hibiskusem. Lustro na szafie było na tyle szerokie, że widziałam w nim, co się dzieje na werandach z przodu i z tyłu domu. Nawet drzewo *tcha tcha* rosnące dalej przy drodze.

Materac ugiął się, gdy usiadłam na łóżku, żeby przewinąć córkę przy świetle *tèt gridap*, lampy naftowej zrobionej z puszki.

Babcia spała w pokoju obok. Mamrotała przez sen jak stary wojownik w wirze walki. Mama też tak robiła. *Lagé mwin*. Zostaw mnie w spokoju.

Leżałam na łóżku, umieściwszy sobie na brzuchu Brigitte. Czułam na nagiej skórze ciepły, kojący oddech córki. Brakowało nam tylko Josepha.

Gdy byłam w ciąży, Joseph grał nam na saksofonie, sam w ciemności. Przykładał koniec instrumentu bardzo blisko mojego brzucha i wydawał dźwięk cichy jak szept. Brigitte ożywała – czułam, jakby łaskotała mnie pod skórą piórkiem. Joseph przykładał ucho do brzucha, żeby słyszeć każdy jej ruch. Ciągle się bał, że te raptowne obroty uszkodzą mi wnętrzności. Siedzieliśmy bardzo cicho, żeby mogła się uspokoić. Czasami, gdy nie mogła zasnąć, gładził mi brzuch, a wtedy i ona, i ja natychmiast zasypiałyśmy.

Położyłam się do łóżka w starej koszuli Josepha. Wodziłam palcem po kręgosłupie córki. Zadawałam jej pytania, na które w żaden sposób nie mogła odpowiedzieć, na które sama nie znałam odpowiedzi.

– Zapamiętasz to wszystko? Będziesz zła na mamusię, że rozdzieliła ciebie i tatę? Odziedziczysz po mamusi któreś z jej kłopotów?

Córka drżała lekko ubrana w koszulkę nocną. Nagle przyszła mi ochota, żeby opowiedzieć jej bajkę. Kiedy byłam mała, *tante* Atie zawsze starała się opowiadać mi różne historie, zwłaszcza gdy nie mogłam w nocy spać.

– *Krik*?

– *Krak*!

– Dawno, dawno temu... za siedmioma górami... za siedmioma rzekami...

Z nocnych ciemności wydobywała czarowne obrazy. Bujała mnie na kolanach, opowiadając o rybakach i syrenach, na tyle śmiałych, by zakochać się w sobie nawzajem. Syreny zostawiały gwiazdy, które rybacy znajdowali w piasku. Najbardziej umiłowa-

nym rybakom zostawiały swoje grzebienie, które zamieniały się w złoto, gdy rybacy je całowali.

Brigitte przebudziła się z głośnym płaczem. Zawodziła, usiłując dotknąć mojej twarzy. Wytarłam ją mokrym ręcznikiem.

Gdy dałam jej jeść, uchyliłam okno. Babcia nakrzyczałaby na mnie, gdyby zobaczyła, że wpuszczam do domu nocne powietrze.

Tante Atie stała na podwórku, machając do niewidocznej osoby. Odeszłam od okna i położyłam się na łóżku przy córce.

Babcia chodziła głośno tam i z powrotem po swoim pokoju, a *tante* Atie chichotała głośno na podwórku, jakby sobie podpiła. Weszła do domu, tupiąc nogami po cementowej podłodze.

– Lekcje się skończyły? – zapytała babcia.

– Obudzisz Sophie, staruszko – odparła *tante* Atie.

– Siwe włosy są koroną chwały – powiedziała babcia.

– Nie mam siwych włosów.

– Tylko czyniąc dobro, można domagać się szacunku. Nie chcesz, żeby Sophie cię szanowała?

– Sophie nie jest już dzieckiem, staruszko. Nie muszę być w jej oczach świętą.

16

Wstałam, żeby zobaczyć wschód słońca. Siedziałam na schodkach, a w całej dolinie unosiły się chmury dymu z palenisk na węgiel drzewny. Kilka małych jaszczurek o brzuchach rozdętych jak guma balonowa śmigało po zroszonej trawie. Na drodze pojawiła się gromadka kobiet, które jechały po damsku na objuczonych ponad miarę mułach.

Weszłam do małej drewnianej szopy przedzielonej ścianką z blachy na wygódkę i umywalnię. W umywalni stała blaszana miednica pełna liści i deszczówki.

Choć od porodu upłynęło już dużo czasu, wciąż jeszcze miałam wrażenie, że jestem bardzo gruba. Zdjęłam koszulę Josepha i wyszorowałam się leżącymi w wodzie liśćmi. Na skórze pozostały maleńkie ślady ogonków liści, co przypominało mi wyraźną gęsią skórkę po sprawdzianach, które robiła mi mama.

Powąchałam garść liści. Wyczułam mieszankę roślin leczniczych: kocimiętkę, strączyńca, smilaks, guanabanę, płatki krwistoczerwonego hibiskusa, niezapominajki i żonkile.

Po kąpieli owinęłam się ręcznikiem i pobiegłam do domu. Babcia siedziała na krawędzi swojego łóżka z baldachimem. W materacu były rozprute szwy, przez które wpychała do środka swoje najcenniejsze rzeczy.

– *Sophie, sé ou?*

– Tak, to ja – powiedziałam, stojąc w drzwiach.

Pokój był pełen starych koszy, zakurzonych skrzynek i rdzewiejących bębnów z beczek po oleju. Na starej toaletce stał posążek naszej bogini miłości Erzulie, która jednocześnie pełniła

u nas rolę Marii Panny. Miała twarz koloru kukurydzy i długie czarne włosy przykryte małą niebieską chustką.

Poszłam do pokoju *tante* Atie po Brigitte. Ciocia podskakiwała na łóżku z baldachimem, a moja córka leżała między jej nogami. W pokoju nie było okien. Za to na ścianie ze szczelinami, przez które wpadało powietrze, wisiały duże tkaniny przedstawiające ptaki i ryby.

Zabrałam Brigitte do swojego pokoju, żeby umyć ją gąbką. Zaśmiewała się, gdy pudrowałam ją pachnącym talkiem między nóżkami. Jej ciało było trochę cieplejsze niż zwykle. Zaczęłam szukać termometru dziecięcego, który zabrałam ze sobą. Gdy go znalazłam, okazało się, że pękł i rtęć rozlała się w pojemniku.

Doleciał mnie plusk wody w umywalni. Rozchybotane drzwi szopy były otwarte na oścież, w środku stała naga babcia. Uniosła garść liści do nieba, na cztery strony świata, potem poklepała się ogonkami pod jedną pachą i pod drugą, na koniec otrząsnęła się kilkakrotnie, żeby opadły liście z pośladków.

Babcia miała zakrzywione plecy i garb wielkości ananasa, niewidoczny pod ubraniem. Kilka lat wcześniej mojej mamie wyrosły na obu piersiach guzy wielkości jajka, które potem jej wycięto.

17

Jadłyśmy śniadanie – kanapki z chleba z mączki maniokowej. Maczałam swoją w glinianym kubku z gęstą parującą kawą. Mączka rozpuszczała się, a z kawy robiła się papka.

Gdy byłam młodsza, *tante* Atie, widząc, że rozmoczyłam cały swój chleb, zawsze podsuwała mi następną kromkę.

I babcia, i *tante* Atie jadły chleb jak należy. Odgryzały kruchy kawałek i odważnie popijały łykiem bardzo gorącej kawy.

Wyławiałam łyżką kawałki chleba z kubka, trzymając córkę na kolanach. Babcia zerkała na *tante* Atie, a potem odwracała szybko wzrok.

Podczas posiłku *tante* Atie siedziała ze spuszczoną głową. W oddali rozbrzmiewały dzwony katedry w mieście – dźwięk dzwonów tak wczesnym rankiem oznaczał, że odbywa się pogrzeb jakiegoś biedaka.

* * *

Przestałam jeść i uczesałam Brigitte szczoteczką, robiąc jej na czubku głowy kucyk związany małą białą kokardką.

Babcia odchyliła do tyłu głowę i wypiła kawę jednym haustem. Wyjęła spod bluzki spękaną fajkę z gliny, po czym włożyła ją do ust.

– Idę na *maché* – oznajmiła.

Wstała od stołu i zdjęła z haczyka na oparciu krzesła torbę na ramię. Babcia powłóczyła lekko nogą. Wewnętrzna strona stopy była pokryta odciskami wyglądającymi tak samo jak rudawa ziemia na podwórku.

– Ja też mogę? – zapytałam.

– Pewnie – odparła. – Po prostu idź za moim cieniem.

Brigitte zaniosła się głośnym płaczem, gdy podałam ją *tante* Atie.

– Mamusia przyniesie ci z targu ładny prezent – powiedziałam, słysząc echo słów *tante* Atie z dzieciństwa.

Brigitte dalej krzyczała, marszcząc zalaną łzami buzię.

– Idź już, szybko – pogoniła mnie *tante* Atie.

Dopędziłam babcię na drodze.

Mężczyźni pracujący na polach trzciny cukrowej śpiewali pieśni, które niegdyś rozbrzmiewały podczas spotkań *konbit*.

– *Bonjou, grandmè* Ifé – wołali śpiewnie.

– *Bonjou*, dobrzy ludzie – odpowiadała babcia.

– To moja wnuczka, wuju Bazie – powiedziała do starego mężczyzny siedzącego przy drodze.

Rozcinał maczetą cienką łodygę trzciny cukrowej. Zdjął kapelusz i pochylił się przede mną w ukłonie.

– Skąd ona jest? – zapytał.

– Stąd – odparła babcia. – Właśnie stąd.

Babcia robiła zakupy, zachowując się jak generał podczas inspekcji.

– Man Legros. Bóg może marnować czas, ale nie my. Poproszę korę cynamonu, korzenie imbiru i bataty. Chcę ugotować bataty w mleku, więc mają być na tyle słodkie, żebym nie musiała dodawać cukru do mleka.

– Takie może stworzyć tylko Wielki Pan – odparła Man Legros, obciągając stary fartuch zawiązany w pasie.

– Daj mi też *mamit* czerwonej fasoli – ciągnęła babcia. – Fasoli nie trzeba słodzić.

Bacznie przyglądała się, jak Man Legros nabiera blaszanym kubkiem fasolę ze sterty usypanej na tekturze na ziemi.

– Poczekaj, aż się uleży w kubku – domagała się babcia. – Niech osiądzie. I tak obie wiemy, że jest przemieszana pół na pół z kamykami.

– Tu nie ma kamyków – odparła Man Legros. Po jednej i po drugiej stronie miała sczerniały srebrny ząb.

Babcia wyciągnęła z zanadrza małe zawiniątko. Rozwiązała sznureczek sakiewki, wygrzebała garść pomiętych *gourdes* i zapłaciła Man Legros.

Louise siedziała w swojej budce i sprzedawała colę kilku *Macoutes* w jasnych drelichowych mundurach i okularach przeciwsłonecznych. Tym samym, którzy wsiedli poprzedniego dnia do furgonu. Gawędziła z nimi, roześmiana, jak ze starymi przyjaciółmi.

Jeden z nich gapił się na mnie. Był młodszy od pozostałych, wyglądał na nastolatka. Uniósł się na czubkach wysokich butów i odepchnął jakiegoś starca, żeby mieć lepszy widok. Zaczęłam iść szybciej. Jedną ręką złapał się za krocze, drugą posłał mi pocałunek, po czym odwrócił się do swoich kolegów.

Chłopiec z latawcem pociągnął młodego *Macoute* za sztywne drelichowe spodnie, prosząc o pieniążek. *Macoute* sięgnął do kieszeni i dał dziecku monetę. Chłopiec przebiegł przez drogę, żeby kupić sobie miętowy cukierek z trzciny cukrowej.

Babcia chwyciła mnie za rękę i odciągnęła. Podeszłyśmy do stojących rzędem sprzedawców materiałów i kapeluszy. Próbki tkanin przewiesili sobie przez pierś, a kapelusze włożyli jeden na drugi na głowę.

– Mam to w domu – powiedziała babcia, gładząc się po twarzy skrajem białego materiału. – Będzie na mój pogrzeb.

– Przyszłaś kupić ode mnie prosiaka? – zapytała Louise.

Szła za nami, gdy krążyłyśmy wokół straganów pełnych owoców. Babcia nie chciała przyjąć kawałeczków mango od przekupniów, wolała macać i miętosić owoce guanabany, które zamierzała kupić.

– Dobrze się czujesz, *grandmè* Ifé? – zapytała Louise, wyskakując przed babcię.

– *Oui*. Wstałam dziś rano z łóżka. Czuję się dobrze.

– A ty, Sophie? Dobrze się czujesz?

– Bardzo dobrze – odparłam. – Dziękuję.

– Kupisz prosiaka?

– Nie masz nic do roboty? – warknęła babcia.

Chłopiec, którego widziałam z latawcem, zastępował Louise w budce. Louise wciąż szła za nami, nie zwracając uwagi na oschłość mojej babci.

– Nadepnąłeś mi na nogę! – wrzasnął do sprzedawcy węgla *Macoute* o twarzy dziecka.

Dźgnął go kolbą pistoletu maszynowego pod żebro.

– Wiem, jak to się skończy – powiedziała babcia.

Złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Szła szybkim, chwiejnym krokiem, szurając sandałami i powłócząc chorą nogą.

Louise wróciła pędem do swojej budki. Pospieszyłyśmy z babcią do drzewa *poinciana* i ruszyłyśmy w drogę powrotną.

Przystanęłam i odwróciłam się, żeby rzucić ostatnie spojrzenie. Sprzedawca węgla leżał w pozycji embrionalnej na ziemi. Pluł krwią. Podeszli pozostali *Macoutes* i zaczęli kopać go w głowę. Wszyscy patrzyli na to oniemiali z przerażenia, nikt się nie odzywał.

Babcia wróciła po mnie. Chwyciła mnie za rękę tak mocno, że poczułam ból w palcach.

– Ty też chcesz przeżywać koszmary? – krzyknęła.

Szłyśmy w milczeniu, aż usłyszałyśmy pieśni *konbit* dobiegające z pól. Mężczyźni śpiewali o *platonnade*, rozwiązłej kobiecie, która kochała się z mężczyznami spotykanymi nad strumieniem, a potem ich topiła.

Babcia splunęła na ziemię, gdy mijałyśmy chatę Louise.

– Jesteś zła na Louise? – zapytałam.

– Ludzi spotykała śmierć, bo mówili to, czego nie należy – odrzekła babcia.

– Nie lubisz Louise?

– Nie lubię patrzeć, jak zachowuje się twoja *tante* Atie od powrotu z Croix-des Rosets. Od jej przyjazdu jesteśmy jak mleko i cytryna, jak oliwa i woda. Pogrążyła się w smutku, pije *tafia*. Nie zdziwiłabym się, gdyby znowu zaczęła nosić żałobę po swoim ojcu.

– Może tęskni za Croix-des-Rosets.

– To niech tam wraca. Można przyprowadzić muła do wodopoju, ale nie da się zmusić go do picia. Po co tu przyjechała? Gdyby wyszła tam za mąż, nie zostałaby?

– Gdyby wyszła tam za mąż, mieszkałabyś z nią i jej mężem.

– Tak było dawniej – powiedziała babcia. – Teraz dzieci wyjeżdżają daleko. Ludzie tacy jak ja sami troszczą się o siebie.

– *Tante* Atie chce dbać o ciebie.

– Sama dbałam o siebie przez te wszystkie lata, gdy mieszkała w Croix-des-Rosets. I nadal sama dbam o siebie. Kiedy twoja matka znowu się odezwie, poproszę ją, żeby ściągnęła Atie. Niech Atie pojedzie do Nowego Jorku i zobaczy te wspaniałości tak jak ty.

– A ty nie chcesz pojechać?

– Jestem jedną nogą na tym świecie, a drugą w grobie. *Non*, nie chcę. Ale Atie to co innego, powinna tam pojechać. Nie może tu przebywać z poczucia obowiązku. Człowiek powinien robić wszystko z miłością.

– Czy ona wie, że nie chcesz, żeby tu została?

– Powiedziałabym jej to, gdyby podjęła ze mną rozmowę. Twoja *tante* Atie bardzo się zmieniła od czasu, gdy mieszkałyście razem. Choćby to czytanie.

– Moim zdaniem dobrze zrobiła, że nauczyła się czytać – powiedziałam. – Zyskała wolność.

– Jest taka opowieść, którą ludzie w tej dolinie ciągle powtarzają. Pewna stara kobieta ma troje dzieci. Jedno umiera w brzuchu, gdy kobieta jest w ciąży. Drugie wyjeżdża do dalekich krajów, żeby zbić fortunę, i już nie wraca żywe. Ostatnie, córka, zostaje w dolinie i opiekuje się matką.

Tante Atie była ostatnia.

18

Tante Atie wyciągnęła się w starym fotelu bujanym. Brigitte leżała na jej kolanach. Babcia wyniosła fasolę na podwórko, żeby wybrać kamyki. Rozniecila kapeluszem mały ogień, opłukała fasolę i zaczęła ją gotować.

Brigitte ziewnęła przez sen, gdy wzięłam ją na ręce. *Tante* Atie wstała, podniosła z podłogi swój zeszyt i zajrzała do środka. Trzymała zeszyt tak blisko oczu, jakby było w nim lusterko.

– Nie sądziłam, że tak długo będziesz pamiętać mój wierszyk z tej kartki – powiedziałam.

– Gdy człowiek ma coś cennego, nie zapomina o tym.

Przyłożyła zeszyt do piersi i ruszyła w stronę drogi.

– Idziesz na *maché*? – zawołała babcia.

– Coś ci kupić? – spytała *tante* Atie.

– Są kłopoty z *Macoutes* – powiedziała babcia.

– Doszło do bitki?

– Nie idź tam teraz. Odczekaj.

– Z kim się bili? – *Tante* Atie miała zaniepokojoną minę.

– Nie pytałam – odparła babcia.

– Zranili kogoś?

– Węglarza, Dessalinesa.

– Dessalinesa? Dlaczego?

– Gdy ktoś cię nienawidzi, bije twoje zwierzęta. A bo ja wiem!

– Idę kupić lekarstwo na guz na łydce, staruszko. To pilna sprawa. – *Tante* Atie zaczęła iść szybki krokiem w stronę rynku.

– Masz guz na łydce? – zapytała babcia.

Ale cioci już nie było.

Cały dzień pilnowałyśmy z babcią gotującej się fasoli. Chłopiec, którego widziałam z latawcem, przyszedł na podwórko, trzymając w ręku procę. Strzelał kamykami do małych ptaków siedzących na drzewie *tcha tcha*. Pudłował, ale nie zniechęcał się dopingowany od czasu do czasu okrzykami babci i moimi.

– Napij się wody, Eliab! – zawołała do niego babcia.

Wczołgał się pod werandę, gdzie stał gliniany dzbanek z wodą. Gdy podnosił go do ust, trochę wody pociekło mu na brzuch.

* * *

Fasola ugotowała się, gdy zachodziło słońce. Babcia dodała do niej kukurydzę i zjadłyśmy to z kawałkami awokado.

Tante Atie nie przyszła na kolację. Babcia odłożyła dla niej trochę jedzenia, a resztę zostawiła w garnku.

Zanim usiadłyśmy do kolacji, wykąpałam Brigitte w dużej brytfannie, którą babcia wyszperała pod swoim łóżkiem, a potem rozrobiłam mleko w proszku dla dziecka. Po jedzeniu czułam się gruba i miałam poczucie winy.

Eliab z dwoma kolegami wczołgali się pod werandę, wyciągnęli kilka blaszanych talerzy i nałożyli sobie łyżką jedzenie. Usiedli kręgiem i jedli w milczeniu jak klan karłowatych wodzów.

Brigitte próbowała podnieść lewą nogę do ust, żeby possać duży palec.

– Spokojne dziecko – zauważyła babcia.

– Jest taka od urodzenia.

– Kraby nie rodzą papai. Twoja matka też była spokojnym dzieckiem.

Brigitte wyciągnęła rękę, chcąc złapać babcię za nos.

– Co z twoim mężem? – zapytała babcia. – Dlaczego zostawiłaś go tak nagle?

– Nie zostawiłam go na zawsze. Zrobiłam sobie krótkie wakacje.

– Masz kłopoty z obowiązkami małżeńskimi?

– Tak – powiedziałam szczerze.

– Jakie?

– Podobno dla mężczyzny to najważniejsze.

– W nocy?

– *Oui*.

– Nie radzisz sobie? – pytała. – Ciężko ci w nocy? Musi być jakaś satysfakcja. Masz dziecko.

– Bardzo mnie boli.

Wyjęła z kieszeni woreczek, wzięła parę szczypt tabaki i wsadziła sobie do nosa.

– Sekrety nie wychodzą na jaw tylko wtedy, gdy zachowujemy milczenie – powiedziała babcia. – A twój mąż? To dobry człowiek?

– Bardzo dobry, ale nie ma we mnie pożądania. Czuję się tak, jakbym robiła coś złego.

– Matka cię sprawdzała?

– Można tak to nazwać.

– Zawsze tak to nazywałyśmy.

– Ja nazywam to upokorzeniem – powiedziałam. – Nienawidzę swojego ciała. Wstydzę się pokazać je komukolwiek, nawet mężowi. Czasami chcę gdzieś wyjechać i być sama. Dlatego tu przyjechałam.

– *Krik*? – zawołała babcia.

– *Krak*! – odpowiedzieli chłopcy.

Odezwali się chórem, zachęcając babcię, żeby zaczęła opowieść.

– *Tim, tim* – zawołała.

– *Bwa chèch* – odpowiedzieli. – Opowiedz nam bajkę.

– Bajka nie jest bajką, dopóki jej nie wygłoszę. Niech słowa sprawią, że urosną wam skrzydła u nóg.

– Ile będzie dzisiaj?

– Dziś tylko jedna bajka.

Na te słowa, wypowiedziane dostojnym tonem, ucichły odgłosy nocy. Leżałam z Brigitte na łóżku, przez otwarte okno widziałam niczym niezasłoniętą połać nieba. Spadały gwiazdy, jakby rozkruszył się trzymający je razem klej. Nie były to gwiazdy, na których widok wypowiada się życzenie. W Dame Marie spadająca gwiazda oznaczała śmierć jakiegoś człowieka.

– Powiada się – zaczęła babcia – że pewnego razu skowronek ujrzał małą dziewczynkę z wierzchołka drzewa granatu. Była najładniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widział, i chciał ją mieć tak bardzo jak nic innego na świecie.

Babcia klaskała w dłonie do rytmu słów.

– Któregoś dnia, gdy dziewczynka szła drogą do szkoły, skowronek zatrzymał ją i powiedział: „Może chciałabyś ładny, słodki owoc granatu, ślicznotko?". Dziewczynka podniosła głowę i zachwyciła się skowronkiem. Jak pięknie wyglądał w czerwono-zielonych piórach, z długim purpurowym ogonem! Co za widok! A owoc granatu też był wspaniały. Duży jak wasze głowy. Dziewczynka pomyślała, że jadłaby go tygodniami i jeszcze by zostało, więc powiedziała: „Tak, chciałabym". Ptak obiecał dać jej owoc granatu, jeżeli łaskawie pozwoli mu popatrzeć na swoją twarz.

I tak było potem codziennie. Dziewczynka dostawała owoc, a ptak patrzył na jej twarz. Później ptak powiedział: „Dam ci dwa owoce, jeśli zechcesz mnie pocałować". Dziewczynka pomyślała, że granaty są bardzo słodkie i że wszyscy w szkole będą dla niej

mili, gdy ich poczęstuje, więc pewnego dnia pocałowała ptaka i odtąd zawsze dostawała dwa owoce.

Trwało to jakiś czas, aż ptak zapytał: „Chciałabyś wybrać się ze mną do dalekiego kraju? Jesteś taka śliczna i urocza, że chętnie bym cię zabrał daleko stąd". Dziewczynka odparła: „Nie wiem, czy chcę wyjechać". Na to ptak powiedział: „Udamy się w podróż morską". Dziewczynka się wystraszyła, nie chciała opuścić swojej rodziny i wioski. Mówi więc mu: „Na morzu jest mokro". A on powiada wtedy: „Będziesz podróżować na moim grzbiecie". Gdy dziewczynka nie chciała się zgodzić, ptak wpadł w złość. „Jestem wart tego, żebyś ze mną rozmawiała. Jestem wart tego, żebyś mnie całowała. Jesz moje granaty, a nie chcesz udać się ze mną za morze". Ptak miał bardzo smutną minę, wyglądał tak, jakby miał umrzeć ze smutku. Więc dziewczynka uległa namowom ptaka i powiedziała: „Pojadę".

Gdy tylko usiadła na jego grzbiecie, odezwał się: „Nie mówiłem ci tego wcześniej, bo to taka drobna rzecz, ale w krainie, do której się wybieramy, jest król, który umrze, jeżeli nie dostanie serca małej dziewczynki". Dziewczynka odparła: „Nie mówiłam ci tego wcześniej, bo to taka drobna rzecz, ale gdy małe dziewczynki wychodzą na dwór, zostawiają swoje serca w domu. Serca są bardzo cenne, więc dziewczynki nie chcą ich stracić". Ptak był bardzo sprytny, więc zaproponował: „Pewnie chciałabyś wrócić do domu i zabrać swoje serce. To nie ma większego znaczenia, ale serce może ci się przydać". Dziewczynka powiedziała więc: „Dobrze. Wróćmy po moje serce". Ptak zabrał ją do domu i postawił na ziemi. Dziewczynka pobiegła co tchu do swojej rodzinnej wioski i nigdy więcej nie poszła do ptaka. Jeżeli zobaczycie na drzewie pięknego skowronka, powinniście wiedzieć, że czeka na śliczną małą dziewczynkę, która nigdy więcej do niego nie przyjdzie.

Chłopcy wznosili radosne okrzyki i podziwiali spryt ślicznej małej dziewczynki.

– To prawda? – zapytali chórem.

– Taka prawda jak to, że włosy starej kobiety są niebieskie – odparła moja babcia.

Prosili, by opowiedziała jeszcze jedną historię, ale kazała im wracać do domu, zanim wilkołak przyjedzie wozem na trzcinę cukrową, taki, co to wyczuje cię z bardzo daleka, przyjedzie i cię zabije, jeżeli nie pobiegniesz ile sił w nogach przez pola, wyliczając na głos wszystkie swoje przewinienia.

Kilka minut później zadudniły na werandzie kroki *tante* Atie.

– Przeczytasz mi coś? – zapytała babcia.

– Jestem pusta, staruszko – powiedziała *tante* Atie. – Pusta jak sucha tykwa.

19

Tante Atie miała pogodną twarz, gdy następnego ranka stanęła w drzwiach mojego pokoju.

– Dobrze spałaś? – spytała.

Ubrała się w bluzę UWIELBIAM NOWY JORK i tym razem w długą białą spódnicę. Zaczesała do tyłu włosy i upięła na karku w maleńki koczek, który wyglądał jak jeżozwierz.

– Wybierasz się gdzieś? – powiedziałam.

– Atie będzie dzisiaj rozmawiać z miastowymi – odparła. – Louise prosiła, żeby z nią pójść, bo chce się zarejestrować jako mieszkanka tej doliny.

Za nią skradała się babcia, cicho zamiatając szczotką cementową podłogę.

– Po co ona to robi? – wtrąciła się. – I tak niedługo wyjeżdża, *non*?

– Jej nazwisko będzie w dokumentach dla przyszłych pokoleń – odparła *tante* Atie. – Jeżeli ktoś przyjdzie po informację, dowie się, że ona tu mieszkała.

– W tym celu nie trzeba zapisywać swojego nazwiska na kartce papieru – zauważyła babcia.

– Ja też tak zrobię – dodała *tante* Atie.

– Jeżeli kobieta zasługuje na pamięć – oświadczyła babcia – nie musi uwieczniać swojego nazwiska na piśmie.

Louise stała na drodze i głośno wołała ciocię.

– To dziecko ma głos jak dzwon – powiedziała babcia.

– Sama masz głos jak dzwon! – odkrzyknęła *tante* Atie z wnętrza domu.

Wybiegła na werandę. Babcia dotrzymywała jej kroku. Obserwowałam je przez okno, a Brigitte wykręcała głowę na wszystkie strony, żeby zobaczyć, o co chodzi w tym całym zamieszaniu.

Louise stała na środku drogi, czekając na *tante* Atie. Była ubrana w sztywną lawendową sukienkę z wykładanym kołnierzykiem.

– Chodźże, Atie! – zawołała, nie zwracając uwagi na spojrzenia mężczyzn, którzy szli do pracy w polu.

– Czy ta dziewczyna nie może podejść bliżej domu? – powiedziała babcia. – Nie musi robić z nas widowiska. Powiedz jej, żeby tu przyszła. Od tego krzyku liście trzęsą się ze strachu na drzewach.

Tante Atie kiwnęła na Louise, a ta przebiegła przez drogę i wpadła na podwórko.

Wyszłam na werandę, trzymając Brigitte na rękach. Louise chciała się z nią bawić.

– Pamiętam cię – powiedziała i zaczęła robić miny. Brigitte zacisnęła usta, naśladując wyraz twarzy Louise.

Babcia wymachiwała wściekle szczotką i zamiatała z poświstem podwórko.

– Jeżeli ktoś zasługuje na pamięć, ludzie będą o nim pamiętać – mamrotała pod nosem. – Nie musi ryć swojego nazwiska w kamieniu.

– Czas na nas – powiedziała *tante* Atie, biorąc Louise pod rękę.

Tante Atie i Louise pobiegły drogą, a babcia chodziła po podwórku, zbierając patyki i suche liście.

Dałam jej do potrzymania Brigitte, a sama poszłam nad urwisko, żeby wyrzucić brudne pieluchy.

Potem wyjęłam z walizki aparat fotograficzny i zrobiłam kilka zdjęć babci z Brigitte na rękach.

– Aż strach patrzeć na te rzeczy – powiedziała. – Zapalają się i gasną. To wszystko jest podejrzane. Jakby zamykało się w środku ludzką duszę.

Zrobiłam jeszcze kilka zdjęć.

– Ile tego? – zapytała. – Boisz się, że twoja babka rozpłynie się w powietrzu?

– Chcę, żeby Brigitte pamiętała cię, gdy podrośnie – odparłam. – Żeby wiedziała, że ma w sobie sporą część każdej z nas.

– Myślisz, że ona zachowa w pamięci ten dzień?

– Możesz ją sama zapytać za kilka lat.

– Jeżeli dożyję – powiedziała babcia. – Idź ją położyć. Niech trochę odpocznie.

Zabrałam Brigitte do domu i ułożyłam do snu. Gdy spała, wyjęłam z portfela parę zdjęć, które zabrałam ze sobą. Na jednym była Brigitte, cała pomarszczona, parę godzin po urodzeniu. Mało brakowało, a nie pozwoliłabym Josephowi zrobić mi zdjęcia razem z nią. Wstydziłam się, że mam szwy na brzuchu i fałdy tłuszczu na całym ciele.

Spojrzałam na małe zdjęcie z naszego „ślubu". Staliśmy przed sędzią pokoju miesiąc po naszej ucieczce. Po przyjeździe do Providence spędziłam dwa dni w szpitalu i na cztery tygodnie założono mi szwy między nogami. Joseph nie mógł zrozumieć, dlaczego zrobiłam sobie coś tak potwornego. Nie potrafiłam mu wytłumaczyć, że to było jak zerwanie pęt, odzyskanie wolności.

Choć upłynęło wiele tygodni, zanim mieliśmy noc poślubną, i tak odczuwałam ból. Miałam wrażenie, że moje ciało znowu pęka; ból nie minął.

Joseph pytał mnie kilkakrotne, czy naprawdę chcę tego. Zapewne by zrozumiał, gdybym odmówiła. Uważałam jednak, że powinnam tak postąpić z obowiązku wobec męża. Że jestem mu to

winna, bo tylko on troszczy się teraz o mnie. Ten pierwszy raz, bardzo bolesny, dał nam dziecko.

Gdy obudziłyśmy się z Brigitte, wyniosłam ją na werandę i usiadłam w starym fotelu bujanym. Eliab puszczał latawca na podwórku. Choć na niebie kołysało się kilka kolorowych latawców, jego był najbliżej ziemi. Chłopiec ciągle przesuwał się na inne miejsce, starając się zachować równowagę i unieść latawca. Z wolna popuszczał sznurek, żeby latawiec wzbił się w górę.

Inny latawiec spadł w dół jak sęp. Na ogonie miał kawałki szkła i połamane żyletki. Sznurek, który Eliab trzymał w ręku, został przecięty żyletką, a latawiec poszybował na wietrze. Leciał coraz dalej i dalej, aż zanurkował i gdzieś w oddali rozbił się jak zabłąkany spadochron.

Eliab zwijał sznurek. Ciągnął z całej siły, okręcając na patyku. Nagle wydawało się, że sznurek nie ma końca. Chłopiec miał dość zwijania, rzucił patyk i rozpłakał się z żalu.

20

Tego wieczoru Louise przyszła do nas na kolację. Przyniosła nieowłosionego szarego prosiaka, który wyglądał jak szczur. Babcia przygotowywała jedzenie na podwórku; kluski skwierczały, gdy przewracała je na patelni.

– Przyniosłam ci prosiaka – powiedziała Louise, pokazując mi zwierzę. – Jednego z tych mniejszych, niedawno się urodziły.

– *Mèsi mil fwa*. Jak to miło – odparłam.

– W prezencie, nic dla pieniędzy – ciągnęła.

Brigitte chciała dotknąć brązowych oczu prosiaka. Louise szybko się odsunęła w obawie przed niezdarnymi ruchami jej palców.

– *Mèsi* – powiedziałam. – Bardzo dziękuję. Wpisałaś się do ksiąg miejskich?

– Z całą pewnością. Atie też to zrobiła. I zarejestrowała twoją babcię.

Głaskała delikatnie grzbiet prosiaka, nie zważając na to, że zwierzę trąca ją ogonem w brodę.

– Odebrałam przesyłkę z poczty – oznajmiła *tante* Atie, po czym wyjęła z torby list ekspresowy z zagranicy.

Na liście widniał adres mojej mamy przy Nostrand Avenue.

– Gdzie jest magnetofon, staruszko? – zawołała *tante* Atie.

Babcia wskazała swój pokój. Ciocia pobiegła tam i natychmiast przyniosła magnetofon. Postawiła go na schodkach i rozerwała kopertę.

Babcia usiadła na najniższym schodku. Patrzyła na pokrywające się chmurami niebo, gdy głos mojej mamy wydobywał się z małych głośników.

„*Allo, manman* i Atie. Dzień dobry albo dobry wieczór, w zależności od tego, czy u was jest ranek, czy wieczór. Mam nadzieję, że jesteście zdrowe. Co do mnie, wiecie, jak to jest. Płynę z prądem. Przynajmniej nie trafiłam do szpitala dla umysłowo chorych. Mam nadzieję, *manman*, że dostałaś pieniądze, które wysłałam w zeszłym miesiącu. Nie zapomniałam wysłać trochę więcej, jak prosiłaś, na załatwienie spraw związanych z twoim pogrzebem. Ale nie ma pośpiechu, *manman*, wciąż jesteś młoda. Skoro już mowa o młodych, nie chcę, żebyście upadały na duchu, ale dzwonił do mnie niedawno mąż Sophie i mówił, że wyjechał w trasę z koncertami. Zostawił w domu Sophie z dzieckiem, a teraz próbuje do niej dzwonić, ale nikt tam nie odpowiada. Jest bardzo zaniepokojony".

Chciałam wyłączyć magnetofon, ale babcia słuchała z uwagą, zmarszczywszy czoło.

Prosiak zaczął głośno kwiczeć, zagłuszając słowa mamy. Babcia szarpnęła zwierzę za ogon. Louise odsunęła się z prosiakiem i przycisnęła jego ryjek do piersi. Prosiak piszczał coraz głośniej, więc Louise położyła mu rękę na ryju, żeby go uciszyć.

„Jej mężowi przyszło na myśl, że mogła wybrać się na jakiś czas do mnie. Z tego powodu już wpadam w panikę. Być może poszła po rozum do głowy, ale i tak nie chce do mnie wracać. Palę świece za jej pomyślność. Zielone w intencji życia, jak zawsze mówiłyście".

Nacisnęłam przycisk „stop" palcem u nogi. Prosiak zaczął zawodzić jeszcze głośniej, jakby nagle zorientował się, że może to robić. Babcia wstała i zajęła się znowu gotowaniem.

– Czy nie nadszedł czas, żebyście się pogodziły? – spytała *tante* Atie.

21

Louise przywiązała prosiaka do palika na podwórku. Babcia rzuciła mu stare skórki awokado, a potem podała nam jedzenie.

– Ile pieniędzy brakuje ci na podróż? – zapytałam Louise.

– Od czasu, gdy widziałyśmy się ostatnio, zarobiłam tylko dziesięć *gourdes*.

Brigitte próbowała łapać latające wokoło świetliki.

Po kolacji siedziałyśmy na werandzie na tyłach domu i słuchałyśmy, jak *tante* Atie czyta ze swojego zeszytu.

Moja miłość mówi cichymi głosami.
Jak skrzydlaty kardynał, który całuje własne odbicie.
Li palé vwa mwin,
Trzepotanie skrzydeł, stuk monet,
Brzdęk butelek, poświstywanie węży
I bum bum bębnów.
Moja miłość mówi cichymi głosami.
Piję jej krew z mlekiem,
A gdy przyjemność osiąga szczyt, moja miłość odchodzi.

Była to przeróbka wiersza dokonana przez nią przy pomocy Louise, która przeczytała go w zbiorze francuskiej poezji, będąc jeszcze w szkole.

– Też jesteś poetką – powiedziałam do *tante* Atie.

Przycisnęła zeszyt do piersi.

Gdy skończyła czytać, poszła z Louise na przechadzkę. Ich sylwetki rysowały się w ciemności jak na widokówce.

Babcia zabrała magnetofon do swojego pokoju, żeby do końca wysłuchać wieści od mojej mamy. Jej głos dolatywał mnie przez cienkie ściany.

„Już nie mam zadyszki, ale co jakiś czas śnią mi się złe sny. Myślałam, że to się skończy, ale ostatnio wszystko zaczęło się od nowa".

Brigitte nie spała, nawet gdy babcia zapadła w sen. Owinęłam ją grubym kocem i wyniosłam na werandę, żeby pokazać jej niebo. *Tante* Atie siedziała na schodkach i karmiła prosiaka.

– To samiec czy samica? – zapytałam.

– Czy to nie wszystko jedno w wypadku świni? – odparła pytaniem.

– Chcę dać jej imię.

– Nazwij ją Paul albo Paulette, Jean albo Jeanne. Nie będzie się sprzeciwiała. Niech ci się nie wydaje, że gdy nadasz czemuś imię, będzie w większym stopniu twoje.

– Jesteś w złym humorze?

– Moje życie jest beznadziejne – odparła.

– Co się stało? Tęsknisz za Croix-des-Rosets?

– W Croix-des-Rosets było mi ciężko. Ale tu jest beznadziejnie. Zupełnie beznadziejnie. Nawet gdy patrzę na księżyc i gwiazdy, widzę puste niebo.

W oddali dudniły bębny. Odpowiadało im staccato konch.

– Żałuję, że cię zostawiłam – odezwałam się.

– Nie zostawiłaś mnie. Wezwano cię. Musimy się paść tam, gdzie nas przywiążą.

– Szkoda, że nie zostałam z tobą.

– Nic nie da cofanie się w przeszłość i układanie sobie inaczej życia myślach. Co się stało, to się nie odstanie. Czasem nic się nie da zrobić.

– Chcesz wrócić do Croix-des-Rosets? – zapytałam.

– Wiem, że starzy ludzie są bardzo mądrzy. Nauczono mnie, że nie wolno sprzeciwiać się starszym. Jestem najstarszą córką. Tu jest moje miejsce. Mam kroczyć przed trumną mojej staruszki. Mam prowadzić orszak żałobny. Ale nawet gdyby strzelił teraz we mnie piorun, powiem tak: jestem zmęczona. Pewnego ranka obudziłam się i sama byłam starą kobietą.

Rzuciła prosiakowi małe zielone mango.

– Utrzymują cię w ryzach, żebyś znalazła sobie męża – mówiła. – Wsadzają ci rękę w majtki i w środku nocy sprawdzają, czy wciąż jesteś nietknięta. Nasłuchują, gdy siusiasz, bo a nuż siusiasz za głośno, a to znaczy, że masz duży odstęp między nogami. Parzysz sobie palce, gdy uczą cię gotować. A potem i tak nie masz nic.

Prosiak podskoczył, żeby złapać skórkę awokado. Sznurek na jego szyi zacisnął się i zwierzę zaczęło się dławić. *Tante* Atie podbiegła, żeby rozluźnić pętlę.

– Zabierz dziecko do domu – powiedziała. – Przecież znasz te przerażające historie o nocnych stworach.

Prosiak kwiczał przez całą noc. *Tante* Atie budziła się kilka razy i sprawdzała, czy nic mu nie jest. Babcia wstała, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Ta Louise zawsze narobi kłopotu. – Babcia wyładowywała swoją złość na *tante* Atie. – Wszystko, co ma z nią związek, poczynając od jej cienia, a kończąc na tym prosiaku, oznacza kłopoty.

– Nie męcz mnie dzisiaj, staruszko. – *Tante* Atie starała się nie podnieść głosu.

Prosiak znowu wydał przeciągły nosowy pisk.

– Zabiję go! – zawołała babcia. – Jak nic zabiję!

Moja córka obudziła się z donośnym płaczem.

Nakarmiłam ją i ponownie ukołysałam do snu. Prosiak nadal kwiczał, ale nic nie mogłam na to poradzić.

Następnego ranka Louise wpadła do naszego domu, ledwie łapiąc dech. Miała twarz czerwoną od łez i bluzkę mokrą od potu.

Babcia dała mi znak, żebym zabrała dziecko do domu. Stanęłam w drzwiach, przywierając do córki.

Patrzyłam od progu, jak *tante* Atie daje Louise kubek zimnej wody z dzbanka pod werandą.

– *Li allé*. To koniec – wysapała Louise, jakby miała jednocześnie napad duszności i czkawki. – Zabili Dessalinesa.

– Kto? – zapytała babcia.

– *Macoutes*.

Louise wtuliła twarz w zakole szyi *tante* Atie. Ich twarze były tak blisko siebie, że gdyby obie kobiety odwróciły się jednocześnie, spotkałyby się ich usta.

– Uspokój się – mówiła *tante* Atie, gładząc Louise po głowie.

– Dlatego nie mogę tu zostać – szlochała Louise. – Muszę wyjechać.

– Umarł biedny człowiek, a ty myślisz tylko o swojej podróży – warknęła babcia.

– Następnym razem *Macoutes* mogą dopaść mnie albo was – jęknęła Louise.

– Na nas już padło – powiedziała babcia. – Sophie, nie wychodź z małą za próg. Nie pokazuj się z nią, dopóki ten niespokojny duch jest w obejściu.

Tonton Macoute z bajek był złym duchem, straszydłem w ludzkim ciele. Ubierał się w drelichowy kombinezon i nosił kord oraz słomianą torbę na plecy. W torbie zawsze miał strzępy niegrzecznych dzieci, które ćwiartował i, gdy dopadł go głód, zjadał. *Jeżeli nie będziesz szanować starszych, zabierze cię Tonton Macoute*.

Macoutes, którzy nie występowali w bajkach, włóczyli się po ulicach w biały dzień i obnosili się ze swoimi pistoletami maszynowymi uzi.

Kto wymyślił Macoutes? Ani diabeł, ani Bóg.

Zwyczajni przestępcy poruszali się w nocy nago. Smarowali ciała oliwą, żeby każdemu wyślizgnąć się z rąk. Natomiast *Macoutes* nie ukrywali się. Wchodzili do domów, żądali jedzenia i gospodyni. Wpychali ją do jej własnej sypialni, a potem było słychać tylko krzyki, aż przyszła kolej na jej córkę. Gdy matka stawiała opór, zmuszali ją, żeby spała ze swoim synem, bratem albo nawet ojcem.

Możliwe, że mój ojciec był *Macoute*. Jakiś nietutejszy mężczyzna dopadł moją matkę – wówczas szesnastoletnią dziewczynę – gdy wracała ze szkoły do domu. Zaciągnął ją na pole trzciny cukrowej i przyparł do ziemi. Twarz miał zasłoniętą czarną bandaną, więc widziała tylko jego włosy koloru bakłażana. Walił ją, a ona była zbyt oszołomiona, żeby wydobyć głos. Gdy skończył, kazał jej położyć się twarzą do ziemi i zagroził, że ją zastrzeli, jeżeli podniesie wzrok.

Przez następne miesiące bała się, że on wyłoni się z ciemności i zabije ją we śnie albo wydrze rosnące w niej dziecko. Nocami darła prześcieradło i gryzła się po ciele, gdy miała koszmarne sny.

Babcia wysłała ją do bogatej rodziny Mulatów w Croix-des-Rosets, u której wykonywała różne prace jako *rèstavèk* w zamian za mieszkanie i wyżywienie. Choć mama była w ciąży i na wpół obłąkana, ta rodzina przyjęła ją, bo babcia gotowała im i sprzątała przez lata, zanim wyszła za mąż za dziadka.

Mama wróciła do Dame Marie po moich narodzinach. Kilka razy próbowała się zabić, gdy byłam niemowlęciem. Koszmarne

sny były po prostu zbyt prawdziwe. Opiekowała się mną *tante* Atie.

Bogata rodzina Mulatów pomogła mamie załatwić dokumenty potrzebne do wyjazdu z Haiti. Minęły cztery lata, zanim dostała wizę. Gdy zaczęła wracać do równowagi, wyjechała.

Tante Atie zabrała mnie do Croix-des-Roset, żebym chodziła do szkoły. Po moim wyjeździe przeprowadziła się z powrotem tutaj i zajęła babcią.

Jakoś tak się stało, że śmierć Dessalinesa przywołała te wszystkie przerażające wspomnienia. Babcia zabroniła mi wychodzić z Brigitte na dwór, dopóki Dessalines nie spocznie w ziemi. Tej nocy otworzyłam okno i słuchałam, jak nocny wiatr szeleści w oddali suchymi strąkami drzew *tcha tcha*.

Tante Atie rozmawiała z Louise. Miała stłumiony głos i przyspieszony oddech, zanosiła się głośnym płaczem.

– To w spokojnej, cichej wodzie człowiek tonie. Nigdy nie przypuszczałam, że z takim smutkiem będę patrzyła Sophie w twarz.

Prosiak głośno zakwiczał, gdy Louise pobiegła pędem. *Tante* Atie wślizgnęła się do domu bocznym wejściem.

– W żadnym wypadku nie powinnaś wychodzić na dwór w taką czarną noc. – Babcia czekała w środku. – Ptak zagnieździł ci się we włosach? Chyba straciłaś rozum.

– Może dobra śmierć wyzwoli mnie od tego wszystkiego – powiedziała *tante* Atie.

Usłyszałam głuchy odgłos, jak uderzenie w twarz.

Tante Atie wypadła z domu na werandę.

Kiedy wyszłam na dwór, *tante* Atie siedziała przy lampie ze swoim zeszytem na kolanach. Zawinęłam poły koszuli Josepha między nogi i przycupnęłam na górnym schodku, obok niej.

– Odwiedzasz czasem pana Augustina? – zapytałam.

– Nie. Bywa, że ludzie znikają z naszego życia, i to nie jest wcale takie złe.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, patrząc na gwiazdy.

– Przepraszam, pójdę do domu – powiedziałam. – Nie chcę zostawiać małej zbyt długo samej.

– Staruszka zamierza zawiadomić twoją mamę, że tu jesteś – poinformowała mnie *tante* Atie.

– Jej nie obchodzi to, gdzie jestem.

– Zbyt surowo ją oceniasz.

– Po ślubie z Josephem pisałam do niej co miesiąc. Wysłałam jej zdjęcia Brigitte. Odbiera listy, ale nie odpisuje.

– Przyjedzie – powiedziała *tante* Atie.

– Dokąd?

– Tutaj. Od dawna obiecywała, że przyjedzie załatwić sprawy związane z pogrzebem staruszki, więc staruszka wyśle jej kasetę, błagając, żeby przyjechała, a wtedy możecie się pogodzić.

Następnego ranka Brigitte obudziła się wcześnie gotowa bawić się i podskakiwać. Położyłam ją na łóżku i próbowałam robić jej gimnastykę dla dzieci.

W pokoju obok babcia nagrywała na taśmę odpowiedź dla mojej mamy.

„Martine, *ki jan ou ye?* Jak się miewasz? U nas wszystko dobrze, Ojciec Czas wskazuje nam drogę swoim cieniem. Jestem zdrowa, choć czasem bolą mnie stare kości. Umarł Dessalines, z rąk *Macoutes*. Pamiętasz go? Był węglarzem. O Atie nie ma co mówić. Zachowuje się tak, jakby leżał jej na piersi wielki kamień. Żyje w smutku. Nie martw się o Sophie. Może zrobiła sobie trochę wakacji. Ptak zawsze wraca do gniazda".

Babcia przerwała, żeby odchrząknąć. Brigitte chwyciła mnie za palce i mocno ściskając, przekręciła się na bok.

– Atie jest w swoim pokoju? – krzyknęła babcia.

– Wyszła! – odkrzyknęłam.

Brigitte zapiszczała, chcąc się przyłączyć do krzyków.

– Chcesz coś przekazać swojej matce?

– Nie!

Rozległ się trzask wyłączanego magnetofonu.

– Powiesz coś jeszcze? – zapytała babcia.

– Wydaje mi się, że dość już powiedziałyśmy.

W oddali rozdzwoniły się dzwony na pogrzeb Dessalinesa. *Tante* Atie weszła chwiejnym krokiem do mojego pokoju, kołysząc się na boki. Osunęła się na podłogę i przy tym prawie nadepnęła na moją wyciągniętą nogę i paluszki u nóg Brigitte. Miała przekrwione oczy, raz po raz mrugała powiekami, jakby nie chciała, żeby oczy się zamknęły. Strzeliła palcami i zrobiła kilka min do Brigitte, by przyciągnąć jej uwagę.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Świetnie, doskonale.

Zalatywało od niej rumem. Wyciągnęła się na podłodze i po kilku sekundach zasnęła.

Obudziła się w południe, spoglądając dokoła z panicznym strachem.

– Gdzie jest mój zeszyt? – zapytała. – Widziałaś go?

Pokręciłam przecząco głową. Brigitte spała na łóżku. Bałam się, że obudzą ją gwałtowne ruchy *tante* Atie.

– Może jest w moim pokoju – wymamrotała, idąc do drzwi.

– Piłaś? – spytałam.

– Trochę piję, żeby zapomnieć o swoich kłopotach – odparła. – Nie jest to większa przywara niż zażywanie tabaki przez staruszkę.

Wyszła na podwórko, spryskała twarz wodą i skierowała się w stronę drogi.

Wróciła nad ranem. Zbudziły mnie głosy na podwórku.

– Idź już – powiedziała *tante* Atie.

– Chcę zobaczyć, że weszłaś do domu – upierała się Louise. – Połóż się i daj odpocząć tej swojej łydce.

– Od bólu łydki jeszcze nikt nie umarł – oświadczyła *tante* Atie. – Mówisz tak, jakbym była starszą panią. Jeszcze nie chodzę o lasce.

– Atie, bądź grzeczna. Wejdź do środka.

Słyszałam, jak *tante* Atie wchodzi do domu, a potem zwala się na trzeszczące pod jej ciężarem łóżko.

Louise poszła do siebie sama w rzednącym mroku.

22

Następnego ranka wokół werandy krążyło stado tęczowych motyli. Siedziałam na schodkach i patrzyłam, jak zza upstrzonych chatami wzgórz wyłania się wschodzące słońce.

Babcia wyszła z domu, mając twarz upudrowaną popiołem. Gdy przechodziła koło mnie, stuknęła czubkiem laski w moje kolano. Opuściła czarną woalkę na twarz i zaczęła przesuwać paciorki różańca.

Usłyszałam krzyk Brigitte z pokoju *tante* Atie i natychmiast wbiegłam do domu. *Tante* Atie chodziła tam i z powrotem po pokoju, trzymając małą na rękach. Na mój widok Brigitte wyciągnęła rączki. Wcisnęła twarz w zakole mojej szyi, gdy przytuliłam ją mocno do siebie.

– Czy staruszka wyszła na cmentarz? – zapytała *tante* Atie.

– Nie wiedziałam, że wybiera się na cmentarz.

– Chce oddać ostatnią posługę Dessalinesowi.

Brigitte wbiła mi paznokcie w szyję.

– Ty i Louise bardzo się przyjaźnicie, prawda? – powiedziałam do *tante* Atie.

– Gdy masz dobrą przyjaciółkę, trzymasz się jej obiema rękami.

– Pewnie ciężko zniesiesz jej wyjazd.

– Będzie mi jej brak jak własnej skóry.

Babcia przewiesiła woalkę przez rękę, gdy wracała do domu. Eliab podbiegł do niej i wziął ciężki tobołek. Rozwinął go i powąchał orzechy kokosowe, a potem położył je na ziemi.

– Jak było na cmentarzu? – zapytałam.

– Na cmentarz można się udać na dwa sposoby. Albo na własnych nogach, albo w trumnie. I tak, i tak to ciężki znój. Gdzie jest twoja *tante* Atie?

– Poszła do Louise.

– Nie musiałam pytać.

Wyciągnęła maczetę spod werandy i rozcięła zielony orzech na pół. Eliab podsunął otwartą tykwę, do której spłynął mętny płyn. Babcia wygarnęła łyżką miąższ i wepchnęła sobie do ust.

Rozcięła drugi orzech i przyniosła go mnie. Gdy podniosłam skorupę do ust, mleczko polało mi się na pierś.

Moja córka chciała dotknąć kokosa. Babcia i Eliab siedzieli na pniu starego drzewa i razem wybierali miękki miąższ ze skorupy. Babcia rzuciła kawałek prosiakowi, który podskoczył, żeby go złapać.

* * *

Tante Atie nie przyszła do domu na kolację. Jadłam z babcią na podwórku, trzymając na rękach owiniętą kocem Brigitte. Babcia obserwowała światełko, które poruszało się między dwoma punktami daleko na wzgórzu.

– Widzisz tamto światełko? – zapytała, wskazując przenośną latarnię. – Wiesz, dlaczego przesuwa się tam i z powrotem?

Patrzyła w skupieniu, wodząc wzrokiem za ruchem latarni.

– Rodzi się dziecko – wyjaśniła. – Akuszerka wędruje między chatą a podwórkiem, gdzie ma wrzątek. Niedługo dowiemy się, czy przyszedł na świat chłopiec, czy dziewczynka.

– Skąd będziemy wiedzieć?

– Jeżeli urodził się chłopiec, zawieszą latarnię przed chatą. Jeżeli w domu jest mężczyzna, będzie czuwał przy noworodku całą noc.

– A jeżeli dziewczynka?

– Jeżeli urodzi się dziewczynka, akuszerka przetnie pępowinę i pójdzie do domu. Pozostanie tylko matka, która będzie trzymać swoje dziecko w ciemności. Wszystkie lampy i świece zostaną zgaszone, nie będzie światełka.

Czekałyśmy. Po jakiejś godzinie światełko zgasło. Babcia zdążyła już przysnąć. Kolejna mała dziewczynka przyszła na świat.

23

Następnego dnia zapiał o świcie kogut. Zajrzałam do pokoju *tante* Atie. Jej łóżko było nadal pościelone, bez jednej fałdy. W ogóle nie wróciła do domu na noc. Babcia zrobiła sobie gorzką czarną kawę z grudką soli, żeby przygotować swoje ciało na przyjęcie złych wieści.

Siedziałam z Brigitte na werandzie, czekając, aż będą przechodzić sprzedawcy żywności. Napływali powoli, monotonnym głosem wykrzykiwali, co mają do zaoferowania, i wychwalali swoje towary.

Babcia kupiła banany, gotowane jajka i twarde herbatniki.

Na drodze pojawiły się *tante* Atie i Louise. *Tante* Atie szła przodem, kilka kroków za nią maszerowała Louise.

Babcia podniosła głowę, nie reagując na ich widok. Louise weszła na podwórko, popędziła do drzewa, odwiązała swojego prosiaka i razem z nim wypadła z obejścia.

– Jak to? Co robisz? – zawołałam za nią.

Nie odwróciła się.

– Co jej się stało? – spytałam *tante* Atie.

– *Manman* powiedziała jej, że jeżeli nie zabierze prosiaka, to go zabije – odparła.

Tante Atie niosła mały słoik z trzema pijawkami pływającymi w wodzie.

– To prawda, *grandmè* Ifé? Tak powiedziałaś? – zapytałam.

– Gdy będziemy chciały mieć prosiaka, kupimy go sobie – powiedziała babcia.

– Więc go kupię – oświadczyłam.

– *Non non* – wtrąciła szybko *tante* Atie. – Na pewno przeznaczy pieniądze na przeprawę łodzią do Miami.

– Myślisz, że uda ci się dopilnować, żeby pieniądze nie dostały się w jej ręce? – zapytała babcia.

– Nie chcę wypychać jej na morze – powiedziała *tante* Atie.

Gdy podniosła słoik z pijawkami pod słońce, stworzenia uciekły od światła, ich czarne oślizgłe ciała zwinęły się w kłębuszki. Podwinęła spódnicę i wystawiła łydkę. Otworzyła słoik i przechyliła go, oblewając wodą nogę. Pijawki wypełzły wolno ze słoika i wczołgały się na guz na łydce.

Tante Atie zacisnęła zęby, gdy większa pijawka przyssała się do skóry. Oparła się plecami o barierkę werandy, wyjęła z worka zeszyt i zaczęła pisać swoje imię. Pisała je wiele razy wedle wzoru na górze strony.

Pijawki wysysały krew z guza, aż się opiły i nabrzmiały. *Tante* Atie oderwała je po kolei, a potem przejechała palcami po ich grzbietach i wycisnęła z nich krew do słoika. Poczułam, że kręci mi się w głowie i przewraca w żołądku. *Tante* Atie zauważyła moją zbolałą minę.

– To żaden uszczerbek, aniołku – powiedziała. – Tylko krew, i do tego zła.

Spytałam babcię, czy tego wieczoru mogę zrobić dla nas kolację.

Tante Atie zaproponowała, że zaprowadzi mnie do prywatnego handlarza, u którego żywność można kupić taniej niż na *maché*. Włożyła pijawki do czystej wody i poszłyśmy drogą.

– Co nam ugotujesz? – zapytała.

– Ryż, czarną fasolę i sos śledziowy.

– Ulubione danie twojej mamy.

– Robiłyśmy to najczęściej.

Szłyśmy ścieżką, która odchodziła od drogi i biegła w dół do płytkiego strumienia. Stary muł skubał winorośl rosnącą na brzegu strumienia. Spod pyska zwierzęcia uciekały na boki maleńkie kraby.

Kilka kroków od miejsca, gdzie przechodząc w sandałach, zmąciłam wodę, jakaś kobieta napełniała tykwę. *Tante* Atie gawędziła po drodze z kobietami. Parę młodych dziewczyn o obnażonych piersiach i zacienionych twarzach siedziało w strumieniu, uderzając kamieniami w swoje ubrania, na których tworzyła się poczerniała piana.

Piaszczysta ścieżka doprowadziła nas do okolonego drzewami cmentarza na szczycie wzgórza. *Tante* Atie chodziła między drewnianymi krzyżami, zbierając bambusowe szkielety połamanych latawców. Okrążała skrawki ziemi, gdzie pustymi słoikami, muszlami i szklanymi kulkami zaznaczono miejsce pochówku.

– Idź prosto – powiedziała. – Znajdujesz się w obecności rodziny.

Obchodziła każdy grób i wymieniała imiona osób tam pogrzebanych. Mojej prababki: Ukochana Martinelle Brigitte. Jej siostry: Moja Pierwsza Radość Sophilus Gentille. Siostry mojego dziadka: Moja Nadzieja Atinia Ifé, i na koniec mojego dziadka: Charlemagne Le Grand Caco.

Znała wszystkie imiona na pamięć.

– Nasze nazwisko Caco znaczy szkarłatny ptak. Jego pióra są tak pąsowe, że najczerwieńszy hibiskus czy najjaskrawsze drzewo *poinciana* wydaje się przy nim białe. Gdy ptak caco umiera, cała krew spływa mu do szyi i do skrzydeł, które nabierają wtedy tak intensywnego koloru, jakby buchały ogniem.

Gdy obeszłyśmy cmentarz, ruszyłyśmy wąską ścieżką do chaty handlarza. Po obu stronach ścieżki rosła polna trawa, która wydawała syk, jakby było w niej mnóstwo węży.

Zbliżyłyśmy się do bielonej chałupy, gdzie młoda kobieta sprzedawała ryż i czarną fasolę wysypane na matę z sizalu, która służyła również jako posłanie dla niej i jej męża.

Jej mąż siedział pod słomianym parasolem na podwórku, z fajką w ustach i pękatą butlą przy nogach. Przybijał gwoździkami skórzane paski do cienkiego kawałka wypolerowanego drewna – robił sandały.

Stuk młotka dudnił mi w głowie, dopóki nie doszłam do pól trzciny cukrowej. Mężczyźni śpiewali o kobiecie, która wybiegła w noc, nie mając na sobie skóry, a gdy wróciła do domu, zobaczyła, że skóra jest posypana pieprzem, i nie mogła jej włożyć. W ten sposób mąż dał jej nauczkę. Skończyło się na tym, że ją zabił.

* * *

Byłam zaskoczona, że tak szybko przypomniałam sobie, co się składa na wspaniały posiłek. Zapach przypraw kierował moimi palcami tak, jak nie zrobiłyby tego żadne przepisy i wskazówki.

Tutejsi mężczyźni twierdzą, że ich kobiety są dziewicami i mają dziesięć palców.

Zdaniem *tante* Atie każdy palec do czegoś służył. Tak ją uczono, by przygotowała się do bycia kobietą. Macierzyństwo. Gotowanie. Czułość. Pieczenie. Opieka. Smażenie. Uzdrawianie. Pranie. Prasowanie. Sprzątanie. Wina nie leżała po jej stronie, mówiła. Każdy jej palec miał swoją nazwę, jeszcze zanim się urodziła. Czasem pragnęła mieć sześć palców u każdej ręki, aby zostały dwa tylko dla niej.

Nieustannie biegałam po podwórku od jednego żelaznego garnka do drugiego. Powietrze pachniało przyprawami, których

nie używałam od czasu, gdy przed dwoma laty wyprowadziłam się z domu mojej matki.

Zwykle jadłam, co popadło: obiady z mrożonek, dania z książki kucharskiej, potrawy, które robiło się łatwo, szybko i bez wysiłku. Żadnych wspomnień z przeszłości, czasem cennej, czasem znienawidzonej.

Gdy skończyłyśmy jeść, deszcz wisiał w powietrzu. Huk grzmotów niósł się po bezgwiezdnym niebie, a na wzgórzach migały światła latarni.

– Dobra robota – powiedziała *tante* Atie, gdy czwarty raz dołożyła sobie ryżu i fasoli.

Babcia żuła powoli, karmiąc moją córkę mlekiem z butelki.

– Gdy drewno jest należycie wycięte – powiedziała – dużo to mówi o stolarzu. Dobrze wyuczyłaś Sophie, Atie.

Tante Atie była zaskoczona pochwałą babci. Pocałowała mnie w czoło, zebrała naczynia i umyła je na podwórku. Potem wzięła z domu swój zeszyt i poszła do Louise na lekcję.

Babcia jęknęła niezadowolona. Wyjęła woreczek i wetknęła kilka szczypt tabaki do nosa. Wciągnęła głęboko powietrze, po czym wzięła jeszcze więcej tabaki.

Z zatroskanym wyrazem twarzy wodziła wzrokiem po wieczornym niebie.

– *Tandé*. Słyszysz? – zapytała.

Słyszałam jedynie zwykłe nocne odgłosy: ptaki szeleściły wśród liści, szukając po ciemku drogi.

Często zdarzało się, że kobiety podróżowały nocą, pokonywały znaczne odległości, pieszo albo na kobyle, żeby nie wydawać pieniędzy na jazdę samochodem do Port-au-Prince.

Wytężałam wzrok, chcąc przeniknąć gęsty mrok, jakim drzewa osnuwały drogę.

– Dziewczyna wraca do domu – mówiła babcia. – Nie widzisz jej. Jest daleko stąd. Całkiem daleko. Odległość jest nieważna. Gdy słyszę dziewczynę z daleka, budzi się uczucie, coś przyzywa moją duszę. Jeżeli twoja dusza jest z kimś złączona, zawsze czujesz, gdy coś się dzieje z tą osobą.

– Ta dziewczyna na drodze to *tante* Atie?

– *Non*. To naprawdę dziewczyna. Młoda kobieta.

– Coś jej grozi?

– Dlatego nasłuchujesz. Powinnaś słyszeć, jak młode stopy nadeptują na mokre liście. Gdy dziewczyna uderza stopami o ziemię, rozlega się świst, a gdy się spieszy, brzmi to jak poganianie muła batem.

Wysilałam słuch, ale nie słyszałam uderzenia bata.

– W ciemności wszyscy mężczyźni są czarni – ciągnęła babcia. – Niczego się nie dowiesz, jeżeli nie będziesz miała uszu otwartych. Gdy nasłuchujesz, jest tak, jakbyś przedtem była głucha, a teraz odzyskała słuch. Czasami czyjś płacz nie daje ci spać. Szept zdaje się rykiem. Twoje uszy są świadkami spraw, które ciebie nie dotyczą. I co gorsza, nie możesz zapomnieć. A teraz nasłuchuj. Przy każdym kroku dziewczyny rozlega się świst, a gdy się spieszy, brzmi to jak uderzenie bata na wietrze.

Choć się starałam, nie doleciało mnie uderzenie bata.

– Tak płaczą starzy mężczyźni – mówiła babcia. – Dzielni dorośli mężczyźni płaczą w szczególny sposób, gdy się boją.

Zamknęła oczy i opuściła głowę, żeby się skupić.

– To Ti Alice – powiedziała.

– Kto to jest Ti Alice?

– Dziecko w zaroślach. Ktoś jest tam z nią.

– Grozi jej niebezpieczeństwo?

Babcia zacisnęła powieki.

– Znam Ti Alice. Znam jej matkę.

– Dlaczego jest w zaroślach?

– Ma teraz ze czternaście, piętnaście lat.

– Co ona tam robi?

– Biegnie z powrotem do matki. Jest z chłopcem, swoim przyjacielem.

Miałam wrażenie, że słyszę stłumione szepty.

– Chyba coś do mnie dotarło – powiedziałam podniecona, kołysząc swoją córkę.

– Ti Alice i ten chłopiec mówią sobie do widzenia po wieczornym spotkaniu.

Babcia objęła się ramionami i zaczęła się kołysać.

– Co się teraz dzieje? – spytałam.

– Matka czeka na nią w drzwiach chaty. Wciąga ją do środka i zamierza sprawdzić.

Na dźwięk tego słowa przebiegł mnie dreszcz po plecach.

– Chce sprawdzić, czy młodziutka Alice jest wciąż dziewicą – mówiła babcia. – Matka wciągnie córkę do chaty i włoży w nią mały palec, żeby zobaczyć, jak głęboko wejdzie. Mówiłaś niedawno, że twoja matka też cię sprawdzała. To samo dzieje się teraz z Ti Alice.

Słyszałam, że obsesję naszych matek na punkcie naszej czystości i cnotliwości porównuje się do kultu dziewictwa. Moja mama zawsze nasłuchiwała, jakie odgłosy dobiegały z ubikacji, gdy oddawałam mocz. Gdyby były zbyt głośne, oznaczałoby to, że zostałam zdeflorowana. Już w młodym wieku wiedziałam, że dziewice stawiają drobne kroki. Nigdy nie robią szpagatu, nie jeżdżą konno ani na rowerze. Zawsze mają dokładnie zakryte ciało i nawet pod groźbą utraty życia nie zdejmują majtek.

Powiada się, że żył kiedyś niezwykle bogaty mężczyzna, który ożenił się z biedną czarną dziewczyną. Wybrał ją spośród setek ładniejszych dziewcząt, ponieważ była nietknięta. Na noc poślubną kupił jej najbielsze, jakie znalazł, prześcieradło i koszulę nocną. Sobie zaś kupił bańkę gęstego mleka koziego, które zamierzał wypić po dodaniu kropli krwi dziewiczej panny młodej.

Nadeszła noc poślubna. Dziewczyna nie krwawiła. Mężczyzna musiał bronić swego honoru i reputacji. Następnego ranka nie mógłby pokazać się mieszkańcom miasta, gdyby nie wywiesił na podwórzu zakrwawionego prześcieradła. Bardzo się starał, żeby dziewczyna zaczęła krwawić, ale mimo jego wysiłków tak się nie stało. Wziął więc nóż i naciął ją między nogami. Polało się dość krwi, żeby poplamić suknię ślubną i prześcieradło i zrobić duże wrażenie na sąsiadach. Ale krew płynęła dalej jak woda. Nie dawało się jej zatrzymać. W końcu dziewczyna wykrwawiła się i umarła.

Później mąż szedł w orszaku pogrzebowym, niosąc zakrwawione prześcieradło, aby wszyscy widzieli, że jego wybranka była dziewicą w noc poślubną. Stojąc nad grobem, pił kozie mleko z jej krwią i płakał jak dziecko.

Zamknęłam oczy, żeby odpędzić wspomnienie, jak mama wsuwa rękę pod prześcieradło i wsadza mały palec w próżnię, mając nadzieję, że zmieści się tylko paznokieć.

Tak jak to było z *tante* Atie, opowiadała mi przy tym różne historie, snuła misterne opowieści, żebym nie myślała o jej palcu, który, jak wiedziałam, pewnego dnia wsunie się tak głęboko, że będzie to dla mnie wyrokiem. Nauczyłam się rozdwajać podczas sprawdzianu. Zamykałam oczy i wyobrażałam sobie wszystkie miłe rzeczy, jakich zaznałam. Powiew chłodnego wiatru, który przelatywał przez naszą bugenwillę. Łagodny głos *tante* Atie, który niósł się przez pole żonkili.

W naszej historii było wielu przodków, którzy się rozdwajali. Zgodnie z tradycją wudu uważa się, że większość naszych prezydentów miała postać składającą się po części z ciała, po części z cienia. Tylko tak mogli mordować i gwałcić tylu ludzi, a zarazem wracać do domu, żeby bawić się ze swoimi dziećmi i kochać ze swoimi żonami.

Po ślubie rozdwajałam się za każdym razem, gdy spałam z Josephem.

– Po co matki robią te sprawdziany? – zapytałam babcię.

– Gdy umiera ci dziecko, ty nie umierasz. Ale gdy twoje dziecko okryje się hańbą, ty też jesteś okryta hańbą. Poza tym ludzie sądzą, że gdy w domu nie ma mężczyzny, córka zejdzie na złą drogę.

– Twoja matka też ci to robiła?

– Od dnia, gdy dziewczyna zacznie miesiączkować, do dnia, gdy wyjdzie za mąż, matka jest odpowiedzialna za jej czystość. Jeżeli dałabym zbrukaną córkę jej mężowi, mógłby okryć wstydem moją rodzinę, powiedzieć o mnie złe rzeczy, a nawet odesłać dziewczynę z powrotem do domu.

– Gdy sprawdzałaś moją mamę i *tante* Atie, nie widziałaś, że one tego nie cierpią?

– Musiałam dbać o ich czystość, dopóki nie wyjdą za mąż.

– I tak nie wyszły za mąż.

– Brzemię spoczywało nie tylko na mnie.

– Nie znosiłam tych sprawdzianów – powiedziałam. – To była najgorsza rzecz, jaka spotkała mnie w życiu. Gdy teraz jestem z moim mężem, dręczą mnie takie koszmary, że muszę zaciskać zęby, żeby znowu to zrobić.

– Bądź cierpliwa, to mija.

– Nie, *grandmè* Ifé, nie mija.

– Ti Alice zaliczyła sprawdzian.

Niebo poczerwieniało, gdy nagle rozdarła je błyskawica.

– Masz już dziecko. Trzeba ci wiedzieć, że matka robi wszystko z myślą o dobru swojego dziecka. Nie możesz ciągle znosić tego bólu. Musisz się uwolnić.

Poszłyśmy do mojego pokoju i położyłyśmy Brigitte spać.

– Niedługo wyjadę – powiedziałam do babci. – Wrócę do męża.

– Tak będzie lepiej – odparła. – Kobiecie jest ciężko wychowywać córki samodzielnie.

Poszła do swojego pokoju, wzięła posążek Erzulie i wetknęła mi go w rękę.

– Moje serce płacze jak rzeka, że sprawiłyśmy ci tyle bólu – powiedziała.

Położyłam się do łóżka, tuląc posążek do piersi, i przepłakałam całą noc. Wydawało mi się, że słyszę również płacz babci, ale to deszcz padał na dach, przechodząc z wolna w mżawkę.

Następnego ranka poszłam pobiegać, najpierw drogą, potem przez cmentarz i na wzgórza. Słońce już wysuszyło większość kałuż po nocnym deszczu.

Po drodze widziałam, że ludzie przyglądają mi się ze zdziwieniem. *A więc tak zachowują się nasze dziewczęta, gdy stąd wyjadą?* Stają się tak bojaźliwymi istotami, że pędzą jak wiatr – bez żadnego powodu.

24

Trzy dni później przyjechała mama. Dostrzegłam ją, gdy siedziała na wózku ciągniętym przez dwóch nastoletnich chłopców.

Eliab wpadł na podwórko, złapał babcię za rękę i pociągnął na drogę.

Mama schowała się za czerwoną parasolką, żebyśmy nie widziały jej twarzy.

Babcia wyszła za Eliabem na skraj drogi.

– Ta pani – odezwał się Eliab, wskazując parasolkę osłaniającą twarz mamy – ta pani mówi, że jest twoja.

Tante Atie była na podwórku i gotowała wodę na poranną kawę. Poderwała się, gdy babcia zaczęła wykrzykiwać imię mojej mamy.

– *Min Martine!*

– *Tololo. Tololo* – dorzucał Eliab, jakby wróciła jego własna matka, którą stracił dawno temu.

Babcia chwyciła szczotkę i wbiła w ziemię, żeby się czegoś przytrzymać.

Mama złożyła parasolkę i umieściła na dużej walizce leżącej obok niej na wózku.

Otoczyła ją gromadka przekupniów, którzy wykrzykiwali słowa powitania. Mama całowała handlarzy w policzki i głaskała ich dzieci po głowach. Z zaciekawieniem spoglądali na wiśniowy pulower wzdęty jak balon na jej drobnej postaci.

Babcia stała w miejscu rozdygotana. *Tante* Atie wzięła się pod boki i patrzyła przed siebie. W ogóle nie wyglądała na zdziwioną.

Wiatr powiewał apaszką mamy, zieloną jak banan rajski. Mama przebiegła w podskokach przez drogę. Eliab krążył wokół niej jak bezskrzydły motyl.

Podeszła do babci i pocałowała ją. *Tante* Atie zbliżała się do niej wolnym krokiem, nie sprawiała wrażenia zbytnio podekscytowanej. Mama promieniała radością.

Tante Atie dotknęła ustami jej policzków, a potem poszła z powrotem na podwórko i dalej podsycała ogień, machając kapeluszem babci.

– *Sak pasé*, Atie? – zapytała mama.

– Przyjechałaś – odparła *tante* Atie, nie przestając machać kapeluszem. – To się wydarzyło.

Trzymałam się barierki werandy jak kotwicy. Minęły prawie dwa lata od czasu, gdy widziałyśmy się ostatni raz. Skóra mamy niezwykle pojaśniała, miała kolor kawy z mlekiem, była o trzy, cztery tony jaśniejsza niż nasza.

Brigitte naprężyła się, jakby wyczuła moje zdenerwowanie.

– Widzę, że wciąż nosisz *deuil* – odezwała się mama do babci.

– Tak już jest – odparła babcia. – Czerń jest wygodniejsza, nie widać brudu.

– *Mon Dieu*, jak na starszą panią nieźle wyglądasz – powiedziała mama. – A mówiłaś o swoim pogrzebie tak, jakby miał się odbyć jutro.

– Rozjaśniła ci się skóra – zauważyła babcia. – Czy to *prodwi*? Smarujesz się czymś?

Mama zmieszała się.

– W Ameryce jest bardzo zimno – tłumaczyła. – Dlatego wyglądamy jak duchy.

– Ojczulek Szango, nasze słońce, zaradzi temu.

– Tak długo nie zostanę. Gdy przyszedł telegram od ciebie, postanowiłam przyjechać, żeby zobaczyć się z Sophie i jednocześnie zająć twoimi sprawami. Będę tu tylko trzy dni. To nie są odwiedziny, które jestem ci winna, ale po prostu tak się złożyło. Gdy przyjadę następnym razem, zostanę z tobą o wiele dłużej.

Patrzyłam na nią z werandy, czekając, aż spojrzy na mnie i powie coś bezpośrednio.

Wyglądała bardzo młodo, szczupło, ale ogólnie zdrowo. Ponieważ miała na sobie obszerny pulower, nie wiedziałam, czy nosi protezę piersi.

– Podejdź do matki, Sophie – odezwała się babcia.

Wszyscy wpatrywali się we mnie, nawet Eliab. Mama włożyła ręce do kieszeni. Zmrużyła oczy, jakby chciała zobaczyć moją twarz w oślepiającym słońcu.

Brigitte zaczęła mi się wiercić na rękach. Coś wyczuła.

– Podejdź do matki, Sophie – bardziej stanowczym tonem powtórzyła babcia.

Mama wyglądała na skrępowaną, niemal wystraszoną.

Nie ruszyłam się. Patrzyłyśmy na siebie z krańców podwórka, czekając, aż druga ulegnie. Jako córka powinnam podejść pierwsza i ją powitać. Ale stałam na miękkich nogach. Nie byłam pewna, czy zdołam zejść po schodkach, nie potykając się i nie robiąc krzywdy sobie i Brigitte.

– Podejdź do matki. – W głosie babci wyczuwało się złość.

– W porządku. Ja podejdę do niej – powiedziała mama i ruszyła w moją stronę.

Weszła na werandę i pocałowała mnie w policzek.

Brigitte chciała złapać kolczyk w kształcie dużego kółka kołyszący się w prawym uchu mamy.

– Nie przysłałaś wiadomości o swoim przyjeździe – odezwałam się.

– Niech no na nią popatrzę. – Mama wyciągnęła ręce do Brigitte, a ta pochyliła się do przodu. Puściłam ją, żeby zsunęła się w objęcia mojej mamy.

– W jakim to ona jest już wieku? – spytała mama.

– Ma prawie pół roku.

Zaczęła robić miny do Brigitte.

– Mam wszystkie zdjęcia od ciebie.

– Dlaczego nie odpisywałaś?

– Nie umiałam znaleźć słów – odparła. – Co u ciebie?

– Bywało lepiej.

Trzymając Brigitte na ręku, poszła na podwórze, żeby zapłacić chłopcom, którzy ją przywieźli.

– Nie zamierzasz tu zostać, prawda? – zapytała, wróciwszy na werandę.

Rozmawiała ze mną, łaskocząc Brigitte pod pachami i śmiejąc się razem z nią.

Chciałam wziąć córkę na ręce, ale mama przycisnęła ją do piersi i nie zamierzała mi jej oddać.

– *Manman* kazała mi tu przyjechać i pogodzić się z tobą. To nie w porządku, żeby matka i córka były wrogami. *Manman* twierdzi, że gdy tak się dzieje, rodzina jest przeklęta. Poza tym przyjechał twój mąż i nie mogłam mu odmówić.

– Widziałaś się z nim?

– Och, ten ogień w twoich oczach.

– Co u niego słychać?

– Martwi się. Powiedziałam mu, że wrócimy za trzy dni.

– Nie możesz robić za mnie planów.

– Już zrobiłam.

Rozmawiałyśmy po angielsku bezwiednie.

– Co za zgrzytliwa mowa! – wtrąciła babcia. – Jakby tłukło się szkło.

Brigitte ciągnęła za kolczyki mamy, więc mama zdjęła je i podała mi.

– Zaczęłyśmy niewłaściwie – powiedziała. – Teraz jesteś już kobietą, masz własny dom. Wolno nam zacząć od nowa.

Przedpołudniowe niebo wyglądało jak stara narzuta – długie smugi czerwieni i indygo ciągnęły się za przepływającymi chmurami. W końcu nawet tęcze zniknęły.

25

Mama przebrała się w letnią sukienkę i zaczęła rozdawać przywiezione rzeczy. Pod cienkimi ramiączkami dostrzegłam jej prawdziwą nierozjaśnioną skórę o hebanowym odcieniu. Natomiast skóra na twarzy przypominała spód dłoni.

Babcia objęła rękami protezy piersi mamy.

– To boli? – spytała.

– Nie – odparła mama – one nie są częścią mnie.

Miała materiał do podziału między babcię i *tante* Atie oraz paczkowany ryż, fasolę i przyprawy dla babci.

Wręczyła mi prezenty od Josepha: pieluchy i ubranka dla małej, kilka T-shirtów i par szortów dla mnie.

– Gdybyś nie była taką upartą staruszką – powiedziała do babci – zabrałabym ciebie i Atie do Croix-des-Rosets albo do miasta. Kupiłabym ci bugenwillę. Miałabyś prąd i różne nowoczesne urządzenia.

– Lubię tu mieszkać – odparła babcia. – Muszę mieć dokumenty na tę ziemię i wszystko gotowe, zanim stąd odejdę. Teraz jest na to dobra pora, bo są tu wszystkie moje dzieci.

Tante Atie pisała coś w zeszycie. Mama pochyliła się nad nią z zaciekawieniem. *Tante* Atie odsunęła zeszyt i zamknęła szybkim ruchem.

– Pójdziemy do notariusza i załatwimy sprawę ziemi – oświadczyła babcia. – Zrobimy to jutro.

– Co zrobisz z ziemią? – zapytała *tante* Atie.

– Chcę, żeby w dokumentach były nazwiska wszystkich osób, do których ona należy.

Tante Atie nie poszła do Louise. Przez cały wieczór siedziała na podwórku, patrząc w niebo.

Mama nie mogła zasnąć. Wyszła na dwór i usiadła przy *tante* Atie. Długo spoglądały w górę, nie mówiąc ani słowa.

W końcu mama powiedziała:

– Pamiętasz te nieprzyjemne historie o gwiazdach na niebie, które opowiadała nam *manman*?

– Najbardziej lubiłam tę o dziewczynie, która chciała poślubić gwiazdę, więc wybrała się tam do góry i zobaczyła na własne oczy, że jej upragniony mężczyzna jest potworem.

– Ty wszystko pamiętasz, Atie.

– Bardziej podobało mi się, jak tato mówił, że gwiazdy to dzielni mężczyźni.

– Może miał rację – powiedziała mama.

– Opowiadał, że wrócą tu i zakochają się we mnie. Więc najwyraźniej nie miał racji.

– Spierałyśmy się bez końca, gdy zobaczyłyśmy mrugającą gwiazdę. Ty twierdziłaś, że mruga do ciebie. Ja byłam przekonana, że mruga do mnie. *Manman* opowiadała tę nieprzyjemną historię o gwiazdach chyba po to, żebyśmy przestały się kłócić.

– Trzeba pozwalać młodym dziewczynom, by pielęgnowały swoje przyjemne opowieści.

– Dlaczego nie śpisz we własnym łóżku? – zapytała mama.

– Bo jest w nim pusto.

– Miałaś swoich *flanneurs*, mężczyzn, którzy przychodzili prosić o twoją rękę.

– Dopóki nie pojawiły się lepsze kobiety.

– Jak to możliwe, że żaden cię nie wybrał? Przecież jesteś Atie Caco.

– Ty tak sądzisz. Nikt inny nie uważał, że jestem wyjątkowa.

– W młodości byłaś taka piękna. Tato kochał cię najbardziej.

– Więc jestem dziewczyną, na której ciąży przekleństwo, że tato kochał ją najbardziej.

Tante Atie potarła bliznę na boku głowy. Obie spojrzały w niebo i wycelowały palcem w migoczącą gwiazdę.

– Możesz wziąć sobie najjaśniejsze – powiedziała *tante* Atie. – Gdy wyjedziesz, wszystkie będą moje.

– Wywodzimy się z takiego miejsca – rzekła mama – gdzie w jednej chwili można stracić ojca i wszystkie marzenia.

26

Wczesnym rankiem mama i babcia wyruszyły do notariusza. *Tante* Atie nie było w jej pokoju. Eliab bawił się kawałkami brązowego papieru, zawijał liście w papierki i robił cygara.

Zawołałam go i poprosiłam, żeby kupił mi trochę mleka na targu.

– Ta nowa pani jest twoja? – zapytał.

– Czasem przyznaję się do niej, a czasem nie.

Dałam mu pieniądze na kozie mleko. Przyniósł uciętą plastikową butelkę pełną mleka i duże mango dla siebie.

– Ten młodzieniec chce się ożenić z twoją córką – powiedziała babcia, gdy razem z mamą weszła na podwórko.

Eliab się zmieszał.

– Czy ten młodzieniec wie, że moja córka ma męża w podeszłym wieku? – zapytała ze śmiechem mama.

Mama niosła kilka dużych tobołków.

Nigdy dotąd nie widziałam, żeby babcia była taka szczęśliwa. Mama też promieniała radością.

– Jesteśmy dziedziczkami – oznajmiła. – Każda z nas ma na własność część La Nouvelle Dame Marie.

– Czy ta ziemia nie należała zawsze do ciebie i *tante* Atie? – zapytałam mamę.

– Tak było, ale teraz ty też masz swój kawałek.

Machnęła mi przed nosem nowym aktem własności domu.

– *La terre sera également divisée* – czytała z dokumentu. – Na równe części, moja droga. Ziemia jest podzielona na równe części między Atie, mnie, ciebie i twoją córkę.

Babcia wyjęła szykowny odświętny kapelusz, który kupiła *tante* Atie.

– W niedzielę idziemy do katedry – powiedziała mama. – Spotkamy się z księdzem *manman*.

Pocałowała spody stóp Brigitte.

– Gdzie jest Atie? – spytała babcia. – Mam dla niej kapelusz, w którym będzie wyglądała jak prawdziwa elegantka.

– Wyszła – odparłam.

– Bogowie ukarzą mnie za postępowanie Atie – jęknęła.

Gdy jadłyśmy kolację tego wieczoru, *tante* Atie nie odrywała wzroku od latarni na wzgórzach. Mrużyła oczy, jak gdyby chciała widzieć uszami, podobnie jak to robiła babcia.

– Nie mogę się doczekać niedzielnej mszy – odezwała się babcia, przerywając milczenie. – Chcę, żeby ten młody ksiądz, którego nazywają Lavalasem, zaśpiewał ostatnią pieśń na moim pogrzebie.

Brigitte potrząsała nową grzechotką, którą dostała od mojej mamy.

Babcia wzięła ode mnie małą i włożyła jej do ust kilka ziaren ryżu. Dziecko otworzyło szeroko usta, chcąc je zjeść.

Tante Atie weszła po schodkach do domu i zniknęła w swoim pokoju.

– Tylko popatrz. Jej nastrój zmienia się szybciej niż kolor nieba – powiedziała babcia. – Zabierz ją ze sobą do Nowego Jorku.

– Już jej to proponowałam – odparła mama. – Ale ona chce być z tobą.

– Bo uważa, że musi – rzekła babcia. – Robi to nie z miłości, lecz z poczucia obowiązku.

Z pokoju *tante* Atie dobiegał szelest, jakby się pakowała. Ciocia mamrotała coś do siebie, więc nie śmiałam zajrzeć do środka. Mama i babcia siedziały przy stole na podwórku, paląc na zmianę glinianą fajkę babci.

– *Manman*, będziesz wiedziała, kiedy przyjdzie ci umrzeć? – zapytała ze smutkiem mama.

– Stare kości mi powiedzą.

– Gdy umrę, chcę być pochowana tutaj – oświadczyła mama.

– Powiedz to Sophie. Jest twoją córką. Uszanuje twoją wolę.

– Mam skromne życzenie. W przeciwieństwie do ciebie nie chcę mszy. Chciałabym być pochowana następnego dnia po śmierci. Tak jak to było za dawnych czasów, gdy ludzie umierali w domu.

– W takim razie musisz żyć w przyjaźni z Sophie – powiedziała babcia. – Ona spełni twoje życzenie. Ja mogę pomóc, ale ona jest twoim dzieckiem.

Przez większość nocy mama chodziła tam i z powrotem po korytarzu. Weszła do mojego pokoju i zbliżyła się na palcach do łóżka. Skrzyżowałam nogi i mocno ścisnęłam, czując, że cała drżę.

Zamknęłam oczy i udawałam, że śpię.

Mama podeszła do małej i długo nad nią stała. Łzy spływały jej po twarzy, gdy tak na nas patrzyła. Płakała coraz bardziej. W końcu odwróciła się i wyszła.

Mama weszła do mojego pokoju o świcie, gdy przewijałam Brigitte.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

– Świetnie.

– Nadal nie możesz spać? – Chciałam być uprzejma.

– Zwłaszcza gdy tu jestem.

– Masz złe sny?

– Gorsze niż dotychczas.

Jak dawniej ogarnęło mnie współczucie. Przypomniałam sobie te koszmary. Czasem i mnie się śniły. Było mi jej żal.

– Myślałam, że sprowadza je widok mojej twarzy – powiedziałam.

– Twojej twarzy?

– Bo jestem do niego podobna. Do swojego ojca. Nieślubne dziecko jest zawsze podobne do ojca.

Była wstrząśnięta tym, że pamiętałam jej słowa.

– W pierwszej chwili, gdy zobaczyłam cię w Nowym Jorku, rzeczywiście przestraszył mnie twój wygląd. Ale nic na to nie poradzę. Ani ty. Po prostu musimy z tym żyć. Kiedy dorosłaś, twarz ci się zmieniła. Stałaś się inną osobą. Poza tym zawsze śniły mi się koszmary. Co noc, przez całe życie. Wtedy było gorzej, bo pierwszy raz zobaczyłam twoją twarz.

– Dlaczego mnie sprawdzałaś? – wyrzuciłam z siebie.

– Odpowiem ci pod warunkiem, że nigdy więcej nie będziesz mnie o to pytać.

Chciałam zastrzec sobie prawo do pytania, ilekroć będę miała taką potrzebę. Już nie byłam zła na mamę. Czułam, że muszę lepiej zrozumieć jej postępowanie, żeby nie zachowywać się tak samo jak ona.

– Robiłam to – ciągnęła mama – bo tak postępowała moja matka wobec mnie. Nie mam nic więcej na swoje usprawiedliwienie. Rozmawiając teraz z tobą, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że dwa największe cierpienia w moim życiu są ze sobą ściśle powiązane. Gwałt na mnie miał ten jeden dobry skutek, że skończyło się sprawdzanie. Sprawdzanie i gwałt. I jedno, i drugie przeżywam codziennie.

– Jeszcze się nie ubrałaś? – W drzwiach stanęła babcia. – Jestem gotowa do wyjścia.

Mama położyła rękę na ramieniu babci, dając jej znak, żeby poczekała. Ponownie zwróciła się w moją stronę i powiedziała po angielsku:

– Chcę być twoją przyjaciółką, bardzo dobrą przyjaciółką, ponieważ tak wiele razy ocaliłaś mi życie, budząc mnie z tych koszmarnych snów.

Poszła do pokoju babci, żeby się ubrać, i zaraz wyszły na drogę.

Wróciły po kilku godzinach z brytfanną pełną zakrwawionej wieprzowiny.

W naszej rodzinie wszyscy przywykli do tego, że ludzie znikają jak kamień w wodę. Wszelki ślad po nich ginie i pozostaje tylko żywa pamięć. Mimo to *tante* Atie nigdy by nie przypuszczała, że Louise wyjedzie tak szybko, bez słowa.

Tego wieczoru *tante* Atie patrzyła szklanym wzrokiem, jedząc smażoną wieprzowinę.

– Wybaczcie mi, ale już nigdy więcej nie pójdę na mszę. Komunia stanęłaby mi w gardle, gdybym przyjęła ją w złości.

Louise sprzedała prosiaka, wzięła od babci pieniądze i wyjechała z doliny, nawet nie pożegnawszy się z *tante* Atie.

27

W przeddzień powrotu do Nowego Jorku spytałam wieczorem *tante* Atie, czy możemy z Brigitte spać razem z nią w jej pokoju. Rozłożyłyśmy na podłodze prześcieradła i wyciągnęłyśmy się na posłaniu, kładąc między sobą małą.

Tante Atie odwróciła się do ściany, jakby nie chciała mi pokazać, że płacze. Słyszałam, jak mama chodzi tam i z powrotem po pokoju od frontu, czekając na wschód słońca.

– Louise zdobyłaby pieniądze tak czy inaczej – powiedziałam do *tante* Atie. – Zrobiłaby wszystko, żeby wyjechać. Gdy ludzie coś sobie umyślą, czasem nie można ich powstrzymać. Choćby się bardzo chciało.

– Byłam głupia, sądząc, że ona jest moją przyjaciółką – odparła *tante* Atie. – Na widok pieniędzy i pies zatańczy.

– Przynajmniej nauczyła cię alfabetu.

– Każdy mógł mnie tego nauczyć. Wiele na tym teraz skorzystam.

– Czasem chciałabym, żebyśmy razem cofnęły się w czasie do tych dni, gdy byłyśmy młodsze.

Zamknęła oczy, jak gdyby zamierzała zasnąć.

– Przeszłość na zawsze pozostanie przeszłością – powiedziała. – Dzieci są pociechą w życiu, a ty byłaś moim dzieckiem.

Następnego dnia walizki mojej mamy i moje zostały załadowane na wózek, bo miały być przewiezione na rynek. Słońce świeciło w oczy *tante* Atie, gdy szła na przedzie, niosąc na rękach Brigitte, by mnie wyręczyć. Babcia i mama obejmowały się wpół przytulone do siebie, tak jakby nigdy więcej nie miały się zobaczyć.

Gdy stanęłyśmy przy furgonie jadącym do Port-au-Prince, babcia po prostu zrobiła krok w tył i puściła mamę. Mama pocałowała ją w oba policzki, potem podeszła do *tante* Atie i też ją pocałowała. Ciocia klepnęła mamę po ramieniu i szepnęła, żeby była ostrożna.

Podała mi Brigitte, mówiąc:

– Dbaj o swoją matkę, nie masz jej na zawsze.

Babcia stuknęła małą w brodę.

– Ileż twarzy jest w tym dziecku – powiedziała, powstrzymując łzy.

Mama dała kierowcy tyle pieniędzy, żebyśmy miały cały furgon *tap tap* dla siebie. Jechała z nami jeszcze tylko stara garbuska, która już wcześniej kazała załadować swoje worki z węglem drzewnym.

Gdy furgon odjeżdżał, *tante* Atie stała pod okrytym czerwonymi kwiatami drzewem *poinciana* i trzymała się kurczowo dolnej gałęzi. Z wolna całe Dame Marie zaczęło się zamazywać. Babcia i przekupnie. *Tante* Atie i drzewo *poinciana*. *Macoutes* wokół budki Louise. Nawet wzgórze w oddali, które *tante* Atie nazywała Gwineą. Miejsce, gdzie wszystkie kobiety z naszej rodziny miały nadzieję w końcu się spotkać, gdy każda stanie u kresu swej podróży.

Część czwarta

28

Samochód trząsł się, gdy jechaliśmy na lotnisko. Stara garbuska zsunęła się na worek z węglem drzewnym i zasnęła jak na puchowym materacu. Mama nie odrywała wzroku od nieurodzajnych wzgórz, które szybko przesuwały się za oknem. Żałowałam, że nie jadą z nami inni ludzie, rozgadani *madan saras*, handlarze uliczni, którzy urozmaiciliby nam podróż cmokaniem i żartami.

Mama pociągała za dzwoneczki z materiału przy bucikach Brigitte, a jej smutne spojrzenie przesuwało się po wychudłych kobyłach i jeszcze bardziej kościstych kobietach, które mijaliśmy po drodze, gdy prowadziły swoje zwierzęta na targowiska.

W mieście ruch był większy, więc jechaliśmy wolniej. Mama przyglądała się z uwagą neonowym szyldom dużych aptek i supermarketom na wzór amerykańskich. Furgony mknęły ulicami w obu kierunkach, niekiedy zatrzymywały się nagle wśród tłumu przechodniów. Mama wciągała gwałtownie powietrze, ilekroć przejeżdżaliśmy obok dużego domu towarowego, i wykrzykiwała nazwy miejsc, które odwiedzała w dawnych latach.

Stara garbuska wysiadła na targu artykułami żelaznymi w Port-au-Prince. Kilku mężczyzn z wózkami przybiegło pomóc jej zdjąć z dachu worki z węglem drzewnym.

Gdy odjeżdżałyśmy, pomachała nam na pożegnanie.

– Znajdźcie spokój – powiedziała, przygryzając ustnik niezapalonej fajki.

– Ty też znajdź spokój – odparła mama.

Brigitte obudziła się i złapała mnie za bluzkę. Gdy ją przewijałam, mama trzymała jedną rękę na moich plecach, a drugą na

głowie małej, jakby się bała, że jeżeli nie będzie tego robiła, obie wypadniemy z furgonu. Brigitte przespała spokojnie resztę drogi.

– To dobre dziecko – powiedziała mama. – *C'est comme une poupée*. Można by sądzić, że w ogóle jej tu nie ma.

W holu lotniska kłębili się przekupnie, żebracy i podróżni. Starałyśmy się nadążyć za kierowcą, który pognał z naszymi walizkami w stronę krótkiej kolejki czekających na odlot. Mama nie miała kłopotów przy stanowisku rezerwacji. Amerykańskie paszporty działały na naszą korzyść. Dała sprzedawcy biletów dwadzieścia dolarów na boku, żeby przydzielił nam sąsiadujące miejsca.

Podniosłam głowę i kolejny raz spojrzałam na malowidła pokrywające wysoki sufit w holu lotniska, na Haitańczyków i Haitanki, którzy sprzedawali fasolę, ciągnęli wozy, uszczęśliwieni wykonywali swą znojną pracę.

Podczas lotu mama była fioletowa na twarzy. Kilka razy chodziła do łazienki. Po powrocie siedziała w milczeniu, wpatrując się w chmury za oknem. Stewardesa dała jej tabletkę, po której chyba ustąpiły mdłości.

– Znowu odzywa się rak? – zapytałam.

– To skutek pobytu na Haiti – odparła. – Nie chcę wracać tam wcześniej niż na swój pogrzeb.

Jadła bez apetytu białe mięso kurczaka, które podano na lunch, a ja karmiłam Brigitte z butelki.

– Mało jesz – zauważyła mama.

– Po ślubie okazało się, że mam tak zwaną bulimię.

– Co to takiego?

– Człowiek nic nie je, a potem się objada, ma napady obżarstwa.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się. – Jesteś taka mała, taka drobna. Dlaczego to robiłaś? Nigdy nie słyszałam, żeby Haitanka chorowała na coś takiego. W czasach mojej młodości brakowało jedzenia. Nikt by nie dopuścił, żeby coś się zmarnowało.

– Obarczasz mnie winą – powiedziałam. – To jeden z problemów.

– Zaczęłaś myśleć zupełnie jak Amerykanie – oświadczyła mama. – Wcale cię nie obwiniam. To tylko rada. Chcę ci dać parę rad. Jedz. Człowiek potrzebuje pożywienia. Żywność jest luksusem. Gdy przyjechałam do tego kraju, w ciągu pierwszego roku utyłam sześćdziesiąt funtów. Nie mogłam uwierzyć, że jest tu tyle różnych jabłek i lodów, rzeczy, które na Haiti jedzą tylko bogacze, a tu każdy może je kupić za psi pieniądz.

– Kiedy cię zobaczyłam pierwszy raz, wyglądałaś bardzo szczupło.

– Niedługo przedtem usunięto mi piersi. Mówię ci, jak było dawniej, nim zachorowałam na raka. Z początku człowiek zmaga się ze sobą – ma tyle jedzenia i nie może zjeść wszystkiego. Dopiero po jakimś czasie oswoiłam się z myślą, że jedzenia mi nie zabraknie. Po przyjeździe jadłam tak jak w domu. Opychałam się, jakbym miała głodować przez kilka dni z rzędu. Zjadałam to, co kupiłam na później. Budziłam się i stwierdzałam, że jeszcze coś zostało, ale mimo to jadłam na zapas.

– W takim razie u mnie to całkiem normalne.

– Ty jesteś inna, ale to w porządku. Ja też jestem inna. Chcę, żeby teraz dobrze się między nami układało.

Gdy wylądowałyśmy w Nowym Jorku, moja córka spała. Zostałam z nią w holu, a mama poszła odebrać bagaże.

– Zanocujesz w domu przed wyjazdem do Providence? – zapytała, taszcząc walizki.

Zgodziłam się pojechać do domu.

– Nie masz kogoś, kto mógłby przyjechać po nas na lotnisko? – spytałam.

– Można liczyć tylko na siebie – odparła.

Pojechałyśmy taksówką na Nostrand Avenue. Rozglądałam się po salonie, gdy mama odsłuchiwała wiadomości na automatycznej sekretarce. Pokój był wciąż urządzony w czerwieniach, nawet nowa sofa i dwuosobowa kanapa miały obicia z ciemnoczerwonego aksamitu.

Większość wiadomości zostawił Marc. Jego głos brzmiał łagodniej, niż miałam to w pamięci.

„*T'es retourné?* Wróciłaś?".

„Zadzwoń do mnie zaraz po przyjeździe".

„*Je t'aime*".

W słowach „kocham cię" słychać było nawet podniecenie. Mama zbliżyła się do telefonu i zasłoniła go sobą, jak gdyby Marc znajdował się tam we własnej osobie i oboje byli nadzy.

Weszłam po schodach wyłożonych czerwonym chodnikiem do swojego dawnego pokoju. Stało w nim jedynie łóżko. Mama usunęła wszystkie plakaty, które dostałam od Josepha, te z legendami jazzu. Na drugim końcu ściany wisiał rysunek przedstawiający mamę i mnie na Coney Island. Rysownik wyeksponował karuzelę i w porównaniu z nią nasze postacie skurczyły się, prócz rąk, które stanowiły największą część ciała.

Moje stare łóżko już nie trzeszczało, gdy na nim usiadłam. Mama nareperowała sprężyny, niegdyś skrzypiące tak zabawnie, tak melodyjnie.

Z dołu wciąż dolatywały nagrane rozmowy. Ostatnie słowa Marca, jego wyznanie miłości, a potem głos jednej z przyjaciółek: „Gdzie się podziewasz?".

Otworzyłam drzwi swojej starej szafy. Też była pusta. Weszłam do pokoju gościnnego, gdzie mama miała swoje biurko i kozetkę,

na której czytała i szyła. Dawniej mówiła, że urządzi ten pokój bardziej przytulnie, gdyby babcia albo *tante* Atie kiedyś postanowiły przyjechać w odwiedziny.

Łóżko w pokoju do czytania i szycia zaskrzypiało, gdy na nim usiadłam. Mojej córce podobał się ten dźwięk i zaśmiewała się, podskakując na nim razem ze mną.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają – powiedziała mama, stając w drzwiach i przyglądając się nam.

– Myślę, że będziemy spały tutaj – powiedziałam.

– Nie w twoim pokoju?

– Tam jest za twardy materac.

– Możesz położyć się w moim pokoju.

– Nie przejmuj się. To tylko jedna noc.

– A mała?

– Będzie jej dobrze ze mną.

– Pewnie się zastanawiasz, co zrobiłam z twoimi rzeczami – powiedziała mama.

– Już nie są mi potrzebne.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Zawsze mogę kupić sobie inne.

– Szalałam z wściekłości – wyznała mama.

– I spaliłaś je?

– Tak, byłam bardzo sfrustrowana. W napadzie lęku wyładowałam się na tych ubraniach.

– Lepiej na ubraniach niż na sobie – powiedziałam.

– Mimo tego, co ci zrobiłam, wyrosłaś na naprawdę wyrozumiałą kobietę – oświadczyła. – Co zjesz na kolację? Koniec z tą bulimią. Wyleczę cię dobrym jedzeniem.

– To nie takie proste.

– Więc co zamierzasz zrobić?

– Jem tylko wtedy, gdy jestem głodna.

– A jesteś teraz głodna? – zapytała.

– Nie.

– Nic nie jadłaś w samolocie.

– No dobrze – poddałam się. – Zjem to, co przygotujesz.

– Po kolacji muszę wyjść – powiedziała. – Gdyby to nie było takie ważne, nie marnowałabym czasu, który mogę spędzić z córką i z wnuczką.

– Damy sobie radę.

Kąpałam Brigitte w wannie, gdy mama robiła spaghetti na kolację. Zmieniły się zapachy jedzenia w tym domu.

Jadłyśmy przy stole kuchennym, spoglądając przez niskie okna na małą dziewczynkę, która skakała przez skakankę pod latarnią na podwórku sąsiada.

Brigitte próbowała wsadzić smoczek w moje jedzenie. Odkroiłam kawałek makaronu i włożyłam jej do ust.

– Gdy opuściłaś dom, żywiłam się tylko spaghetti – powiedziała mama. – Gotowałam makaron i zjadałam jak najszybciej, nim zupełnie stracę apetyt. Wszystko, co haitańskie, przypominało mi ciebie.

– Nie musiało tak być.

– Nie przypuszczałam, że będziesz chciała sprawdzić, czy nie blefuję. Sądziłam, że wrócisz do mnie upokorzona.

Wstała i sprzątnęła naczynia ze stołu, zostawiając mój talerz pełen spaghetti.

– Muszę już iść – powiedziała.

– Nadal spotykasz się z Markiem? – zapytałam.

– Chcę, żeby wkrótce spotkał się na kolacji z tobą i twoim mężem.

– Więc widujesz się z nim.

– Ależ tak.

– Wyjdziesz za niego?

– Nawet nie mówiłam o nim *manman* i Atie. Biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej teraz się znajduję, byłabym niespełna rozumu, gdybym chciała wyjść za mąż. Nie sądzisz?

Złapała torebkę i skierowała się do drzwi.

– Im szybciej wyjdę, tym wcześniej wrócę. Długo mi to nie zajmie. Jeżeli zadzwoni telefon, możesz odebrać.

Poszłam do salonu i wykręciłam swój numer domowy. Automatyczna sekretarka włączyła się po trzecim dzwonku. Usłyszałam własny radosny głos: „Mieszkanie państwa Woodsów. Proszę, zostaw wiadomość dla Josepha, Sophie albo Brigitte".

Szybko odłożyłam słuchawkę, nie wiedząc, co mam powiedzieć do siebie samej. Po kilku minutach zadzwoniłam ponownie i zostawiłam wiadomość.

„Joseph, wróciłam z Haiti. Jestem u mamy na Brooklynie. Proszę, zadzwoń".

Podałam numer telefonu.

Za chwilę Joseph oddzwonił.

– Co u ciebie? – zapytał takim tonem, jakbyśmy prowadzili zwykłą rozmowę.

– W porządku, a u ciebie?

– Świetnie, tylko opuściła mnie żona.

– Już wróciłam. Jestem u mamy.

– Jak się miewa Brigitte? Mogę z nią porozmawiać?

Brigitte chwyciła słuchawkę obiema rękami, gdy przyłożyłam ją do jej ucha.

– Jak ona się miewa? – powtórzył Joseph.

– Doskonale.

– A ty?

– Dobrze.

– Co ci przyszło do głowy, Sophie?

– Przepraszam.

– Tak zamierzasz rozwiązywać wszystkie nasze problemy? Bałem się, że przydarzyło ci się coś okropnego. Dzwoniłem o różnych porach dnia i nocy, a ty nie odpowiadałaś. Gdy wróciłem w pośpiechu do Providence, zastałem liścik: „Przepraszam, muszę wyjechać, żeby rozjaśniło mi się w głowie".

– Nie wyjechałam na długo.

– A gdyby twoja mama nie pojechała po ciebie? Nadal byś tam była?

– Przecież wróciłam.

– A jeżeli znowu będziesz miała ochotę mnie zostawić? – zapytał.

– Proszę cię, porozmawiamy o tym później.

– Wracasz do domu?

– Tak.

– I zostajesz?

– Jak myślisz?

– Sam nie wiem – odparł. – Co się stało? Co ja takiego zrobiłem, Sophie?

– Znasz moje problemy.

– Terapia ci pomaga.

– Nie wydaje mi się.

– Będziesz musiała zacząć od nowa, ale nic ci nie jest.

– Nieprawda.

– Jesteś piękną kobietą. To naturalne. Jesteś pociągająca. Nie ma w tym nic złego.

– Ale nawet nie możemy żyć ze sobą.

– Jest w porządku. Mówiłem ci, gdy urodziła się mała. Będę czekał tyle czasu, ile trzeba.

– A jeżeli to nie minie? Jeżeli nigdy mnie nie odblokują?

– Nie jesteś maszyną, którą się oddaje do naprawy. To się powoli zmieni. Zawsze ci to mówiłem, prawda? Będę przy tobie.

– Dlaczego nie podniosłeś słuchawki za pierwszym razem? – zapytałam.

– Ćwiczyłem – odparł. – Mam po ciebie przyjechać?

– Powiedziałam mamie, że u niej zanocuję. Jutro wynajmę samochód i przyjadę do domu.

– Czy te podróże nie będą zbyt wyczerpujące dla Brigitte?

– Ma krew Caco. Jest silna. Nic jej nie będzie.

– Chcę, żebyś zaraz po przyjeździe poszła z nią na kontrolną wizytę do pediatry.

– Dobrze.

– Co u twojej mamy?

– Zaproponowała, żebyśmy wszyscy poszli niedługo na kolację z jej przyjacielem.

– To znaczy z jej facetem?

– Chyba tak.

– Nigdy bym się nie domyślił, że pojechałaś na Haiti. Gdyby nie ona, w ogóle bym o tym nie wiedział. Zamierzałem tam polecieć i cię przywieźć, ale ona chciała sama cię odnaleźć.

– Nie odnalazła mnie. Przecież się nie zgubiłam.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Wiem. Matki bywają czasami bardzo męczące.

– Chciała cię koniecznie zobaczyć. Dogadałyście się?

– Rozmawiałyśmy.

– Jest w domu? Chciałbym jej podziękować.

– Będziesz miał sposobność, gdy się zobaczycie.

– A kiedy my się zobaczymy? – zapytał.

– Jutro.

– Na pewno?
– Tak.
– Nie będę wywierał żadnej presji. Obiecuję.
Chciał znowu usłyszeć Brigitte. Połaskotałam ją w stopy i zaśmiała się jak na zawołanie.
– Czy ona mówi po kreolsku? – zapytał Joseph.
– Dotychczas niewiele mówiła.
– Może powiedziała „tato", a mnie przy tym nie było.
– Nie powiedziała.
– Już chodzi?
– Nie było nas zaledwie kilka dni.
– Mam wrażenie, że minęły wieki. Czy ona wciąż sięga po cudze jedzenie?
– Tak.
– Mogę przyjechać po ciebie? Wyruszę od razu.
– Dla mnie będzie lepiej, gdy sama odnajdę drogę powrotną. To ja wyjechałam, więc sama powinnam przyjechać.
Rozpostarłam kołdrę w pokoju gościnnym. Położyłam Brigitte na łóżku, między czterema dużymi poduszkami.
Gdy mama wróciła do domu, zajrzała do naszego pokoju.
– Wszystko w porządku? – spytała.
– Tak. Jak się udała wizyta?
– Byłam u Marca. – Głos jej się załamał. – Chciałam mu coś powiedzieć.
– Coś dobrego czy złego?
– Zależy, jak na to spojrzeć. Dzwoniłaś do swojego męża?
– Tak.
– Będzie szczęśliwy, gdy przyjedziesz. – Trzymała rękę na klamce, jakby nie była pewna, co jeszcze ma powiedzieć. – Wszystko w porządku z małą?

– Tak.
– No to dobranoc.

29

Śniadanie było obfite – składało się z rzeczy, które przełykałam z największym poczuciem winy – jajka na bekonie i bardzo słodka *café au lait*.

– Myślałam, że będziesz głodna – powiedziała mama – na dobrej drodze do wyzdrowienia. Jak możesz powstrzymać się od zjedzenia tego wszystkiego?

– Sprawa nie jest taka prosta.

Jadłam grzankę, a mama karmiła Brigitte mlekiem. Wyglądała na niewyspaną. Jej skóra znowu przybrała kolor oberżyny jak dawniej, zanim zaczęła stosować kremy rozjaśniające.

– Nie sprawiałaś wrażenia zadowolonej, gdy wróciłaś do domu wczoraj wieczorem – powiedziałam.

– Gdy ktoś taki jak ja ma zadowoloną minę, wiadomo, że udaje – odparła.

– Coś się stało?

– Przygotuj się na niespodziankę. Pewnie nie uwierzysz, ale twoja matka jest w ciąży.

– W ciąży? – wyjąkałam.

– Marc i ja mamy...

– Śpicie ze sobą?

Kiwnęła głową zawstydzona.

– W którym jesteś miesiącu? – spytałam.

– Minął pierwszy, mniej więcej.

– Wyjdziesz za niego?

– *Jesus Marie Joseph*. Że co?

– Nie chce się z tobą ożenić?

– Oczywiście, że chce, ale tylko popatrz na mnie. Jestem gruba, a staram się uchodzić za szczupłą. Mam ciemną skórę, a chcę, żeby była jasna. Poza tym nie mam biustu. Nie wiem, kiedy znowu odezwie się rak. Nie jestem idealną matką.

Mama oparła sobie Brigitte o ramię, żeby beknęła, a mała objęła ją za szyję.

– Co zrobisz? – zapytałam.

– Tego nie wiem.

– A co mówi Marc?

– Decyzja należy do mnie. Tylko i wyłącznie do mnie. Jestem przerażona. Nie wiem, co zrobić. Znowu śnią mi się koszmary.

– Mam wrażenie, że w Dame Marie w ogóle nie spałaś.

– Ilekroć tam jestem, czuję się tak, jakbym spała z duchami. Pierwszej nocy przebudziłam się, waląc pięściami w brzuch.

– Co zrobisz z tym dzieckiem?

– Nie wiem.

– Możesz wyjść za Marca i je urodzić.

– I jeszcze raz dokonać cudu, być wspaniałą matką jak dla ciebie? Pewnych rzeczy się nie powtarza.

– Potraktuj to jako drugą szansę.

– Już ją miałam, gdy nie umarłam na raka. Nie mogę prosić o więcej.

– Kochasz Marca?

– Chyba tak. Od czasu gdy odeszłaś, zostaje ze mną na noc i budzi mnie, kiedy mam złe sny.

– Nadal nie zamierzasz szukać pomocy?

– Wiem, że powinnam, ale się boję. Boję się, że to wszystko będzie jeszcze bardziej prawdziwe, gdy pójdę do psychiatry, a on każe mi się z tym zmierzyć. Boże broń, żeby mieli mnie zahipnotyzować i przenieść w tamten dzień! Zabiłabym się. Marc ratuje

mi życie co noc, ale obawiam się, że stracę je przez to dziecko, które od niego dostałam.

– Nie możesz tak mówić.

– Te koszmary. Myślałam, że z czasem miną, ale tak się nie stało. Każdej nocy przeżywam gwałt. Nie mogę zatrzymać tego dziecka.

– Poprzednim razem było ci trudniej, ale zatrzymałaś mnie.

– Kiedy chodziłam wtedy w ciąży, *manman* kazała mi pić rozmaite zioła, napar z werbeny, chininę, truciznę na dzieci. Biłam się po brzuchu drewnianymi łyżkami. Chciałam cię zabić, ale ty się nie dawałaś.

Oddała mi Brigitte.

– Byłaś dzielna – ciągnęła. – Chciałaś żyć. Chciałaś „posmakować soli", jak mówiła moja mama. Prędzej ty byś zabiła mnie, niż ja zabiłabym ciebie.

– Co zrobisz tym razem?

– Ona też się nie poddaje. Już ze mną walczy.

– Wiesz, że to dziewczynka?

– Nie wiem. Nie chcę wiedzieć. Myślę, że to dziewczynka, bo gdy urodziłam ciebie, okazało się, że mam córkę. Nie zniosę jeszcze raz tych samych koszmarnych snów noc w noc przez dziewięć następnych miesięcy.

– Wyjmiesz dziecko?

Przeżegnała się.

– *Jesus Marie Joseph*. Na samą myśl męczą mnie coraz gorsze zmory. Mam wrażenie, jakby w brzuchu przyssała mi się pijawka. Wczoraj wieczorem po rozmowie z Markiem o pozbyciu się dziecka poczułam, że napina mi się skóra na brzuchu, i przez długą chwilę nie mogłam złapać tchu. Musiałam się położyć, powiedzieć, że się rozmyśliłam, i dopiero wtedy mogłam oddychać normalnie.

– Byłaś u lekarza?

– Wiem, to wszystko i dla mnie brzmi tak, jakbym postradała zmysły, ale może ono tego chce – doprowadzić mnie do szaleństwa.

– Powinnaś z kimś porozmawiać. Nie z Markiem, lecz z osobą, która nie jest zaangażowana w tę sprawę.

– Staram się nie trafić do szpitala dla umysłowo chorych. Pewnie by mnie zamknęli, bojąc się, że zdobię krzywdę sobie i dziecku.

– Gdy śpisz z Markiem, też masz koszmarne sny?

– Udaję. To jest jak jedzenie grejpfruta. Miałam dość samotności. Ponieważ musiałam to robić, żeby mieć kogoś, kto będzie budził mnie w nocy, robiłam to. Ale nie sądziłam, że zajdę w ciążę.

– Nie stosowałaś środków antykoncepcyjnych?

Zaśmiała się przez łzy.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że będziemy prowadzić taką rozmowę. Jeżeli spędzę z tobą więcej czasu, może zdecyduję się urodzić to dziecko. Chciałabym je mieć, gdyby te sny nie były takie okropne. Są ponad moje siły. Któregoś dnia obudzę się i będę trupem.

– Nie mów tak.

– Wyjeżdżasz dzisiaj – powiedziała.

– Jeśli chcesz, zostanę dłużej.

– Wiem, że twój mąż czeka na ciebie.

– Poproszę go, żeby przyjechał i został z nami przez parę dni.

– *Non non*. Dam sobie radę. Marc tu przyjdzie i zostanie ze mną.

– Dlaczego po prostu nie wyjdziesz za niego za mąż?

– Bo nie poślubia się kogoś, żeby uciec od tego, co siedzi człowiekowi w głowie. Pewnej nocy przebudziłam się i stwierdziłam,

że duszę Marca. To było, zanim zaszłam w ciążę. W końcu będzie miał tego dość i mnie zostawi.

– A dziecko?

– Po raz setny zadajesz to pytanie. Jakieś koleżeństwo łączy cię z tym dzieckiem. Utrzymam je. To chcesz usłyszeć.

– Przynajmniej będzie znało swojego ojca.

– To się stanie kosztem mojego zdrowia psychicznego. Jednego dnia wyjmą je ze mnie, a następnego dnia ja odejdę.

Pożyczyła mi swój nowy samochód, co miało być gwarancją, że przyjadę do niej w odwiedziny. Pociągnęła za kapturek Brigitte i pocałowała ją w czoło, gdy zapięłam małą w foteliku na tylnym siedzeniu.

– Wybaczyłaś mi, prawda? – zapytała mama.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w brzuch.

– Urodzisz śliczne dziecko – powiedziałam.

– Nie nazywaj go dzieckiem.

Miałam przed oczami jej twarz, gdy za szybą roztaczał się krajobraz Nowej Anglii. Wiedziałam, jak bardzo męczą mamę te koszmary. Widziałam, jak w środku nocy zwijała się w kłębek, spocona i rozdygotana krzyczała, by te obrazy z przeszłości przestały ją wreszcie dręczyć. Ze strachu czasem się budziła, ale zazwyczaj musiałam nią mocno potrząsać, żeby oprzytomniała, zanim odgryzie sobie palec, podrze na sobie koszulę albo wyskoczy przez okno.

Gdy wyszłam za mąż za Josepha, przez cały pierwszy rok miałam myśli samobójcze. Niekiedy budziłam się w nocy zlana zimnym potem i zastanawiałam się, czy lęki mojej matki nie są dziedziczne, a może w jakiś sposób zaraziłam się nimi, mieszkając z nią. Tak się jakoś stało, że jej koszmary przeszły na mnie do tego stopnia, iż czasem budziłam się rano z myślą, czy obie nie śniłyśmy w nocy o tym samym: o mężczyźnie bez twarzy, który przemocą powoływał do życia nową istotę w bezradnej młodej dziewczynie.

Obejrzałam się do tyłu na córkę, która spała spokojnie. Uznałam za dobry znak, że przynajmniej ona dużo śpi, trochę więcej niż inne dzieci. Skoro dobrze śpi, to nie ma koszmarnych snów i może nie będzie żyła w strachu i cierpiała na bezsenność jak jej babka i matka.

30

Wjechałam na podjazd przed naszym domem tuż przed południem. Joseph niemal spadł ze schodów, gdy biegł do samochodu. Zahamowałam z piskiem opon tuż przed nim.

Zapukał w okno z tyłu, żeby zwrócić na siebie uwagę Brigitte. Była trochę zdezorientowana, gdy wyjął ją z fotelika.

– A matce nie należy się uścisk?

Pocałował mnie mocno w usta.

– *Bienvenue* – powiedział. – Witaj w domu.

Trzymając małą na rękach, wbiegł po schodach, zostawiając mnie z walizką, którą sama wniosłam do domu.

Słońce świeciło przez okno, nadając podłodze barwę haitańskiej ziemi. Joseph podrzucał Brigitte i oboje zaśmiewali się, gdy ją łapał.

– Opowiedz tatusiowi, jak było na Haiti – prosił.

Brigitte ściągnęła wilgotne usta, jakby się zastanawiała, co powiedzieć.

– Cieszysz się, że widzisz tatę? – Posadził ją obok siebie na kanapie.

– Cieszysz się, że widzisz jej mamę? – zapytałam, siadając przy nim.

– Pewnie, ale mam ochotę cię udusić.

Jego ręka wędrowała w górę i w dół po mojej bluzce.

– Tęskniłeś za mną? – zapytałam.

– Czasami.

W sypialni panował bałagan. Prześcieradła były zrzucone na stos, a poduszki walały się wokoło. Podniosłam prześcieradła i po-

wąchałam, sprawdzając, czy nie pozostał na nich zapach innej kobiety. Materac zalatywał wonią jego skarpet.

– Jak widzisz, potrzebuję cię, żebyś zaprowadziła jakiś ład w moim życiu – powiedział.

– Potrzebujesz pokojówki – odparłam.

Trącił lekko kaczuszki zawieszone nad łóżeczkiem dziecinnym, które stało przy naszym łóżku.

– Jak było na Haiti? – zapytał.

– Babcia przygotowywała swój pogrzeb. U nas w domu to ważna sprawa. Śmierć jest podróżą. Babcia uważa, że jej kres jest bliski.

– Haiti jest dla ciebie domem?

– A czymże innym?

– Nie mówiłaś nigdy, odkąd mieszkaliśmy razem. Domem nazywałaś zawsze mieszkanie swojej matki, do którego nie mogłaś wrócić.

Grzebałam w stosie naczyń w zlewie i próbowałam znaleźć szklankę, żeby napić się wody. W pokoju dziecinnym stały duże bębny, których Joseph używał czasem podczas występu.

– Przyzywałem duchy przodków, prosząc, by nakłoniły cię do powrotu do mnie – rzekł Joseph.

– Twoje prośby zostały wysłuchane.

Poszłam do salonu i padłam na kanapę. Nagle uprzytomniłam sobie, że otacza mnie moje życie, moje cztery ściany, mąż i dziecko. A w środku jestem ja, Sophie – *maîtresse de la maison*. Nie jako gość czy córka przyjeżdżająca z wizytą, lecz jako matka i czasem, co bardziej bolesne, żona.

– Damy sobie z tym radę, prawda? – powiedział Joseph, wsuwając język w moje lewe ucho. – Muszę wiedzieć, że jest nadzieja, iż przez to przebrniemy.

W salonie znajdowało się niewyraźne zdjęcie przedstawiające mnie, grubą i nagą, jak leżę z noworodkiem na brzuchu. Joseph był zbyt podekscytowany, żeby dobrze nastawić ostrość w aparacie tego pierwszego wieczoru, gdy przywieźliśmy małą do domu. Ja myślałam tylko o jednym: dzięki Bogu, że miałam cesarskie cięcie. Przy naturalnym porodzie pęknięcie byłoby dla mnie pewną zgubą.

Wyciągnęłam rękę i puknęłam Brigitte w nos.

– Muszę wiedzieć – powtórzył Joseph. – Wyjechałaś stąd, kierując się impulsem, czy od dawna to planowałaś?

– Nie mogliśmy się dopasować fizycznie.

– Znalazłaś afrodyzjak?

– To nie afrodyzjak jest mi potrzebny, lecz trochę więcej zrozumienia.

– Ależ ja cię rozumiem. Z początku jesteś niechętna, potem ulegasz i jak się zdaje, masz z tego przyjemność.

Zadzwoniłam do pediatry, żeby umówić się na wizytę. Wykąpałam Brigitte i położyłam spać, a w tym czasie Joseph wydawał różne dźwięki na saksofonie.

Zadzwoniłam do mamy, ale nie podniosła słuchawki. Jej automatyczna sekretarka też się nie włączyła. Przebrałam się w dres do spania. Joseph położył się do łóżka w grubym szlafroku frotté.

– Jeżeli zetkną się nasze ciała – powiedział – nie będę mógł ci się oprzeć.

Leżeliśmy, obejmując się, i usiłowaliśmy zrozumieć akcję starego czarno-białego filmu o dwojgu kochankach: młodej dziewczynie i jej nauczycielu malarstwa.

O północy zadzwoniłam do mamy. Gdy się odezwała, wyczułam w jej głosie niepokój.

– Co robisz? – zapytałam.

– Marc tu jest – odparła.

Powiedziała, że mnie kocha, po czym odłożyła słuchawkę.

Joseph kołysał mnie w ramionach i słuchaliśmy gruchania Brigitte przez sen.

– Moja mama jest w ciąży – poinformowałam Josepha.

– Wreszcie będziesz miała rodzeństwo, pokrewną duszę.

Poczułam się lepiej, pomyślawszy o tym w ten sposób.

– Brigitte będzie starsza od swojej ciotki – zauważył Joseph. – Czy to nie fajnie?

Nasza pediatra Karen ucieszyła się na widok Brigitte. Była Hinduską w średnim wieku. To ona zszyła mnie na oddziale urazowym szpitala w Providence, a potem opiekowała się mną w czasie ciąży.

– Chyba schudłaś – zauważyła.

Trzymałam Brigitte za nóżki, gdy ją badała.

Niemal padłam na kolana z wdzięczności, dowiedziawszy się, że dziecko jest zdrowe.

– Będziemy się trzymać zwykłego harmonogramu badań kontrolnych – oświadczyła, wypełniając kartę.

– Tylko góra może przygnieść Haitankę – powiedziałam.

– A więc twoja córka pokazała, że jest prawdziwą Haitanką – rzekła Karen. – Opowiedz mi, jak tam było – poprosiła, gdy po badaniu ubierałam Brigitte. – Wyjechałaś na prowincję, prawda? Słyszałam ostrzeżenia, że w takich miejscach różne rzeczy mogą się wydarzyć.

– W tamtej okolicy jest raczej sucho. Rzadko występują mokradła, gdzie grozi malaria i inne niebezpieczeństwa, o których mnie uprzedzałaś. Zwracałam uwagę na wodę. Zanim dałyśmy dziecku pić, długo się gotowała.

– Na razie twojej córce nic nie dolega, ale miej na nią oko i zadzwoń do mnie, gdy coś cię zaniepokoi. Jeżeli zamierzasz wkrótce wyjechać znowu na Haiti, zostaw swojego aniołka w domu. Nie jestem pewna, czy ona ma w sobie dość haitańskiej siły, by oprzeć się jeszcze jednej górze.

Jeszcze ze szpitala zadzwoniłam do Josepha z wiadomością, że wszystko jest w porządku. Gdy przyjechałam z Brigitte do domu, czekał na nas suty obiad. Pieczony kurczak, ziemniaki w polewie i gotowane warzywa – wszystko z mrożonek, ale i tak zachowało jakiś smak.

Postanowiliśmy, że Brigitte zacznie jeść trochę pokarmu stałego. Zrobiłam piure z batatów, ugotowałam marchewkę i podałam jej małe porcje łyżeczką. Potem zjadłam wszystko, co miałam na talerzu, zmuszając się do zatrzymania jedzenia w organizmie.

Po obiedzie zadzwoniłam do mamy.

– Kiedy przyjedziecie na kolację z Markiem i ze mną? – zapytała.

– Gdy tylko będziemy mogli.

– Jak się czuje dziecko?

– Dobrze. A twoje?

– Nie nazywaj go tak – odparła. – Nie podjęłam jeszcze decyzji, czy utrzymam ciążę. Ono ze mną walczy. Z każdym dniem coraz bardziej.

– Jest u ciebie Marc?

– Tak, ale w przeciwieństwie do mnie on ma dobry sen. Oglądam telewizję. Sama nie wiem. Jest mi naprawdę ciężko. Wiesz, co się teraz dzieje? W każdym mężczyźnie, na którego spojrzę, widzę jego.

– Marca?

– *Non non* – wyszeptała. – Jego. *Le violeur*. Tego gwałciciela. Wszędzie go widzę.

– Mówiłaś o tym Markowi?

– Jego zdaniem mój organizm jest w szoku spowodowanym ciążą po leczeniu raka.

– Powinnaś z kimś porozmawiać.

– Nie można zgłosić na policję, że się widziało ducha.

Ręka Josepha wędrowała w górę po moim ramieniu, wsuwała się pod koszulę nocną.

– Próbowałam się go pozbyć – powiedziała. – Dzisiaj. Radzili mi zastanowić się i przyjść jutro. Gdy postanowiłam je wyjąć, zrobiło się jeszcze gorzej. Wtedy zaczęłam go widzieć. Bez przerwy. Mężczyznę, który mnie zgwałcił.

– Odwiedzimy cię w ten weekend – obiecałam.

– Chcę, żeby Joseph poznał Marca.

Czułam, jak druga ręka przesuwa się w górę po moim udzie. Twarz Josepha znalazła się przy mojej twarzy i poczułam zapach płynu po goleniu na jego włosach.

– Muszę kończyć, *manman* – rzekłam. – Przyjedziemy w weekend. Może w sobotę.

– Zatem ta sobota będzie wspaniałym dniem – odparła.

Joseph przyciągnął mnie do siebie. Zamknęłam oczy i pomyślałam o Marassa, o rozdwajaniu się. Leżałam tam, na łóżku, koszula zsuwała się ze mnie, ale ja byłam tak naprawdę gdzie indziej. Jako dorosła osoba miałam wreszcie sposobność znowu pocieszyć swoją matkę. Leżałam z nią w łóżku. Obejmowałam ją i zmagałam się z tym mężczyzną, broniąc ją przed wyobrażeniami, które powstały w jej głowie. Mówiłam, że jest dobrze. Że to nie demon siedzi w jej brzuchu, ale dziecko, takie samo, jakim i ja kiedyś byłam. Mówiłam, że nie pozwolę, by zabrano ją do szpitala dla umysłowo

chorych, że się nią zaopiekuję. Co noc będę ją odwiedzać w swojej drugiej postaci i jako cień na ścianie będę jej pilnować i budzić ją, gdy tylko pojawią się złe sny, tak jak to robiłam, mieszkając razem z nią.

Dalej myślałam o swojej matce, która teraz chce być moją przyjaciółką. W końcu zyskałam jej aprobatę. Byłam w porządku. Byłam bezpieczna. Obie byłyśmy bezpieczne. Przeszłość odeszła. Choć mama wymogła to na mnie, nagle narzuciła mi swoją wolę, byłyśmy teraz więcej niż przyjaciółkami. Byłyśmy duchowymi bliźniętami. Marassa.

– Pojedziemy w ten weekend do mojej mamy? – zapytałam Josepha.

– Cokolwiek zechcesz – odparł, ciężko oddychając. – Byłaś bardzo dobra – powiedział.

Zamknęłam oczy, żeby nie popłynęły łzy.

Czekałam, aż zaśnie, a potem poszłam do kuchni. Zjadłam wszystko, co zostało po obiedzie, poszłam do łazienki, zamknęłam drzwi na klucz i zwymiotowałam całą zawartość żołądka.

31

W mojej trzyosobowej grupie zajmowałyśmy się fobiami seksualnymi. Używałyśmy tego określenia, bo chętnie posługiwała się nim Rena, terapeutka, która nas ze sobą poznała.

Buki, pochodząca z Etiopii studentka college'u, miała wyciętą w dzieciństwie łechtaczkę i zszyte wargi sromowe. Davina, kobieta w średnim wieku pochodząca z Meksyku, była przez dziesięć lat molestowana przez swojego dziadka.

Spotykałyśmy się u Daviny. Tylko ona miała cały dom dla siebie. Buki mieszkała w akademiku, a ja, wiadomo, z Josephem.

Davina przeznaczyła na nasze spotkania osobny pokój w swoim domu. Po przyjściu przebrałyśmy się w długie białe suknie, które uszyła nam Buki. Na głowach zamotałyśmy białe chusty kupione przeze mnie. Gdy się przebrałyśmy w pokoju od frontu, pokazałam im posążek Erzulie, podarunek od babci. Davina powiedziała, żebym sama zaniosła go do pokoju i zastanowiła się nad znaczeniem tej statuetki dla mojej rodziny.

W naszym pokoju unosił się zapach świec i kadzidła. Usiadłyśmy na zielonych poduszkach w kształcie serca, które uszyła Davina. Kolor zielony oznaczał życie i rozwój.

Z pochylonymi głowami wyrecytowałyśmy modlitwę o wewnętrzny spokój.

„Boże, daj nam odwagę, abyśmy zmieniły rzeczy, które możemy zmienić, daj nam wewnętrzny spokój, abyśmy przyjęły rzeczy, których nie potrafimy zmienić, i daj nam mądrość, abyśmy odróżniały pierwsze od drugich".

Postawiłam Erzulie przy innych naszych pamiątkach: szyszkach sosnowych i muszelkach znalezionych podczas samotnych podróży.

– Jestem piękną kobietą o mocnym ciele – zabrzmiał niepewny głos Daviny, gdy zaczęła wygłaszać afirmację.

– Jesteśmy pięknymi kobietami o mocnych ciałach – powtórzyłyśmy za nią.

– Moje cierpienie pozwala mi zrozumieć głęboką boleść innych ludzi.

– Nasze cierpienie pozwala nam zrozumieć głęboką boleść innych ludzi.

Słyszałam, że mój głos wybija się ponad pozostałe.

– Ponieważ już tyle zniosłam, zniosę wszystko.

Buki zaczęła czytać list – zamierzała wysłać go do zmarłej babki, która wycięła jej narządy płciowe i zszyła ją zgodnie z rytuałem przejścia dla kobiet.

Łzy spływały jej po twarzy.

„Droga Taiwo. Rozcięłaś mi duszę i powiedziałaś, że nie mogę jej nikomu pokazać. Bardzo dużo mi zabrałaś. Przez ciebie noszę teraz w sobie ranę, której nie można dotknąć".

Szlochając, podała mi kartkę papieru. W jej imieniu czytałam dalej.

„Przez ciebie czuję się jak bezradna kaleka. Czasem chcę odebrać sobie życie. Wszystko dlatego, że zrobiłaś to mnie, dziecku, które nie mogło się sprzeciwić ani obronić. Mogłabym cię łatwo znienawidzić, ale nie odnoszę się do ciebie z nienawiścią, bo jesteś częścią mnie. Jesteś mną".

Każda z nas napisała imię swojego krzywdziciela na kartce, a potem trzymała kartkę nad płomieniem świecy i patrzyła, jak ogień trawi papier. Buki nadmuchała zielony balon. Wyszłyśmy do

ogrodu za domem Daviny i patrzyłyśmy, jak Buki wypuszcza balon w ciemność. Nie widziałyśmy, dokąd poleciał, ale przynajmniej oderwał się od naszych rąk.

Po tym spotkaniu byłam przybita, czułam jednak, że zrobiłam krok w stronę wolności. Spalenie imienia mojej matki już nie wywoływało poczucia winy. Wiedziałam, że mój ból i jej są ogniwami długiego łańcucha, że ona zraniła mnie dlatego, gdyż sama też została zraniona.

To ja mogę sprawić, że nie znajdę się w ogniu jako następna. To ja mogę sprawić, że moja córka nigdy nie będzie spała z duchami, że nigdy nie będzie przeżywała koszmarów, że jej imienia nigdy nie strawią płomienie.

Gdy wróciłam ze spotkania do domu, Joseph siedział w salonie, trzymając Brigitte na kolanach.

– Tylko posłuchaj. – Chwycił małą i poderwał się z kanapy. – Powiedz to jeszcze raz, skarbie.

– Niby co? – spytałam.

– Powiedziała „dada".

Po jego namowach Brigitte bąknęła coś, co brzmiało jak „dada".

– Powiedz to jeszcze raz.

Oboje wznosiliśmy okrzyki radości. Brigitte patrzyła na nas rozpromienionym wzrokiem.

– Słoneczko, powtórz to – poprosiłam, w duchu zachęcając ją, żeby powiedziała „mama".

Klaskała w dłonie równie podniecona jak my.

– Proszę cię, ptaszyno, powiedz to jeszcze raz. Dada. Dada.

– Mama. Mama. *Manman*.

Powiedziała „dada" i roześmiała się.

Joseph podskoczył i podniósł rękę, jakby chciał przybić piątkę.

– Ona zwleka z powiedzeniem „mama" do czasu, gdy będzie dobrze mówić – skonstatowałam. – Wydała ten dźwięk przypadkiem.

– Nie udawaj. Zżera cię zazdrość.

Poszłam do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę.

– Jak było na spotkaniu?

– Dobrze.

– Dzwoniła twoja matka. Mówiła, że chce z tobą jak najszybciej porozmawiać.

Brigitte powtarzała w kółko „dada", usiłując skupić na sobie uwagę Josepha.

– Dzwoniła również twoja terapeutka – dodał. – Chciała się upewnić, czy będziesz u niej jutro. Powiedziałem, że przyjdziesz.

Joseph zaczął bawić się z dzieckiem, a ja poszłam zatelefonować do mamy.

– Marc jest na dole. Robi jajka – powiedziała.

– Wszystko dobrze? – zapytałam. – Podobno koniecznie chciałaś ze mną porozmawiać.

– Tak to czułam. Po prostu chciałam usłyszeć twój głos.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Prawdopodobnie uważasz, że moje nagłe uzależnienie od ciebie jest niezdrowe.

– Byłebyś ty dobrze się czuła.

– Jak się miewa moja wnuczka?

– Świetnie. A ty? Jak wygląda sytuacja?

– Nie śpię. Przyjedziecie w ten weekend?

– W sobotę – odparłam.

– Jestem bardzo szczęśliwa, że znowu się zobaczymy.

– Ja też.

– Dostałam dziś telegram od *manman*. Napisała, że wszystko jest przygotowane do jej pogrzebu. Bardzo się z tego cieszy.

– Powiedziałaś jej, że spodziewasz się dziecka?

– Zawiadomię ją, gdy ciąża będzie bardziej zaawansowana. Nie chcę, żeby się martwiła, że znowu zwariuję.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Lepiej. Może to dziecko przyzwyczaja się do mnie. *Manman* martwi się, że Atie umrze na melancholię. Po wyjeździe Louise Atie czuje pustkę w sercu. To smutne.

– *Tante* Atie kochała Louise.

– Przeżyje to. Zawsze wracała do równowagi.

Usłyszałam głos Marca, który proponował jej jajecznicę.

– Będę czekać na ciebie w sobotę – powiedziała.

– Pa, mamo.

– Pa, najdroższa.

Usiadłam przy biurku i zaczęłam pisać list do *tante* Atie. Skoro już umie czytać, chciałam wysłać jej coś, co tylko ona zobaczy, czego nie będzie musiała słuchać razem z innymi ludźmi. Wyobraziłam sobie, że *tante* Atie stoi obok mnie i wspominamy składkowe spotkania *konbit*, kupowanie losów, na które prawie nigdy nie padła wygrana, i zmarłych krewnych, tak nam bliskich, jakby byli naszymi duchami, które nie mogą znaleźć sobie miejsca, cieniami, które wędrują w ciemnościach, gdy nasze fizyczne ciała wślizgują się do łóżek.

32

Moja terapeutka, przepiękna czarnoskóra kobieta, była kapłanką santerii. Przez dwa lata pracowała w Korpusie Pokoju na Dominikanie, co widać było po tym, że nosiła ubrania we wzory o jaskrawych kolorach, podzwaniające bransoletki i odkryte sandały.

Przyjmowała klientów w mieszkaniu na ostatnim piętrze budynku z widokiem na rzekę Seekonk.

– W zeszłym tygodniu ni stąd, ni zowąd się ulotniłaś – powiedziała, gdy oglądałam kolekcję brazylijskich malowideł i rytualnych afrykańskich masek na ścianach.

Zgasiła papierosa i zajrzała do teczki z historią mojej terapii.

– Chodźmy na spacer – zaproponowała. – Wtedy opowiesz mi o wszystkim.

Nasze sesje odbywały się zazwyczaj w lesie nad rzeką.

– No więc, co się dzieje w twoim życiu? – zapytała, machając kijem na bezpańskiego psa, który pojawił się za nami.

Opowiedziałam jej o nagłym wyjeździe na Haiti, przez co nie przyszłam na nasze spotkanie przed tygodniem. Również o tym, że przyjechała po mnie moja mama i że dowiedziałam się, iż moja babcia, a przedtem jej matka też były sprawdzane.

– Sądziłam, że zanim rozpoczniesz etap konfrontacji, jeszcze trochę popracujemy – rzekła.

– Nie traktowałam tego jako konfrontację. Po prostu miałam ochotę pojechać. A ponieważ Joseph udał się w trasę, skorzystałam z okazji.

– Znam kobietę, która wróciła do Brazylii po ziemię z grobu swojej matki. Przywiozła pełen słoik, żeby zawsze mieć przy sobie linię matki. Udało ci się odzyskać linię swojej matki?

– Linia mojej matki zawsze była ze mną – odparłam. – Bez względu na okoliczności. Jednoczyły nas więzy krwi.

– Z tego wynika, że nigdy nie żywiłaś nienawiści do swojej matki.

– Bardzo cierpiałam.

– Nienawidziłaś jej? – zapytała.

– To chyba nie jest właściwe słowo.

– Wszyscy kogoś nienawidzimy od czasu do czasu. Skoro zdarza się, że nienawidzimy samych siebie, to dlaczego nie mielibyśmy żywić nienawiści do innych?

– Nie powiedziałabym, że jej nienawidziłam.

– Nie chcesz tego przyznać. Dlaczego? – naciskała na mnie.

– Bo byłoby to niesłuszne i może również nieprawdziwe.

– Może? Nie jesteś pewna.

– Teraz ona chce okazać mi dobroć – powiedziałam – a ja chcę ją przyjąć.

– To dobrze.

– Chcę zapomnieć o skrywanych sprawach, o konfliktach, którymi według ciebie mam się zajmować. Chcę spojrzeć na nią jak na osobę widzianą po raz pierwszy. Jak na znajomą, która, mam nadzieję, stanie się moją przyjaciółką. Wychowano mnie w przekonaniu, że można być w dwóch miejscach naraz. Idea ponownego spotkania po raz pierwszy wcale nie jest taka trudna do pojęcia.

Obserwowałyśmy płynącą przez rzekę załogę łodzi wioślarskiej.

– Pytałaś babcię, dlaczego one sprawdzają swoje córki?

– Chronią ich cnotę.

– Okazałaś gniew?

– Próbowałam, ale trudno mi było złościć się na babcię. Przecież postępowała tak tylko dlatego, że chciała uważać się za dobrą matkę. Podobnie było z moją mamą.

– Co czułaś, widząc znów swoją matkę?

– Spodziewa się teraz dziecka.

– A więc żyje z kimś w związku.

– Z mężczyzną, z którym była związana, gdy z nią mieszkałam.

– Pobrali się?

– Nie.

– Śpią ze sobą?

– Najwyraźniej.

– Spała z nim, gdy mieszkałyście razem? – zapytała.

– W żadnym wypadku nie przyjmowałaby mężczyzn w domu. Dawałaby zły przykład.

– Co czujesz, wiedząc, że ona z kimś sypia? Nie jesteś zawiedziona tym, że po tylu latach ona robi właśnie to, czego zabraniała tobie?

– Już nie potrafię się wściekać.

Jakaś para uprawiająca jogging trąciła mnie w ramię podczas biegu.

– Dlaczego nie jesteś na nią wściekła?

– Żal mi jej.

– Dlaczego?

– To dziecko wzbudziło w mamie stare uczucia.

– Jakie uczucia?

– Może to złe słowo. Przywołało wspomnienia gwałtu.

– Tak jak ty przywoływałaś te wspomnienia.

Przytaknęłam.

– A twój ojciec? – zapytała. – Myślałaś o nim?

– Nie nazywaj go moim ojcem.

– Niedługo będziemy musiały nim się zająć. Gdy dojdziemy do tego, poproszę cię, żebyś spróbowała jakoś zmierzyć się ze swoimi uczuciami do niego, odsłonić jego oblicze.

– Ciężko mi o nim pomyśleć, a co dopiero odsłonić jego oblicze.

– Twoja matka nigdy tego nie zrobiła. Dlatego on jest cieniem i ma nad nią władzę. Nic dziwnego, że śnią się jej koszmary. Gdy zaszła w ciążę, nasiliły się uczucia, z którymi nigdy nie poradziła sobie do końca. Nie zdołasz porozumieć się ze swoim mężem, dopóki nie pożegnasz się z ojcem.

– Jadę do mamy w najbliższy weekend – powiedziałam.

– Odbudowujesz związki.

– Wybieram się do niej z Josephem. Mamy spotkać się z jej przyjacielem.

– To znaczy jej kochankiem, ojcem dziecka?

– Tak.

– Czy potrafisz wyobrazić sobie, że twoja matka uprawia seks?

– Nigdy tego nie robiłam.

– Spróbuj to zrobić teraz.

– Co mam zrobić?

– Wyobraź sobie, że twoja matka kocha się z mężczyzną.

Starałam się przywołać obraz mojej mamy: krzywiąc się i zaciskając zęby, leżała przywalona wielkim cieniem mężczyzny. Nie sprawiało jej to przyjemności. Może nawet płakała, choć z jej ust padały słowa pozwalające mu sądzić, że jest zadowolona.

– Czy w twojej wyobraźni ona czuje to samo co ty?

– Wyobrażam sobie, że stara się być dzielna.

– Jak ty.

– Możliwe.

– Czy myślisz, że któregoś dnia to, co robisz z Josephem, przestanie być dla ciebie oznaką dzielności?

– Jestem jego żoną. Są pewne rzeczy, które muszę robić, żeby zatrzymać go przy sobie.

– Lęk przed porzuceniem. W głębi serca zawsze to czujesz, prawda?

– Czuję, że moja córka jest jedyną osobą na świecie, która mnie nie porzuci.

– Czy teraz rozumiesz, dlaczego twoja matka tak ostro się sprzeciwiła, widząc, że chcesz być z mężczyzną, do tego o wiele starszym od ciebie? To zupełnie naturalne, kochanie. Ona też czuła, że jesteś jedyną osobą na świecie, która jej nie porzuci.

Stanęłyśmy przy ławce, skąd roztaczał się widok na rzekę. Po wodzie płynęły dwa łabędzie, jeden próbował dogonić drugiego. Wioślarze zbliżali się do brzegu.

– Czy podczas tego pobytu byłaś w miejscu, gdzie twoja mama została zgwałcona? – zapytała Rena. – W gąszczu trzciny cukrowej na polu. Poszłaś tam?

– Właściwie nie.

– Co to znaczy?

– Przebiegłam opodal.

– Powinnyście razem tam pójść, a okaże się, że zdołacie zostawić to miejsce za sobą. Nawet jeśli nigdy nie zmierzysz się z mężczyzną, który jest twoim ojcem, możesz powiedzieć pewne rzeczy temu miejscu. Sądzę, że po konfrontacji będziesz wolną kobietą. Duchy znikną.

33

Mama powitała nas na ganku przed domem. Miała na sobie luźną, rozszerzaną do dołu sukienkę z długimi bufiastymi rękawami. Sprawiała wrażenie spokojniejszej, wypoczętej. Jej skóra, pokryta mahoniowym pudrem, miała jednolity odcień.

Joseph przyjechał naszym kombi, ja wzięłam Brigitte do samochodu mamy.

– *Ca va byen?* – Mama pocałowała Josepha cztery razy w policzki. – Sprowadziłam twoją żonę i córkę całe i zdrowe.

Wzięła ode mnie małą i wypchnęła Marca do przodu, żeby się przedstawił.

Marc trochę przytył od czasu, gdy widziałam go ostatni raz. Wbił się w ciasną szarą marynarkę i obszerne spodnie z szelkami.

Wyrecytował swoje imię i nazwisko w pełnym brzmieniu, ściskając Josephowi rękę.

– Marc ma wiele niedzisiejszych przyzwyczajeń – powiedziała mama do Josepha.

W kuchni unosił się zapach suszonej ryby, gotowanej kapusty i majonezu.

– Co u was słychać? – spytała mama, tuląc w ramionach Brigitte, która łapała ją za bardzo krótko obcięte włosy.

– Brigitte powiedziała „dada" – oznajmił z dumą Joseph.

– Gdy dorośnie i uzyska doktorat, to nic będzie miało wielkiego znaczenia – wtrącił Marc.

Przepasał się fartuchem i przewrócił rybę na patelni.

Mama postanowiła odrobić zaległości i oprowadzić Josepha po domu. Posłusznie szedł za nią rozpromieniony.

Potem zaprowadziła nas do ogródka za domem, gdzie przy hibiskusie ustawiła wcześniej stół ogrodowy z ławkami. Stała nad Josephem, pokazując mu, jak ma posypać smażone banany rajskie posiekaną marynowaną papryką.

– Jaką grasz muzykę? – zapytał Marc Josepha, gdy usiedliśmy do stołu.

– Najrozmaitszą – odparł Joseph. – Moim zdaniem muzyka powinna przemawiać nie tyle do ucha, ile do duszy.

– Bardzo ogólnikowa odpowiedź – uznała moja mama.

– Mam wrażenie, że oni chcą wiedzieć, czy ci za to płacą – powiedziałam.

– Nie jesteśmy tacy nietaktowni – rzekł Marc. – Myślałem raczej o rodzajach muzyki, jak na przykład merengue, calypso, soka czy samba.

– Można na tym zarobić? – spytała mama.

– Daję sobie radę – odparł Joseph. – Gram z przyjaciółmi, gdy kogoś potrzebują, ale możecie mi wierzyć, odłożyłem coś na czarną godzinę.

Mama mrugnęła do mnie tak, żeby nikt inny nie zauważył. Była gotowa do działania, dążyła do tego, by Joseph ją polubił.

– Mam ci coś do powiedzenia – szepnęła do mnie. – Podjęłam decyzję.

Odwróciwszy się do Josepha, zapytała:

– I z tego kupiłeś swój dom w Providence?

– Pewnie – odparł.

– W istocie chciałem poznać twoje preferencje muzyczne – ciągnął Marc.

– Słyszeliśmy, o co pytałeś – powiedziała mama, po czym znowu szepnęła mi do ucha: – On ma wiele niedzisiejszych przyzwyczajeń.

Marc udał, że te słowa nie doszły do jego uszu.

– Skąd pochodzisz? – zwróciła się do Josepha, podając Brigitte kawałki banana rajskiego.

– Urodziłem się na Południu – odparł. – W Luizjanie.

– Tam się mówi jakimś językiem kreolskim – powiedziała.

– Tak, wiem. Czasami wtrącam tych kilka kreolskich wyrażeń, które znam, w rozmowie z moją żoną, twoją córką.

– Mam wrażenie, jakbym była z Południa.

– Wszyscy wywodzimy się z Afryki – rzekł Marc.

– *Non non*, zwłaszcza ja. Mam wrażenie, że mogłabym być Afroamerykanką z Południa. Wkrótce po przyjeździe do Stanów wbiłam sobie do głowy, że muszę być religijna. Chodziłam do starego kościoła południowców w Harlemie, gdzie śpiewano same Negro spirituals. Wiesz, co to takiego? – zapytała Marca.

Wzruszył ramionami.

– Starałam się zaciągnąć go do kościoła choćby po to, żeby posłuchał tych pieśni, ale on nie miał ochoty. Powiedz mu, Joseph, powiedz temu staremu Haitańczykowi o niedzisiejszych przyzwyczajeniach, co to takiego Negro spirituals.

– To są jakby modlitwy, hymny śpiewane przez niewolników. Czasem pogodne, czasem smutne, ale zazwyczaj mówią o wolności, przechodzeniu do innego świata. Bywa, że ten inny świat to dom, Afryka, ale też niebo, jak w Biblii. Najczęściej to wolność.

Zaczął nucić jedną z pieśni.

„O Maryjo, nie płacz!".

– To jest Negro spiritual – potwierdziła moja mama.

– Brzmi jak pieśń wudu – zauważył Marc. – On scharakteryzował pieśń wudu. „Erzulie, nie płacz" – zaśpiewał dla żartu.

– Mówiłam ci, że czuję, jakbym była z Południa – mama zaśmiała się.

– Masz jakąś ulubioną pieśń murzyńskich niewolników? – zapytał Joseph mamę.

– Pewnie.

– Zaśpiewaj – namawiał ją Marc.

– Będziesz żałował, że poprosiłeś – odparła mama i dodała: – Macie mi pomóc, jeżeli się zatnę.

Kołysała Brigitte w rytm melodii.

Czasem czuję się jak dziecko bez matki.
Czasem czuję się jak dziecko bez matki.
Czasem czuję się jak dziecko bez matki.
Daleko, daleko od domu.

Gdy skończyła, biliśmy brawo, Brigitte też.

– Chcę, żeby zaśpiewano tę pieśń na moim pogrzebie – powiedziała mama. – Zaczęłam o tym myśleć za przykładem swojej matki. Człowiek powinien mieć wszystko zaplanowane.

Dzień skończył się dla mojej mamy zbyt szybko. Nie miałyśmy sposobności porozmawiać sam na sam o jej decyzji. Tego wieczoru, gdy się żegnałyśmy, wzięła mnie w objęcia i nie chciała wypuścić.

– Ona tu jeszcze wróci – powiedział Marc, rozdzielając nas.

– Tak to już jest z kobietami z rodziny Caco – rzekła mama. – Gdy są szczęśliwe, ich szczęście nie ma granic, a gdy są smutne, ich smutek jest bezdenny.

W drodze powrotnej do Providence Joseph śpiewał pieśń mojej mamy, dodając akcenty bebopowe, jakby chciał ożywić smętną melodię.

– Twoja mama jest dobrym człowiekiem – oznajmił. – Od początku wiedziałem, dlaczego mnie nie lubiła. Nie chciała rozstać się z takim skarbem jak ty.

Gdy dotarliśmy do domu, zastałam dwie wiadomości od mamy na automatycznej sekretarce.

– Miło spędziliśmy czas, *pa vrè?* – powiedziała, gdy oddzwoniłam. – Joseph dobrze się bawił? Pasujecie do siebie. Marc uważa, że on jest za stary dla ciebie, ale i tak go polubił.

Przerwała dla złapania oddechu.

– Naprawdę dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Tak się cieszę z naszego spotkania.

– Te złe sny minęły?

– Nie powiedziałam ci, co postanowiłam. Chcę, żeby je wyjęli.

– Kiedy podjęłaś tę decyzję?

– Wczoraj wieczorem, gdy usłyszałam, jak ono do mnie mówi.

– Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna, mówiło do mnie. Ma męski głos, więc już wiem, że to nie jest dziewczynka. Chcę się go pozbyć. Na pewno to zrobię, niech mi gwiazdy będą świadkiem.

– Nie rób niczego pochopnie.

– Gdziekolwiek jestem, słyszę jego głos. Mówi mi różne rzeczy. Ty *tintin*, *malpròp*. Nazywa mnie wstrętną dziwką. W ogóle nie chcę go widzieć. Twoje dziecko jest podobne do *manman*. Temu dziecku nigdy nie spojrzę w twarz.

– Ale to jest dziecko Marca.

– A jeżeli coś we mnie zostało i gdy to dziecko się urodzi, będzie miało tamtą twarz?

– Chcesz powiedzieć, jeżeli będzie wyglądało jak ja?

– Nie, nie to miałam na myśli.

– Marc nie ma dzieci i na pewno chciałby mieć.

Usłyszałam głos Marca, który pytał mamę, z kim rozmawia.

– Zadzwonię do ciebie jutro. Módl się za mnie do Marii Panny – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

34

Późnym popołudniem miałam sesję na gołej podłodze w gabinecie Reny. Przez dymne szkło drzwi balkonowych widać było nieruchomą siną rzekę.

– Jak się udała wizyta u mamy? – zapytała Rena.

– Martwi mnie jej stan ducha – powiedziałam. – Mam wrażenie, jakby mówiły przez nią dwie osoby. Jedna usiłuje się trzymać, a druga się rozlatuje.

– Twoim zdaniem ona tylko udaje, że jest zadowolona.

– W głębi serca tak.

– Dlaczego?

– W ten sposób zawsze zdołała przetrwać. Nie chce trafić do szpitala dla umysłowo chorych, więc uważa, że musi się trzymać przynajmniej z pozoru.

– Czy postanowiła, co zrobi z dzieckiem?

– Zapewne właśnie teraz je wyjmuje.

– Co to znaczy „wyjmuje"?

– Traci je. Usuwa. Nie mogę powiedzieć tego słowa.

– Masz na myśli aborcję?

– Tak.

– Dlaczego?

– Powiedziała mi, że słyszy, jak dziecko mówi jej różne rzeczy. Przykre rzeczy.

– Twoja matka słyszy głos?

– Tak.

– Zawsze słyszała głosy?

– Gdy z nią mieszkałam, miała tylko koszmarne sny, w kółko przeżywała tamto zdarzenie.

– A teraz słyszy te głosy?

– Tak.

– Jeżeli boi się rozpocząć terapię, może powinna pójść do egzorcysty.

– Do egzorcysty?

– Mówię poważnie. Powinna poddać się ceremonii uwolnienia. Podobne rzeczy robicie w swojej grupie, żeby uwolnić się od fobii seksualnych. Mogłabyś jej pomóc.

– Ona boi się zrobić cokolwiek, co mogłoby sprawić, że te wspomnienia będą jeszcze bardziej prawdziwe.

– One muszą się stać przerażająco prawdziwe, zanim zaczną się zacierać.

– Zawsze wyglądały dla niej prawdziwie – powiedziałam. – Przez dwadzieścia pięć lat była co noc gwałcona. Mogłabyś z tym żyć? To dziecko jeszcze potęguje jej doznania. Przenosi ją w czas, gdy nosiła mnie w brzuchu. Także do czasu, gdy mieszkała ze mną. Dlatego chce je wyjąć.

– Uważam, że powinna poddać się egzorcyzmom. Czy powiedziała swojemu kochankowi, że chce usunąć ciążę?

– Wolałabym, żebyś go tak nie nazywała.

– Dlaczego?

– To się kojarzy... – urwałam.

– Z seksem?

– Tak.

– To słowo za bardzo kojarzy się z seksem, żeby go użyć w odniesieniu do matki? Sądzę, że patrzysz na nią jak na Madonnę. Jakaś cząstka ciebie czuje, że to dziecko jest dowodem jej prawdziwej seksualności. Poczęła je z własnej woli. Może nawet ona sama nie umie się z tym pogodzić.

– Zależy mi tylko na tym, żeby jej się nic nie stało.

– Czy jej kochanek wie, że ona nie chce tego dziecka? – zapytała Rena.

– Sądząc po jej zachowaniu, prawdopodobnie uważa, że nic lepszego nie mogło się jej przydarzyć. Nie przypuszczam, by kiedykolwiek wyjawiła mu całą prawdę o tym, jak przyszłam na świat.

– Czy twoim zdaniem on chciałby mieć to dziecko?

– Gdyby wiedział, jak to na nią wpływa, nie chciałby. Tak uważam.

– I myślisz, że właśnie teraz ona usuwa ciążę?

– Przed przyjściem tutaj zadzwoniłam do niej i nie zastałam jej w domu. Zadzwoniłam do pracy i też jej tam nie było.

– A zatem zamierza zrobić to samodzielnie. Bez swojego kochanka.

– Wydaje mi się, że ona popadnie w obłęd, jeżeli tego nie zrobi.

– Moim zdaniem powinnaś ją przekonać, żeby szukała pomocy.

– Nie dam rady – odparłam. – Ona zawsze uważała, że jest pomylona, tylko po prostu udało jej się wszystkich nabrać.

– To może być dla niej bardzo niebezpieczne.

– Wiem.

Przejeżdżałam koło domu Daviny. Davina była w pracy, ale miałam klucz do naszego pokoju, więc weszłam do środka. Siedziałam w mroku, pijąc przy świecach herbatę z werbeny. Cienie chybotały się na twarzy Erzulie, przez co wyglądała tak, jakby była zapłakana.

Po wyjściu stamtąd zauważyłam balon Buki. Utknął wysoko na drzewie, między dwiema gałęziami. Uszło z niego sporo powietrza i wyglądał jak zielone jabłko.

Myślałyśmy, że zniknął w chmurach, może nawet poszybował do Afryki, ale on dogorywał powoli na drzewie, nad moją głową.

35

Gdy weszłam do domu, Joseph siedział na kanapie i kołysał Brigitte. Spała mu na rękach, trzymając w ustach palec wskazujący i środkowy. Zaniósł ją do naszego pokoju i położył w łóżeczku, nie mówiąc ani słowa. Kiedy wrócił, posadził mnie na kanapie, przyniósł automatyczną sekretarkę i puścił mi wiadomość od Marca.

„Sophie, *je t'en prie*, zadzwoń do mnie. Chodzi o twoją matkę".

Mówił drżącym głosem, ale ozięble. Jakby silił się na obojętność.

Złapałam Josepha za kołnierz tak mocno, że zaczął się krztusić.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – powiedział.

– Dlaczego ona sama nie zadzwoniła?

– Może wynikły jakieś komplikacje z ciążą.

– Ona miała dzisiaj pójść na zabieg.

– Uspokój się i wykręć numer.

Telefon dzwonił i dzwonił, aż w końcu włączyła się sekretarka. „*S'il vous plais, laisses-moi un message*. Proszę zostawić dla mnie wiadomość". Nieskazitelna francuszczyzna i angielszczyzna, wyćwiczone z dużym trudem, aby jej sposób mówienia nie zdradzał, że wychowała się bez ojca, że jej matka była tylko chłopką, że pochodziła ze wzgórz.

Siedzieliśmy przy telefonie całą noc, na przemian wykręcając numer i czekając.

W końcu o szóstej rano zadzwonił Marc.

Mówił zbolałym głosem.

– Sophie. *Je t'en prie*. Tak mi przykro.

Szlochał.

– Co się stało? – spytałam.

– *Calme-toi*. Posłuchaj mnie.

– Czego mam posłuchać?

– Tak mi przykro.

– Poproś mamę do telefonu. Co ty zrobiłeś?

– To nie ja.

– Marc, proszę cię. Poproś mamę do telefonu. Gdzie ona jest? W szpitalu?

Szlochał. Joseph przycisnął twarz do mojej, próbując coś usłyszeć.

– Czy mama jest w szpitalu?

– *Non*. Raczej w kostnicy.

Podziwiałam elegancję tego sformułowania. Teraz będzie musiał powiedzieć to babci, która straciła córkę, i *tante* Atie, która straciła jedyną siostrę.

– Czy ja dobrze słyszę? – spytałam.

– Ona odeszła.

Joseph przylgnął do mnie.

– Co się stało? – zaczęłam krzyczeć na Marca.

– Obudziłem się w środku nocy. Czasem budzę się i nie ma jej w łóżku, więc się nie przejąłem. Po dwóch godzinach znowu się przebudziłem, poszedłem do łazienki, ona tam leżała.

– Leżała tam? Gdzie? Mów szybciej!

– We krwi. Leżała tam we krwi.

– Poślizgnęła się i upadła?

– Trudno było zobaczyć.

– Co zobaczyć?

– Na posadzce leżał stos prześcieradeł. Ona to przygotowała.

– Co przygotowała?

– Wbiła sobie w brzuch stary zardzewiały nóż. Policzyłem i w szpitalu też policzyli. Siedemnaście razy.

– Jesteś pewny?

– Tak, siedemnaście.

– Jak mogłeś spać? – wykrzyknęłam.

– Gdy ją znalazłem, wciąż oddychała. Nawet powiedziała coś w karetce. Tam umarła, w karetce.

– Co powiedziała?

– *Mwin pa kapab enkò*. Nie mogła nosić dziecka. Powiedziała to ratownikom w karetce.

– Jak mogłeś spać? – wrzeszczałam na Marca.

– Robiłem, co w mojej mocy. Próbowałem ją ratować. Chyba wiesz, jak bardzo chciałem mieć to dziecko.

– Dlaczego dałeś jej dziecko? Nie wiedziałeś o koszmarach?

– Ty wiedziałaś o nich więcej – odparł – i gdzie byłaś?

Gdy odłożyłam słuchawkę, rzuciłam się w ramiona Josepha.

Czułam się tak, jakby świat zaczął wirować, a ja nie miałam nad niczym kontroli. Wszystko przemykało obok z szybkością pociągu, a ja, zdyszana, usiłowałam nadążyć.

Wyciągnęłam z garderoby walizkę i wrzuciłam do niej parę rzeczy.

– Jadę z tobą – powiedział Joseph.

– A co będzie z Brigitte? Kto się nią zaopiekuje? Nie mogę jej zabrać w tej sytuacji.

– Usiądźmy i zastanówmy się, jak to zrobić.

Nie miałam czasu na siedzenie i zastanawianie się.

– Ty zostajesz. Ja jadę. Prosta sprawa.

Więcej nie nalegał. Pomógł mi się spakować. Obudziliśmy Brigitte i Joseph odwiózł mnie na dworzec autobusowy.

Obejmowaliśmy się do odjazdu autobusu.

Pocałowałam Brigitte w czoło.

– Mamusia przywiezie ci prezent z targu.

Zaczęła płakać, gdy wsiadłam do autobusu. Joseph odszedł z nią szybko, nie oglądając się za siebie.

Marc czekał na mnie w domu na Brooklynie. Poniekąd spodziewałam się, że zobaczę tam funkcjonariuszy policji i błyski fleszów, ale ostatecznie działo się to w Nowym Jorku. Ludzie zabijali się tutaj codziennie. Poza tym Marc był prawnikiem. Znał wpływowych ludzi. Wystarczyło powiedzieć im, że moja mama miała źle w głowie.

Ślady zaschniętej krwi prowadziły w dół po schodach, do salonu i dalej na ulicę, gdzie władowali mamę do karetki. Posadzka w łazience była nienagannie czysta, tylko w kącie znajdowały się worki pełne zakrwawionych prześcieradeł.

– Może byś usiadła, Sophie? – powiedział Marc, patrząc, jak biegam po domu od jednego pokoju do drugiego. – Muszę ci powiedzieć, jak potoczą się sprawy.

Wpadłam do pokoju mamy. Lśnił czystością. Łóżko było zasłane jak należy. W garderobie wisiały ubrania, wszystkie w jakimś odcieniu czerwieni, jej ulubionym kolorze od wyjazdu z Haiti.

– Zostałem oczyszczony z wszelkich podejrzeń dotyczących tego wypadku. Wykorzystałem swoje znajomości i postarałem się, żeby wszystko przebiegło sprawnie. Zadzwoniłem do zakładu pogrzebowego. Przetransportują ją z kostnicy do domu pogrzebowego w Dame Marie.

Nawet gdybym miała umrzeć jako niemowa, więcej się do niego nie odezwę. Nigdy nie otworzę ust i nie zwrócę się do niego ani słowem.

– Zobaczymy ją w domu pogrzebowym – ciągnął. – Przewiozą ją jutro wieczorem. To był najwcześniejszy możliwy termin. Zamó-

wią mszę. Zawiadomią rodzinę. Już zleciłem, żeby powiadomili twoją rodzinę.

Jak on śmiał? Jak mógł? Żeby wysyłać telegram z wiadomością, która może zabić moją babcię!

– Możesz przenocować i zostać u mnie w domu do wylotu jutro wieczorem.

Nie miałam zamiaru przenosić się do niego. Zamierzałam spędzić noc tutaj, w domu swojej mamy.

Nie zostawił mnie samej. Siedział w salonie i jadł chińskie potrawy, a ja leżałam skulona w pozycji embrionalnej na wielkim łożu w sypialni mamy.

Gdy zadzwoniłam do domu, Joseph dał mi posłuchać chichotu Brigitte. Usłyszałam słowo „mama" wypowiedziane niewątpliwie jego głosem. Brigitte nadal mówiła „dada", choć wiedziałam, że Joseph ją uczy.

– Pewnego dnia pojedziemy tam wszyscy razem – powiedział.

– Tę podróż muszę odbyć sama.

– Będziemy na ciebie czekać. Bardzo cię kochamy. Wracaj szybko.

Leżałam na łóżku mamy, przez całą noc bijąc się ze złymi myślami: to głównie twoja wina, że ona się zabiła. Widok twojej twarzy przeniósł ją w przeszłość. Powinnaś była z nią zostać. Gdybyś tu była, nie zaszłaby w ciążę.

Gdy obudziłam się następnego ranka, Marc spał na kanapie.

– Mogłabyś wybrać ubranie, w którym twoja matka zostanie pochowana? – poprosił.

Mówił takim tonem, jakim starsi panowie zwracają się do sierot – ze współczuciem. Gdybyśmy byli na Haiti, być może dałby mi pieniążek na pociechę.

Wybrałam najbardziej karmazynowe ubranie ze wszystkich, jakie miała mama, jaskrawoczerwony kostium, który bała się włożyć na mszę w Zielone Świątki.

Kolor był zbyt krzykliwy jak na pogrzeb. Wiedziałam o tym. Mama będzie wyglądała jak Jezebel, jak namiętna Erzulie, która nie lękała się mężczyzn, lecz robiła z nich swoich niewolników, to ona ich gwałciła i zabijała. Ze wszystkich kobiet tylko ona miała taką moc. Ta czerwień była zbyt jaskrawa jak na pogrzeb. Gdybyśmy musiały otworzyć trumnę w domu pogrzebowym, ludzie zaczęliby gadać. To był zbyt krzykliwy kolor jak na pogrzeb, a jednak go wybrałam. Nie będzie tam nic na pokaz, żadnego otwierania trumny, żadnej pompy. Skromna ceremonia wedle życzenia mamy, zwykła modlitwa przy grobie i kilka słów ku pamięci.

– Święty Piotr nie wpuści twojej matki do nieba w tym stroju – powiedział Marc.

– Ona pójdzie do Gwinei – odparłam – albo stanie się gwiazdą. A może motylem lub skowronkiem w gałęziach drzew. Będzie wolna.

Obrzucił mnie wzrokiem, który zdawał się mówić, że jestem równie szalona jak moja mama.

W zakładzie pogrzebowym przy Nostrand Avenue, gdy ubierano mamę, jej twarz miała trwały siny kolor, a zamknięte powieki wyglądały tak, jakby je naciągnięto i zszyto.

Przed wylotem zadzwoniłam do Josepha po raz ostatni. Podał słuchawkę Brigitte, żeby życzyła mi *bon voyage*. Tym razem powiedziała *manman*. Gdy mówiłam jej do widzenia, zaczęła płakać.

– Ona czuje, że ciebie nie ma – powiedział Joseph.

– Dobrze śpi? – zapytałam.

– Teraz mniej – odparł.

Moja mama, potraktowana jako ciężki bagaż, wjechała do brzucha samolotu. Nie usiadłam przy Marcu. Było tyle wolnych miejsc, że nie musiałam. Na Haiti leciało niewiele osób – tylko ci, którzy byli w sytuacji podobnej do naszej, udawali się na wesele albo na pogrzeb.

Na lotnisku w Port-au-Prince Marc rozglądał się na wszystkie strony. Wyjechał z Haiti przed wieloma laty. Teraz wypatrywał zmian: zwracał uwagę na to, jak celnicy mówią *merci* i *au revoir*, gdy ktoś dał im łapówkę, by nie zaglądali do jego bagażu. Jak pobrzękują drobne monety, gdy żebracy potrząsają blaszanymi puszkami. Jak kierowcy furgonów o mało nie pozabijają się nawzajem na chodniku lotniska, gdy walczą o klientów. Jak młode dziewczyny wyrywają się do przodu i oferują swoje ciała.

Pracownik zakładu pogrzebowego poinformował Marca, że zwłoki mojej matki pojadą za nami do katedry w Dame Marie. Kierowca przyjedzie po nie na lotnisko. Gdy znajdą się na miejscu, możemy je odebrać i pochować nawet tego samego dnia, jeśli chcemy. Kierowca zjawił się punktualnie i zawiózł nas karawanem do Dame Marie.

Gdy szliśmy przez *maché* w Dame Marie, czułam, jak cała sztywnieję. Marc miał oczy szeroko otwarte, obserwował. Wydawało mi się, że z lękiem spogląda na *Macoutes*, z których jeden siedział w budce Louise i sprzedawał jej ostatnie cole.

Szłam do domu babci, a ludzie pozdrawiali mnie, machając rękami i uśmiechając się. Wyglądało to tak, jakbym mieszkała tu przez całe życie.

Marc pożerał wszystko wzrokiem. Szliśmy w milczeniu. Po drodze minęliśmy pustą chatę Louise. Na polach trzciny cukrowej mężczyźni śpiewali o syrenie, która poślubiła rybaka i stała się człowiekiem.

Babcia siedziała na werandzie, wyglądając na drogę. Zastanawiałam się, jak długo tu siedzi. Kilka godzin? Całą noc? Od kiedy usłyszała wiadomość? Pobiegłyśmy ku sobie. Powiedziałam jej wszystko. To, co wiedziałam od niego, i to, o co obwiniałam samą siebie, i to, o co on obwiniał mnie.

Ona wiedziała, tak mi mówiła, wiedziała, jeszcze zanim jej powiedziano. Gdy człowiek zostawia sól na słońcu, ciągle patrzy, czy nie zanosi się na deszcz. Wiedziała nawet o tym, że moja mama była w ciąży. Pamiętaj, wszyscy mamy dar jasnowidzenia. *Tante* Atie w czarnej chustce na głowie siedziała na schodkach, trzymając się kurczowo barierki, teraz pogrążona w smutku po stracie dwóch osób.

Marc przedstawił się babci, recytując swoje imię i nazwisko w pełnym brzmieniu.

– Sny napędzają wiatr – powiedziała. – Wiedziałam, choć nigdy o tobie nie wspomniała.

Postanowiliśmy, że pogrzeb odbędzie się następnego ranka tylko w gronie rodzinnym. Tego wieczoru zaparzyłyśmy wielki dzbanek herbaty i piliśmy ją jedynie z Eliabem i pozostałymi tułającymi się chłopcami. Nie traktowałyśmy tego jako czuwania przy zwłokach, ale grałyśmy w karty i piłyśmy herbatę imbirową, a także zawiesiłyśmy na nitce moją obrączkę i śpiewałyśmy uroczystą pieśń odpowiednią na tę chwilę: „Pierścień przechyla się ku matce. Pierścień zostaje przy matce. Podaj go. Podaj go dalej. Podaj mnie. Podaj mnie dalej".

Słuchając tej pieśni, uświadomiłam sobie, że to nie moja mama ani nie *tante* Atie wplatały motyw matki i córki do wszystkich swoich opowieści i pieśni. Był on w swej istocie haitański. Tak się jakoś stało, że pieśniarze i bajarze od początku uznali, że wszystkie jesteśmy córami tej ziemi.

Marc spał w pokoju *tante* Atie, a ona spała w jednym łóżku z moją babcią. Mnie okazano uprzejmość i miałam łóżko swojej mamy tylko dla siebie.

Następnego dnia wszyscy poszliśmy odebrać ciało mojej mamy. Babcia była ubrana w nowiutką czarną suknię. Teraz na pewno będzie chodziła w żałobie do śmierci. *Tante* Atie miała na sobie fioletową suknię. Ja włożyłam gładką białą sukienkę z fioletową wstążką dla zaznaczenia obecności mojej córki. Siedziałyśmy na szykownych aksamitach w kaplicy przedpogrzebowej, czekając na wystawienie trumny. *Tante* Atie popadła w otępienie, siedziała w milczeniu. Babcia czekała, aż pojawi się w drzwiach czarnoskóry ksiądz, ten, którego nazywano Lavalasem. Ksiądz był ostatnim brakującym elementem. Gdy nadejdzie, będziemy mogli zabrać mamę na wzgórza.

Marc wstał i zaczął chodzić po kaplicy, z niecierpliwością czekając na wystawienie trumny. Aksamitna kotara rozsunęła się i wysoki Mulat pchnął trumnę teatralnym gestem.

Marc zdjął stalowe wieko oliwkowego koloru i pomacał obicie ze złotego atłasu. Na twarzy mamy malował się spokój. Starłam odrobinę rozpuszczającego się różu, zostawiając tyle, by akcentował jej strój.

Mama nie była tak zimna, jak się spodziewałam. Sprawiała wrażenie osoby, która ubrała się na eleganckie przyjęcie, a my powstrzymujemy ją przed udaniem się w drogę. Marc płakał w chusteczkę. Z kieszeni kamizelki wyjął małą Biblię i wsunął pod złożone dłonie mamy. Babcia wrzuciła kilka igieł bez nici, a *tante* Atie jednego miedziaka.

Babcia patrzyła nie na twarz mojej mamy, lecz na jej czerwone rękawiczki i pantofle pod kolor. Wyglądała tak, jakby miała zaraz upaść zaszokowana.

Odciągnęłyśmy ją od trumny i zaprowadziłyśmy z powrotem na miejsce. Przyszedł ksiądz i skropił czoło mamy wodą święconą. Był drobnym mężczyzną, niskim i szczupłym, z wyłupiastymi oczami. Pochyliwszy się w przód, ucałował dłonie mojej babci. Przeżegnał się i wziął ją za ramię. *Tante* Atie upadła na podłogę wstrząsana drgawkami. Marc chwycił ją i podniósł. Z wolna się uspokajała, ale łzy spływały jej nieustannie po twarzy.

– Zabierzmy ją do domu – powiedziała babcia.

Trumnę przewożono wózkiem na wzgórze. Babcia szła razem z woźnicą z przodu, a *tante* Atie i ja kroczyłyśmy z księdzem z tyłu. Gdy przemierzaliśmy rynek, gromadził się za nami tłum ciekawskich.

Wkrótce utworzyła się mała procesja ludzi, którzy rozpoznali moją babcię i chcieli dzielić jej żal. Handlarze biegiem zanosili swoje kosze do domów znajomych, myli nogi i przebierali się w czyste ubranie, żeby pójść w kondukcie. Dzieci szkolne ciągnęły za nami długim sznurem. Pola trzciny cukrowej opustoszały – mężczyźni poszli do domów po koszule, a potem dołączyli do nas.

Miejsce na cmentarzu było przygotowane. Dół wydawał się przepaścisty jak bezdenna jama. Ksiądz rozpoczął ceremonię od pieśni żałobnej, której refren zaśpiewali wszyscy.

Żegnaj bracie, żegnaj siostro.
Módl się za nas do Boga.
Na ziemi już się nie zobaczymy,
Ale zjednoczymy się w niebie.

Dołączyli ludzie z grzechotkami z tykwy i mówiącymi bębnami. Inni grali na krowich rogach i konchach. Babcia spojrzała

w dół na grób, nie zahaczając wzrokiem o trumnę. Kilku starych handlarzy podtrzymywało *tante* Atie.

Gdy spuszczano trumnę do dołu, babcia pierwsza rzuciła garść ziemi. Potem *tante* Atie, a potem ja. Drugą garść ziemi rzuciłam w imieniu swojej córki, nieobecnej tu, ale należącej do kręgu kobiet, których imiona, widoczne na nagrobkach, zostały nam nadane.

Ze szczytu wzgórza widziałam nasz dom, który stał między wzgórzami i polem trzciny cukrowej.

Nie mogłam patrzeć, jak przysypują ziemią moją mamę. Odwróciłam się i puściłam pędem w dół, przed pozostałymi. Gdy zbiegałam coraz szybciej po zboczu, czułam, że drze mi się sukienka.

Na polach pracowało niewielu mężczyzn. Biegłam przez pole, waląc w trzcinę. Zdjęłam buty i zaczęłam uderzać w łodygę. Waliłam, aż się zgięła. Przygniotłam łodygę. Wyprostowała się, uderzając mnie w ramię. Szarpnęłam ją i wyrwałam z ziemi. Krwawiła mi dłoń.

Mężczyźni, którzy cięli trzcinę, gapili się na mnie jak na opętaną. Uczestnicy pogrzebu stali teraz wśród roślin, patrząc, jak walę i przygniatam łodygę. Babcia powstrzymała księdza, gdy chciał podejść do mnie.

Stojąc w miejscu, babcia wydawała okrzyk, ten sam, jaki wydawały kobiety na rynku:

– *Ou libéré?* Uwolniłaś się?

Tante Atie powtórzyła drżącym od płaczu głosem:

– *Ou libéré*!

Zawsze jest takie miejsce, gdzie kobiety żyją opodal drzew, które poruszane wiatrem wydają dźwięki podobne do muzyki. Te

kobiety opowiadają różne historie swoim dzieciom, chcąc je przestraszyć i zarazem zachwycić. Są migającymi lampami na wzgórzach, świetlikami nocną porą, postaciami, które ukazują się nad tobą i odtwarzają okropności, których same zaznały. Zawsze jest takie miejsce, gdzie koszmary przekazuje się z pokolenia na pokolenie jak schedę. Dokąd kobiety, niczym skrzydlate kardynały, wracają, żeby zobaczyć swe twarze odbite w stojącej wodzie.

W miejscu, skąd pochodzę, oddech, oczy i pamięć są jednym; własną przeszłość nosi się ze sobą niczym włosy na głowie. Kobiety powracają do swoich dzieci jako motyle albo jako łzy w oczach posążków, do których modlą się ich córki. Moja matka była dzielna jak gwiazdy o świtaniu. I ona pochodziła z tego miejsca. Przypominała kobietę, która najpierw w ogóle nie krwawiła, a potem nie przestawała krwawić, tę, która uległa pod wpływem swych cierpień i chciała być motylem. Tak, moja matka była podobna do mnie.

W gąszczu trzciny cukrowej robiłam, co w mojej mocy, żeby przemówić do mamy, ale słowa nie przechodziły mi przez usta. Babcia podeszła do mnie i położyła rękę na moim ramieniu.

– Posłuchaj. Posłuchaj, zanim to minie. *Parò! gin pié zèl*. Słowa mogą sprawić, że urosną człowiekowi skrzydła u nóg. Masz wiele do powiedzenia, ale zabrakło ci czasu – rzekła. – Jest takie miejsce, gdzie grzebie się kobiety w ubraniu ognistego koloru, gdzie spryskujemy ziemię kawą dla tych, co już odeszli, gdzie córka nie jest w pełni kobietą, dopóki nie umrze jej matka. Zawsze jest takie miejsce, gdzie wytężywszy nocą słuch, usłyszysz, jak twoja matka opowiada historię i na koniec pyta cię: „*Ou libéré?*". Uwolniłaś się, moja córko?

Babcia szybko położyła mi palec na ustach, mówiąc:

– Teraz już wiesz, co odpowiedzieć.